



Nagrody Strażnik Pamięci 2021 – specjalna relacja

DWUGŁOS „DO RZECZY”

**Spór o polską politykę
wobec Łukaszenki**



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 7,90 zł (W TYM 8% VAT) NR 47/452 22-28 LISTOPADA 2021



**Sprawa ambasadora Ładosia
– Yad Vashem
na bakier z historią**

**DODATEK
JAK WYGRAĆ
Z FINANSOWĄ
MACHINĄ
IDEOLOGII LGBT**



**Dlaczego wciąż tak trudno
dostać się do lekarza?**

SZANTAŻOWANIE KATOLIKÓW



**Porządek miłości,
czyli jak postępować z migrantami**

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



Nakład: 56 200 egzemplarzy

SUPER TITANIUM



Eco-Drive®



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Sanitaryzm jako nowa religia

Mniej więcej rok temu większość rządów państw, które zmagają się z epidemią koronawirusa, ogłosiła, że dzięki masowym szczepieniom choroba zostanie opanowana, a wcześniejsza polityka przymusowych lockdownów i ograniczenia praw obywatelskich się skończy. Dziś widać, że wszystkie te zapowiedzi były nieprawdziwe. Panpsychoza szaleje dalej.

W najbardziej skrajnej formie ujawniła się w Austrii, gdzie wskutek decyzji władz osoby niezaszczepione zostały skazane na życie w roli pariasów i obywateli drugiej kategorii. Nie mogą praktycznie opuszczać domów, nie mogą pracować, nie mogą normalnie funkcjonować. Ten sanitarystyczny zamach na podstawowe prawa człowieka jest podyktowany rzekomą troską o ogół społeczeństwa. Tyle że nie ma on podstaw rozumowych. Wszelkie dostępne badania pokazują, że osoby zaszczepione również mogą zarażać, chorować, a nawet, niestety, umierać wskutek epidemii. Wystarczy sięgnąć do danych statystycznych na przykład w Portugalii czy Holandii. W tym pierwszym kraju zaszczepionych zostało 87 proc. obywateli! Teoretycznie, zgodnie z zapowiedziami specjalistów, a przynajmniej tych, którzy za specjalistów uchodzą, tak wysoki poziom „wyszczepienia” powinien dawać odporność zbiorową. Jak wygląda ona w praktyce? „W kraju wzbiera kolejna fala koronawirusa. Jak poinformował w komunikacie resort zdrowia, minionej doby przekroczone 2,5 tys. zakażeń, a na 100 tys. mieszkańców przypada już 175 zachorowań na COVID-19”. To się nazywa obecnie odpornością stadną!

Podobnie wygląda sytuacja w Holandii, gdzie premier Mark Rutte kilka dni temu ogłosił: „Nieunikniony jest powrót do obostrzeń, które znamy z wcześniejszych etapów pandemii”. Również w Polsce coraz wyraźniej widać, że mimo kuglowania statystykami przez Ministerstwo Zdrowia rośnie liczba chorych i zgonów wśród zaszczepionych. Podobnie jak neguje się ograniczony, powiem to eufemistycznie, efekt stosowania masowych szczepień, tak odrzuca się wszelkie wątpliwości co do ich możliwej, w niektórych przypadkach, szkodliwości.

Mimo tego, że wcześniejsza obietnica nie została dotrzymana, powszechny przekaz polityków i mediów jest ciągle taki sam: szczepmy się, ani kroku wstecz. Przeciwnie: im wyraźniej widać nieskuteczność dotychczasowych działań, tym bardziej... należy je kontynuować. Jaka jest zatem przyczyna tego histerycznego sanitaryzmu? Dlaczego zamiast rzucić wszystkie środki do walki o znalezienie nowych, skutecznych terapii i lekarstw (już przecież częściowo dostępnych), władze wołają dokończyć segregacji i używają wobec społeczeństwa szantażu?

Powodów może być kilka. Pierwszy jest oczywisty: przyznanie się teraz do błędu nie wchodzi w rachubę. Zbyt wiele politycy i instytucje światowe, takie jak WHO, zainwestowały w przekonanie obywateli, że znaleziono skuteczny sposób walki z epidemią, żeby teraz ogłosić, że jednak się pomyliły. Co najwyżej mogą wspominać półgębkiem, że były zbyt optymistyczne, że nie doceniły uwarunkowań. Szczepionka musi być dobra, być może nie aż tak dobra, ale na pewno bardziej dobra niż zła. Jeśli

nie widać tego teraz, to zobaczy się to po przyjęciu trzeciej, czwartej, dziesiątej, setnej dawki. Żeby taką opowieść sprzedać, potrzebny jest kozioł ofiarny, na którego władze mogą przerzucić odpowiedzialność za niepowodzenia. W tej roli występują niezaszczepieni. Niczym w przeszłości wrogowie ludu lub agenci imperializmu mają oni ponosić winę za to, że jedynie słuszne decyzje sanitarystyczne nadal nie przynoszą efektów.

Drugi powód też jest łatwy do ustalenia. Są to interesy i korzyści farmaceutycznych gigantów. Biorąc pod uwagę prosty fakt, że przychody tych koncernów są większe niż budżety wielu państw narodowych, możliwości presji są nieograniczone. Odpowiednio przygotowana kampania marketingowa, system grantów, nacisk finansowy robią swoje. Z tego też powodu, jak można przypuszczać, tak niewiele wiadomo oficjalnie o konkretnych warunkach umów, które państwa podpisały z farmaceutycznymi molochami.

Jednak, moim zdaniem, najważniejszym źródłem sanitaryzmu i swoistego kultu szczepionek jest motyw... religijny. Szczepionka przestała być dla wielu środkiem i medykamentem, którego jakość podlega normalnej ocenie. Stała się totemem, świętym znakiem. Nie wolno o nim dyskutować, bo wątpliwości stają się tym, czym profanacja relikwii. Szczepionka stała się symbolem scjentyistycznej wiary w wielkość i nieomyślność nauki. Nauka zaś przestała być sposobem metodycznego dochodzenia drogą prób i błędów do prawdopodobnych tez, ale przekształciła się w nowe objawienie, tyle że nie Boga, ale boga człowieka. Nauce trzeba wierzyć, nawet jeśli się myli. ©



TEMAT TYGODNIA

24 TOMASZ ROWIŃSKI
SZANTAŻOWANIE KATOLIKÓW
W obronie granic polskiego pokoju

28 PAWEŁ CHMIELEWSKI
WATYKAN W KAMPANII
OCZERNIANIA POLSKI

KRAJ

30 PIOTR SEMKA
GRA W ZBIJANEGO
Putin z Łukaszenką rozgrywają Unię

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ROZSYPAĆ, UŁOŻYĆ NA NOWO

34 KAMILA BARANOWSKA
POLITYKA OTWARTYCH RAMION

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
PACJENCIE, LECZ SIĘ SAM

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
HANDEL „NA ŻYWO”

KULTURA

40 ROZMOWA Z ANNA DUDĄ
EKSCENTRYCZKA Z FARBAMI
Zofia Stryjeńska – postać krwista i prawdziwa

42 PIOTR GOCIEK
WSZYSTKIE KOLORY PRZEMIJANIA

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA



DODATEK SPECJALNY

51
FINANSOWA MACHINA IDEOLOGII LGBT

OPINIE

68 WOJCIECH GOŁONKA
BIAŁORUSKI RACHUNEK
Bilans polityki zagranicznej

71 MACIEJ PIECZYŃSKI
OSTATNI KOŁCHOŹNIK EUROPY

74 WITOLD REPETOWICZ
TURKOFILIA NAM SZKODZI



HISTORIA

78 MACIEJ ROSALAK
YAD VASHEM
I SPRAWIEDLIWI POLACY
Grupa Ładosia

ŚWIAT

82 ROZMOWA Z JORGE M BUXADÉ
PÓJDIEMY
POLSKIM ŚLADEM
Przeciw europejskiej tyranii

84 PIOTR WŁOCZYK
NAUKA PRZEZ PRYZMAT RASY

EKONOMIA

90 JACEK PRZYBYLSKI
WIELKIE ŚWIĘTO
KONSUMPCJONIZMU
„Czarny piątek”
– cenowe okazje i oszustwa

92 ROZMOWA Z WITOLDEM SOLSKIM
I KATARZYNĄ KOSAKOWSKĄ
GŁOSY POZBAWIONYCH GŁOSU

94 ŁUKASZ WARZECHA
KATASTREM W KLASĘ ŚREDNIĄ?

FELIETONY: SEMKA (8), KOWALCZUK (10), ZIEMKIEWICZ, JUREK (12), GMYZ, GOCIEK (22), ZYCHOWICZ, KOPER (81), PRZYBYLSKI (86), GABRYEL, WARZECHA (96), KOMUDA (102), KARWELIS, POSPIESZALSKI (103), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (104), KUCHARCZYK (105), CEJROWSKI (106)



NARODOWY BANK POLSKI

Departament Edukacji i Wydawnictw NBP edukuje:

INFLACJA to wzrost ogólnego poziomu cen w gospodarce. Umiarkowany wzrost cen jest normalnym zjawiskiem w rozwijającej się gospodarce. Za optymalny poziom inflacji w Polsce przyjmuje się roczne tempo wzrostu cen między 1,5 – 3,5 proc. (2,5 proc. plus/minus 1 punkt procentowy).

Wzrost cen w gospodarce może mieć przyczyny:

- popytowe,
- podażowe (kosztowe).

Z punktu widzenia banku centralnego kluczowe jest rozróżnienie pomiędzy krajowymi i zewnętrznymi (potencjalnie globalnymi) źródłami zmian cen.

W październiku 2021 r. inflacja w Polsce wyniosła 6,8 proc. w ujęciu rocznym, zatem kształtowała się na podwyższonym poziomie. Oznacza to, że przeciętnie koszt koszyka towarów i usług konsumpcyjnych dla gospodarstw domowych wzrósł właśnie o 6,8 proc. w porównaniu do analogicznego okresu 2020 r.

Analizy dotyczące cen poszczególnych towarów i usług kupowanych przez polskich konsumentów wskazują, że w październiku 2021 r. zmiany cen towarów i usług administrowanych oraz paliw (obejmujących około 21 proc. całego koszyka towarów i usług konsumenta) odpowiadały za około 46 proc. rocznego wzrostu cen konsumpcyjnych. Zatem wzrost inflacji w ostatnim czasie wynikał z czynników podażowych (kosztowych) i zewnętrznych, na które polityka pieniężna prowadzona przez Narodowy Bank Polski nie ma żadnego wpływu.

Podwyższona inflacja jest obecnie zjawiskiem globalnym, występuje nie tylko w Polsce, ale we wszystkich krajach i jest to związane ze skutkami kryzysu pandemicznego. Zjawisko to ma charakter przejściowy. Inflacja będzie się obniżać wraz z wygasaniem czynników kosztowych, a Narodowy Bank Polski nie dopuści do utrwalenia się w Polsce inflacji na podwyższonym poziomie.



Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Wołanie na obecny czas

W kontekście tego wszystkiego, co dzieje się na granicy polsko-białoruskiej i wokół niej, trzeba przypomnieć słowa bł. kard. Stefana Wyszyńskiego,

REKLAMA

Funkcjonariuszom Straży Granicznej Żołnierzom i Policjantom z całego serca dziękujemy za obronę granicy Polski

Jesteśmy z Wami

Agnieszka i Mirosław Pankowie

Prymasa Tysiąclecia, skierowane w Wigilię 1976 r. do kapłanów:

„Nie oglądamy się na wszystkie strony. Nie chcemy żywić całego świata, nie chcemy ratować wszystkich. Chcemy patrzeć w ziemię ojczystą, na której wspierając się, patrzymy ku niebu. Chcemy pomagać naszym braciom, żywić polskie dzieci, służyć im i tutaj przede wszystkim wypełniać swoje zadanie – aby nie ulec pokusie »zbawiania świata« kosztem własnej Ojczyzny. [...] Nieszczęściem jest zajmowanie się całym światem kosztem własnej Ojczyzny”.

*ks. prof. Waldemar Chrostowski
Łączę serdeczne pozdrowienia dla
Pana red. Pawła Lisickiego
i całej Redakcji*

**„Szturm odparty”,
Maciej Pieczyński,
„DRZ” 46/2021**

Granicy Polski i UE nie przekracza się na bagnach, w lesie i w nocy. Obowiązuje też polska wiza. Koniec, kropka. Turyści, wsiadając na pokład białoruskich samolotów, mieli dokumenty,

ale już na naszej granicy nie mają. To jakie zamiary mają? Na granicy nie stoją małe zmarznięte dziewczynki z zapalkami, mały kotek i osiołek. Tam stoi horda obca kulturowo Europie. Ciekawe też, że przy wyborze kierunku emigracji nie kierują się do bogatych Chin. No ale tam nie ma zasiłków [...]. Martwi mnie też nieobecność dzielnych ekologów i zielonych, kiedy po stronie białoruskiej wycina się starodrzew Puszczy Białowieskiej. Brak kar, protestów i pełna cisza. Natomiast Mińskowi, a w szczególności światu należałoby przypomnieć, jak to przy aktywnym udziale Rosji zniszczona została Syria. Polska nie bombardowała Afganistanu. Na razie Putin maca, jak sztywna jest tektura unijnej solidarności i determinacja NATO, które niechętnie i z obawą kły pokazuje, wybierając werbalne deklaracje. A pan Putin ma wyobraźnię i poczucie humoru, wiedząc, że dzisiaj świat Zachodu cierpi na deficyt mężów stanu.

**Z poważaniem,
Juliusz Rzepczyński**



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Woitas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociel, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i feletoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk,
Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,

Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Błażej Toraniński, Szwach Weiss, Piotr Włoczyk,
Marcin Wolski, Małgorzata Wolczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor
Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Karol Gac z zespołem: Antoni Trzmiel (zastępca
także dziennikarz Telewizji Polskiej), Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja),
Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowski, Dawid
Sienkowski, Maciej Strug, Paweł Zdzarski, Łukasz Zygadlo

Studio graficzne: **Wojciech Niedziello** (kierownik),
Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczak-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystofa**
Okładka: **MON, BeTa/AP/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż), **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Dorocińska**, tel.: 508 040 664

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 56 200 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów tylko
za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

SPECJALNY DODATEK HISTORYCZNY

JUŻ W GRUDNIU W TYGODNIKU „DO RZECZY”

40-LECIE
WPROWADZENIA
STANU WOJENNEGO
W POLSCE

MECENASI:



PARTNERZY GŁÓWNI:



PARTNER:



eprasa.pl d221591130



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Wojsko nie płaci!

To zawsze była moja ulubiona scena z filmu „Akcja pod Arsenalem” z 1977 r. Gdy młodzi bojownicy po udanej akcji wpadają do tramwaju, zaczynają gorączkowo szukać drobniaków w kieszeniach. Doskonale rozpoznając ich konspiracyjny styl, konduktor porozumiewawczo wyjaśnia: „Wojsko nie płaci!”.

Konduktor nawiązał do przedwojennego zarządzenia Tramwajów Warszawskich, które zwalniało wojskowych od płacenia za bilety. Ja o tym przedwojennym kulcie żołnierzy dowiadywałem się od mojej babci. Wszyscy dorośli pamiętali wtedy sierpień 1920 r. i ulgę, gdy „nasi chłopcy” zatrzymali bolszewików.

Jacek Kaczmarski wspominał, jak jego babcia dumna była ze swego męża – majora Wojska Polskiego. „Jey major, ten prawdziwy, międzywojenny, nienagannie się oświadczył, nienagannie spłodził syna [...], po czym spokojny o los potomka w rękach swej pięknej małżonki z zasadami, zajął się planami pojenia koni w Szprewie. Jedynym minusem w tym cieszeniu się rangą majora w międzywojennej Polsce była nieuchronność

wojny”. Kaczmarski doskonale uchwycił ten paradoks dwudziestolecia międzywojennego. Wielu Polaków instynktownie czuło wtedy, że ani Niemcy, ani Rosjanie nie darują nam cudu niepodległości możliwego wskutek chwilowej słabości potężnych sąsiadów.

I właśnie dlatego, aby stłumić lęk przed kolejnym konfliktem, otaczano taką czią wojsko. Była to bardzo racjonalna transakcja emocjonalna. Polacy w zamian oczekiwali, że w chwili próby wojskowi nie będą szczędzić życia.

Cały ten czar przestał działać po wojnie. Mało kto szanował oficerów armii Jaruzelskiego, która miała według planów strategicznych Moskwy zdobywać Bogu ducha winną Danię.

Znów zacytujmy Kaczmarskiego: „»Wtedy (czyli przed wojną) major to był ktoś – mówiła mi babka na widok wymiętego oficera Ludowego Wojska Polskiego, trzymającego się pętli uchwytu w tramwaju”.

W ostatnich dniach mogliśmy na nowo poczuć ten napływ szacunku dla ludzi w polskich mundurach. Najbardziej zapadły mi w pamięć dwie fotografie. Pierwsza z tego-

rocznego Marszu Niepodległości 11 listopada w Warszawie z dziewczynką niosącą na szyi karton z napisem: „Nasz wujek jest żołnierzem Wojska Polskiego. Jesteśmy z niego dumni”. I drugie zdjęcie – uczniowie Zespołu Szkół nr 7 w Białym Borze ustawieni w długim szeregu z literami napisu: „Murem za polskim mundurem”.

Znów czujemy wdzięczność dla polskiego Wojska, Policji i Straży Granicznej. Łukaszenka i Putin przypomnieli nam o sowieckiej perfidii. Polacy zrozumieli, co to znaczy stać w chłodną noc twarzą w twarz z białoruskimi specnazowcami, puszczającymi z taśmy płacz dzieci, dźwięk wystrzałów i słowa „Fuck You Poland”. Zrozumieliśmy, że nasza odzyskana niepodległość wciąż jest krucha.

Rosyjski antykomunista Władimir Wołkow wyjaśniał, dlaczego ludzie tak bardzo szanują broń. Daje ona godność jako nadzieja na większe szanse w starciu z nieznanym przeciwnikiem. Tak samo jest z mundurem. Nasi żołnierze na granicy dali nam nadzieję, że nie jesteśmy bezsilni wobec obcych mocy. I to już bardzo wiele. © ©



„DO RZECZY” I DO RZECZY.PL CORAZ BARDZIEJ POPULARNE

Według danych Związku Kontroli Dystrybucji Prasy we wrześniu 2021 r. sprzedaż tygodnika „Do Rzeczy” w porównaniu z tym samym miesiącem ubiegłego roku wzrosła o 5,28 proc. Mocno, bo aż o 33 proc. wzrosła także sprzedaż prenumeraty elektronicznej. Biorąc pod uwagę subskrypcje papierowe i elektroniczne, wzrost wyniósł aż 19,96 proc. (jap) © ©

Jak motyl Odczarować mity

Rak jajnika jest jednym z najczęściej występujących nowotworów złośliwych u kobiet.¹

Owiany mitami, które trzeba odczarować.

Nikt nie zrobi tego lepiej niż one – „Niebieskie Motyle”.

Poznaj historię siedmiu delikatnych, ale zarazem silnych i walecznych kobiet, które w książce „Jak motyl. Odczarować mity” dzielą się swoimi historiami o życiu z rakiem jajnika i nadziei. Towarzyszą im opowieści lekarzy, którzy wspierają je w walce z chorobą.

Wydawca:



Patronat:



1. Didkowska J., Nowotwory złośliwe w Polsce w 2017 roku.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Kremliny
rozrabiają

Krysztopy 120 nare Jan Nowa 842 55303

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

0 odbieraniu **dzieci**

Niemal trzy lata temu przypadkowy przegląd statystyk rzucił ponure podejrzenia na dolinę Enzy w prowincji Reggio Emilia, że jest gniazdem i wylęgarnią potworów w ludzkiej skórze – pedofilów. Okazało się, że w miejscowości Bibbiano i okolicy z powodu nadużyć seksualnych w majestacie prawa odebrano rodzicom ponad 80 dzieci, czyli kilkanaście razy więcej, niż wynosi włoska powiatowa średnia.

Nad sprawą pochyliła się dyskretnie prokuratura w Reggio Emilii. Założono podsłuchy komu trzeba i przestudiowano dokumenty. Na jaw wyszła porażająca prawda. Rodzicom odebrano dzieci bez najmniejszego powodu. Rodzinne tragedie były efektem

zmowy pracowników służb społecznych, ośrodka terapeutycznego w Bibbiano i lokalnych władz.

Okazało się, że terapia rzekomo wykorzystywanych dzieci w ośrodku w Bibbiano polegała na zniechęcaniu ich do rodziców i silnej sugestii – z użyciem elektrowstrząsów, czyli tortur – że były gwałcone. Chodziło o przygotowanie dzieci do występu przed sądem. Terapeuci fałszowali też „materiał dowodowy”, czyli rysunki dzieci, dorysowując na nich elementy o konotacji seksualnej. Na tej podstawie sąd odbierał rodzicom dzieci i zgodnie z sugestią ośrodka i służb społecznych przekazywał je znajomym i pacjentom terapeutów, nierzadko osobom cierpiącym na poważne zaburzenia psychiczne. Też parom homoseks-

sualnym. Właśnie na cztery lata więzienia skazany został za to dyrektor ośrodka terapeutycznego, a niebawem rozpoczną się procesy dalszych 17 osób. Jest wśród nich burmistrz Bibbiano.

Nie ma się co rozwodzić nad ludzką podłością, bo ta, jak wiadomo, nie zna granic. Natomiast przeraża to, że wcześniejsze skargi i odwołania rodziców od wyroków odbierających im dzieci nie dały żadnych rezultatów. Gdyby nie kuriozalne statystyki, którym wreszcie ktoś się przyjrzał, sprawa nigdy nie wyszłaby na jaw.

Co gorsza, z doniesień medialnych wynika, że horror w Bibbiano to czubek lodowej góry, bo gdzie indziej w Italii również odbierają dzieci bez powodu. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Rynek nieruchomości mieszkaniowych stoi przed ciekawymi wyzwaniami



Piotr Hofman

W Polsce brakuje nadal kilka milionów mieszkań. Zatem na przynajmniej najbliższą dekadę jest wiele do zrobienia. Jeśli chcemy, by budownictwo mieszkaniowe było branżą przyczyniającą się do rozwoju całej gospodarki krajowej, to musimy popracować nad trzema filarami: prawnym, finansowym i technologicznym – mówi Piotr Hofman, prezes HM Inwest

Pandemia była jednym z najbardziej nieprzewidywalnych okresów w światowej gospodarce. Jak branża deweloperska w Polsce poradziła sobie z kryzysem?

Wybuch pandemii spowodował pewne zahamowanie transakcji. Ludzie bali się utraty pracy i wstrzymywali się z decyzją o inwestowaniu w mieszkania. Nie trwało to jednak długo, bo już w drugiej połowie 2019 r. pojawił się nowy impuls zakupowy.

Pandemia zafundowała nam też radykalne obniżenie stóp procentowych na całym świecie.

Doszlśmy w Polsce praktycznie do zerowych stóp procentowych. Trzymanie pieniędzy w bankach straciło jakikolwiek sens. W 2020 r. pojawiła się napędzająca się kula inflacji, która dziś doszła już do prawie 8 proc. Oszczędności Polaków zaczęły topnieć, stąd też zakup mieszka-

nia jawi się jako bezpieczna inwestycja. COVID-19 sprawił, że do branży mieszkaniowej napłynął ogromny kapitał z portfeli Polaków.

Dlaczego tych mieszkań brakuje?

To konsekwencje zniszczeń podczas drugiej wojny i niewydajnego systemu komunistycznego. Deweloperzy wkroczyli na rynek mieszkaniowy dopiero pod koniec lat 90. Minęło więc 20 lat, od kiedy prężnie i efektywnie produkują mieszkania. Sięgnijmy do statystyk – w 2020 r. w Polsce oddano do użytku rekordowe ponad 220 tys. nowych mieszkań. Wynika z tego, że potrzeba 10–15 lat, aby polski rynek mieszkaniowy dogonił średnie wskaźniki w UE.

Co to znaczy?

Polacy chcą mieszkać w coraz lepszych warunkach. W Unii jesteśmy na szarym końcu, jeżeli chodzi o prawie każdą statystykę, poczynawszy od liczby mieszkań na 1000 mieszkańców. W Polsce ten wskaźnik to ok. 370 mieszkań, podczas gdy w całej UE – średnio ok. 450. Liczba pokoi na mieszkańca w Polsce jest również najniższa w Europie, podobnie jak liczba metrów kwadratowych na lokatora. Nowoczesnych mieszkań po prostu nie ma. Trzeba je budować dla Polaków, którzy mieszkają tutaj, i tych, którzy chcą wracać z emigracji. Mamy też napływ imigrantów z Ukrainy, Białorusi i krajów azjatyckich, którzy dotychczas mieszkania wynajmowali, a teraz je również kupują. Ale to nie wszystko. Rynek mieszkaniowy wymaga też przesunięcia w kierunku zwiększenia liczby mieszkań w tzw. najmie instytucjonalnym.

To znaczy?

W Polsce wynajmuje się 5–7 proc. mieszkań. To mało. Widzę w Europie dwa modele związane z mieszkalnictwem. Pierwszy – szwajcarsko-skandynawsko-niemiecki – w którym od 50 do 70 proc. zasobów mieszkaniowych jest własnością funduszy czy prywatnych inwestorów i jest wynajmowane. Drugi – model brytyjski – w którym wynajmuje się ok. 20 proc.

Który model jest lepszy?

Powinniśmy dążyć do modelu brytyjskiego, czyli odsetek mieszkań wynaj-

mowanych przez instytucje powinien się zwiększyć do 20 proc. Oczekiwałbym preferencji dla tego typu inwestorów. Dlaczego? Dzisiaj mamy do czynienia z ogromną mobilnością ludzi. Dobrze, jeśli człowiek, szukając pracy, przenosi się do innego miasta i ma pewność, że może wynająć mieszkanie od firmy czy instytucji. Może się wtedy czuć bezpiecznie, że nikt mu nie wypowie umowy z dnia na dzień, co dzieje się często w przypadku wynajmu od osób prywatnych.

Dobrym przykładem takiego wynajmu jest Fundusz Mieszkań na Wynajem, którego twórcą jest BGK. Nasza firma HM Inwest miała przyjemność współpracować z tym funduszem. Wybudowaliśmy dla nich ok. 200 mieszkań. To był dobry pomysł. Tak trzeba budować!

Co nas przed tym powstrzymuje?

Są trzy filary, nad którymi trzeba popracować, jeżeli chcemy, by budownictwo mieszkaniowe w Polsce było branżą, która będzie kołem zamachowym całej gospodarki.

Pierwszy filar – prawny. Borykamy się z dużymi trudnościami i długotrwałością procesów uzyskania pozwolenia na budowę. Pod tym względem jesteśmy gdzieś na szarym końcu wśród wszystkich państw świata. Działając w Polskim Związku Firm Deweloperskich, postanowiliśmy podjąć inicjatywę ujednolicenia przepisów dotyczących inwestycji budowlanych w tzw. kodeksie budowlanym. Mamy też wiele uwag do ustawy deweloperskiej. Zmiany w niej nie idą w kierunku ułatwienia relacji między klientem a deweloperem, ale odwrotnie – mogą je utrudnić.

Kolejny filar – finansowy – również musimy poprawić, inaczej ciężko nam będzie budować minimum 200 tys. mieszkań rocznie. Walczmy o to, żeby branża deweloperska została w polskich rękach, ale nam, polskim deweloperom, brakuje dostępu do finansowania zakupu terenów pod inwestycje. Brakuje gruntów, a te, które są, mają szalone ceny lub wady prawne.

I żeby nasza branża była efektywna, musimy rozmawiać też o trzecim obszarze – technologicznym. W tym o nowych technologiach, czyli prefabrykacji. Dzięki niej budujemy szybciej, a docelowo również lepiej i taniej.


 RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zabójcze przebudzenie

Amerykański komik Bill Maher nigdy mnie nie śmieszył: bawiąc na stażu, oglądałem czasem jego show „Politically incorrect”, kiedy nie chciało mi się przełączyć telewizora po mojej ulubionej „Murphy Brown”. Ale przeważnie mi się chciało, bo o wojującym antyteście, zwolenniku legalizacji homozwiązków oraz marihuany wszystko można było powiedzieć prędzej, niż żeby był „politycznie niepoprawny”. Cóż, były w USA takie czasy, ćwierć wieku temu, kiedy dla popularności lewak musiał udawać „niepoprawnego”.

Skoro jednak nawet ktoś taki, kość z kości lewicowego establishmentu, w stacji CNN, też jednoznacznie zadeklarowanej po „jedynie słusznej” stronie,

u równie zdeklarowanego Chrisa Cuomo, krytykuje demokratów za nadmierną lewicowość, to – jak mawiał pewien kaznodzieja – „wiedz, że coś się dzieje”.

Co, to oczywiście łatwo powiedzieć. Demokraci dostali straszne lanie w ostatnich wyborach, przede wszystkim w Wirginii, ale – mówiąc prawdę – nawet tam, gdzie wygrali. Bo jeśli w amerykańskim lemingowie, gdzie w ostatnich wyborach prezydenckich Biden miał nad Trumpem 15 proc. przewagi, utrzymali się dosłownie o włos – to co będzie, gdy do głosowania przystąpią stany mniej wobec lewicowej rewolucji entuzjastyczne?

Demokraci stali się partią toksyczną, partią zaprzeczania zdrowemu rozsądkowi, złościł się ich

wieloletni zwolennik, oskarżając o wszystko „wokeness” – czytaj: oddanie wizerunku partii w ręce amerykańskich odpowiedników Jachiry i Sterczewskiego, którzy dzień w dzień przekonują zwykłych ludzi, że formacja Obamy, Clintona i Kennedy’ego przestała być, delikatnie mówiąc, na serio. Co ciekawe, Chris Cuomo zdawał się nie pamiętać, a gość o tym taktownie nie przypominał, że stało się tak nie tyle za sprawą samej partii, ile popierających ją mediów – z CNN na czele.

Na szczęście można tam usłyszeć także inne wyjaśnienie klęski: demokraci przegrali, bo się nie dość „przebudzili” i są jeszcze nie dość lewicowi. I miejmy nadzieję, że tego posłuchają.

Podobieństwa do Polski, gdyby ktoś pytał – nieprzypadkowe. ©©



MAREK JUREK

OD POZĄTKU

Brukselski horror

Trwa kampania antypolskiej nienawiści w Parlamencie Europejskim. Ostatni seans odbył się... 11 listopada dla zmanifestowania stosunku do naszej niepodległości. W rezolucji „Pierwsza rocznica faktycznego zakazu aborcji w Polsce” mamy i pochwałę łamania polskiego prawa, i zobowiązanie Komisji Europejskiej do finansowania działalności aborjonistycznej w Polsce, i żądanie zmuszania lekarzy do współuczestnictwa w praktykach aborcyjnych, i generalne nawoływanie do łamania orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego z 28 maja 1997 r. Krótko mówiąc – kompleksowy atak na rządy prawa w Polsce.

Ostatnio prof. Ryszard Legutko stwierdził, że „Parlament

Europejski w ogóle nie powinien istnieć”. Cenię odwagę lidera PiS w PE, śmiało kwestionującego istnienie instytucji, której likwidacji czy zmiany rządy PiS nie domagały się w czasie żadnych negocjacji traktatowych, który jasno też stwierdza, że „wspólne zadłużanie oczywiście jest kolejnym krokiem ku centralizacji” Unii Europejskiej, co stanowi mocną krytykę rządu, który wyraził na to zgodę.

Jednak dla delegacji Prawa i Sprawiedliwości w PE mam propozycję łatwiejszą niż uruchamianie negocjacji traktatowych w celu likwidacji Parlamentu. Niech – wpływając na władzę swej partii – spowodują na początek zdecydowaną

odповідź Sejmu Rzeczypospolitej na kolejną antypolską rezolucję. Polska kontrrezolucja jest koniecznym instrumentem dalszej polskiej polityki na forum Parlamentu Europejskiego. Tu nie chodzi o teoretyzowanie na temat „wartości”, ale o konkretną uchwałę polskiego parlamentu w obronie polskiego porządku prawnego, potwierdzającą jego normy, afirmującą ich rację i ich obowiązywalność. Chodzi o jasne stwierdzenie, że Rzeczpospolita poważnie traktuje swoje prawo, że to nie demokratyczny trybun dla usatysfakcjonowania katolickich wyborców, ale zasady, których będziemy bronić. O ile chcemy ich bronić, a nie tylko o nich opowiadać. ©©

PRZYSZŁOŚĆ JEST **Z MIEDZI**



60 LAT
KGHM
— POLSKA MIEDŹ —

www.kghm.com



Wierzymy, że przyszłość jest z miedzi! Miedź jest trwała, odporna na rdzę, doskonale przewodzi ciepło i elektryczność. To surowiec niezbędny w fotowoltaice, energetyce wiatrowej, przemyśle motoryzacyjnym, medycynie oraz innych gałęziach nowoczesnego przemysłu. KGHM to Odkrywca – Gigant – Wizjoner. Działalność wydobywczą i przetwórczą prowadzimy od 60 lat, będąc w niej globalnym liderem. Z pasją i wizją budujemy potęgę KGHM na całym świecie.



FOT. ANIEL CROMADA

CIASTKO DLA STUDENTA

Weronika Sowa, influencerka szerzej znana jako Wersow z ekipy Friza, opublikowała relację. Zachwalała w niej miejsca, w których można dobrze zjeść w Warszawie. Odwiedziła m.in. lokale Roberta Lewandowskiego i Magdy Gessler. Kawiarnię Gessler polecała szczególnie. – To już taki mój rytuał, że zawsze rano piję herbatę tutaj. To miejsce jest w ogóle bardzo fajne, takie ciepłe, i czuję się, jakbym była u babci na jakiejś herbatce, kawie czy właśnie szarlotce – opisywała. – Bardzo fajna miejscówka, musicie koniecznie ją odwiedzić, jak przyjedziecie do Warszawy, żeby poczuć się trochę jak w domu, jak jesteście studentami albo osobami, które tęsknią za domem – poleciła. Bezcenne rekomendacje. Każdy student powinien wiedzieć, gdzie w Warszawie może zjeść ciastko w cenie obiadu!

KARIERA ZAGRANICZNA

Barbarą Kurdej-Szatan po jej brawurowej szarży przeciwko funkcjonariuszom Straży Granicznej, których nazwała „mordercami” i „maszynami bez serca”, zainteresowały się światowe telewizje! A konkretnie jedna, białoruska. Tak, głupoty wypisywane przez polską celebrytkę stały się doskonałą pożywką dla białoruskiej propagandy. Mogliśmy więc usłyszeć, że polska celebrytka zamartwia się o los migrantów, gardzi Strażą Graniczną, a Polska ma problem z wolnością słowa. Przez panią Kurdej-Szatan reżim, który aktualnie trzyma w więzieniach setki opozycjonistów, w tym dziennikarzy, poucza nas w sprawach wolności słowa. Ale grunt, że ładne zdjęcia dali. Duże. I uśmiechnięte. Kto by się tam resztą przejmował?

ROLA ŻYCIA

Międzynarodowej kariery, a może i ładnych zdjęć pozazdrościł Basi Kurdej-Szatan aktor Piotr Zelt, który stanął do konkurencji pt. „Kto bardziej nabłuzga na polskich funkcjonariuszy broniących granic”. Otóż pan Zelt wyżył się na rzecznicze polskiej Straży Granicznej, pisząc o niej, że jest odpychająca i pasowałaby na funkcjonariuszkę Ravensbrück. Nazwał ją także „twarzą bestialskich, bandyckich standardów państwa PiS”. Opolska policja w ramach solidarności służb mundurowych właśnie poinformowała, że zrywa współpracę z Piotrem Zeltem, który wystąpił w jednym ze spotów promujących trzeźwość na drogach. Czekamy teraz na odpowiednią interpretację zdarzenia w białoruskich mediach, bo to, że nie przegapią takiej okazji, jest raczej

pewne. Tymczasem sam pan aktor nie czuje, by kogokolwiek swoimi słowami obraził. – Tam nie ma żadnego znieważenia, nie uważam, żebyśmy popełnili jakieś wykroczenie. Powiedziałem, że pani rzecznik jest twarzą tej władzy, która prowadzi barbarzyńską politykę, a moje słowa nie odnosiły się do munduru, ale były moją opinią dotyczącą postawy tej pani wobec mediów i obywateli – stwierdził. Największą popularność Piotrowi Zeltowi przyniosła rola niezbyt rozzgadniętego policjanta w sitcomie „13 posterunek”. Teraz już wiadomo, dlaczego tak dobrze w niej wypadł.

TRUDNE SPRAWY

Marianna Schreiber, żona ministra w kancelarii premiera, robi wszystko, by świat, a zwłaszcza show-biznes szybko o niej nie zapomniał. A jako że efekt nowości i skandalu (przypomnijmy: pani Marianna zyskała „sławę” po tym, jak pojawiła się w „Top Model” w TVN, przyznając, że robi to w tajemnicy przed mężem – politykiem PiS) zaczął powoli mijać, to musi czymś o sobie przypominać. Ostatnio więc wdała się w rozważania o swoim niełatwym, jak sama twierdzi, małżeństwie. – Jak to możliwe, że mimo takich różnic w poglądach dwie osoby są razem? – pyta na wstępie. – Sama nie potrafię tego wyjaśnić, ale czy istnieje jakaś racjonalna metodologia dla miłości? Każdy, kto jest w małżeństwie, już wie, że miłość się zmienia i podobnie jak każdy z nas dojrzewa. [...] Jeżeli ja i Łukasz jesteśmy w stanie (choć to bardzo trudne) akceptować siebie wzajemnie jako jednostki i rozumieć swoją odrębność, to dlaczego tak trudno innym tolerować to, że się różnimy? – pytała. – To nie jest łatwa sytuacja ani dla mnie, ani dla niego. Połowa Polski współczuje Łukaszowi takiej żony, a druga połowa mi takiego męża – dodała, podkreślając, jak trudne jest to jej małżeństwo. Od opowiadania o nim na prawo i lewo łatwiejsze na pewno nie będzie. Ale widać, że dopóki pani Marianna sama nie sprawdzi, dopóty nie uwierzy. ©



FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

Sztuka powinna być dostępna dla wszystkich



Dzięki współpracy Huawei i Muzeum Narodowego w Warszawie Polacy odcięci od zbiorów wskutek lockdownu czy niepełnosprawności uzyskali do nich dostęp – mówi Ryszard Hordyński, dyrektor ds. strategii i komunikacji, Huawei Polska.

W muzeach dzieje się coraz więcej online. Czy digitalizacja jest sposobem na popularyzację sztuki?

Cyfryzacja to nie tylko metoda na popularyzację wielu tematów, ale często jedyny sposób na doświadczenie czegoś – w tym wypadku sztuki. Przez wiele miesięcy pandemii internet okazał się jedynym sposobem na utrzymanie kontaktu z kulturą i sztuką. Dzięki przeniesieniu wystawy „Polska. Siła Obrazu” z Muzeum Narodowego w Warszawie do wirtualnego świata nawet 100 tys. osób miało dostęp do najważniejszych dzieł polskiego dziedzictwa kulturowego, bez narażania siebie i innych. Sztuka, podobnie jak technologia, powinny być dostępne dla wszystkich.

Jakie możliwości daje digitalizacja i jaki jest jej cel?

Jedną z korzyści jest wspomniane zwiększenie dostępności. Grupy wykluczonych społecznie dzięki osiągnięciom nauki i techniki mogą korzystać z dobrodziejstw współczesnego świata. Przykładem są rozwiązania start-upów wyróżnionych w pierwszej edycji konkursu Huawei Startup Challenge. Pierwszą nagrodę zdobył projekt Wheelstair, który dzięki połączeniu robotyki, mechatroniki, mechaniki, elektroniki stworzył medyczną przystawkę do wózków inwalidz-

kich umożliwiającą pokonywanie barier architektonicznych.

Drugie miejsce przyznano przygotowanemu przez Associated Apps rozwiązaniu The Compass, czyli inteligentnemu wirtualnemu asystentowi, nawigującemu osoby niewidome i niedowidzące wewnątrz obiektów użyteczności publicznej. Ubiegłoroczne podium zamknęła inteligentna klawiatura PowerHID od Parrot One, wspierająca pracę i komunikację osób z niepełnosprawnościami, na przykład ze spastyecznością mięśni rąk po udarach.

Pierwszy wspólnie przygotowany projekt to wirtualny spacer po wystawie „Polska. Siła Obrazu”. Co można zobaczyć w jego ramach?

„Polska. Siła obrazu” to wystawa, w ramach której prezentowane są dzieła najważniejszych polskich malarzy drugiej połowy XIX i początków XX wieku, m.in. Matejki, Malczewskiego czy Wyspiańskiego. Niemal 100 dzieł stworzonych w latach 1840–1918, czyli w czasie, kiedy Polski nie było na mapach, złożyło się na opowieść o tym, w jaki sposób wzbogacano kulturę narodową mimo niesprzyjających okoliczności. A dzięki współpracy Huawei i Muzeum Narodowego w Warszawie Polacy odcięci od tych zbiorów wskutek

lockdownu czy niepełnosprawności uzyskali do nich dostęp.

Dzięki Huawei Polska także Muzeum Narodowe w Warszawie wchodzi w cyfrowy świat. Co to oznacza dla zwiedzających?

Digitalizacja wystawy „Polska. Siła Obrazu” była pierwszym etapem długofalowego partnerstwa technologicznego, które zawarliśmy z muzeum. Jesteśmy dumni, mogąc być częścią przemian instytucji tak ważnej dla polskiego dziedzictwa kulturowego. Muzeum Narodowe w Warszawie to jedno z najstarszych muzeów sztuki w Polsce, jego zbiory liczą około 830 tys. dzieł sztuki. Obecnie prowadzony jest drugi etap współpracy, który zakłada gruntowną modernizację instalacji teleinformatycznej. Ta inwestycja, którą rozpoczęliśmy we wrześniu, obejmuje zainstalowanie 25 km okablowania i 72 punktów dostępowych. Pozwoli to osiągnąć nawet o 20 proc. lepszy sygnał sieci Wi-Fi. Zwiedzając w przyszłym roku Muzeum Narodowe w Warszawie, będzie można skorzystać z superszybkiego, bezpłatnego internetu w celu efektywnego dostępu do cyfrowych zasobów muzeum.

Gruntowny remont w obliczu wymagań i przepisów dotyczących zabezpieczenia bezcennych dzieł sztuki jest sytuacją niemal bezprecedensową. Warto jednak się tego podjąć, bo po sfinalizowaniu projektu zasoby dostępne online, w tym treści edukacyjne, będą bezpłatnie rozpowszechniane przez internet w całej instytucji. Przykładem wykorzystania może być sytuacja, w której nauczyciel podczas wycieczki szkolnej będzie mógł pokazywać obrazy uczniom „na żywo”, a tym, którzy muszą uczyć się zdalnie - za pomocą telefonu lub tabletu.

Współpraca z Muzeum Narodowym to dla Huawei nie pierwszy projekt realizowany w obszarze sztuki. Czym możecie się jeszcze pochwalić?

Mamy doświadczenie w międzynarodowych projektach związanych ze zwiększaniem dostępności kultury na całym świecie – od digitalizacji zbiorów muzealnych przez modernizację instalacji sieciowych w instytucjach kultury aż po udostępnianie wybranych światowych dzieł sztuki we własnych aplikacjach. To atut, który nie tylko predysponuje, ale i zobowiązuje nas do dbania także o polskie dziedzictwo. Polska, będąc naszym sercem w regionie - siedzibą centrum badawczo-rozwojowego i centrali zarządzającej 27 rynkami, ma dla nas szczególne znaczenie.

Laureaci i organizatorzy dziewiątej edycji nagrody Strażnik Pamięci podczas gali wręczenia wyróżnień, która odbyła się na Zamku Królewskim w Warszawie FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ



Nagrody Strażnik Pamięci przyznano w trzech kategoriach – Mecenas, Instytucja i Twórca. Wręczono także nagrodę specjalną portalu DoRzeczy.pl oraz statuetkę Instytutu Felczaka przyznaną pod patronatem „Do Rzeczy” – nagrodę Strażnik Wartości – CUSTOS VIRTUTUM. W tym roku Kapituła uznała, że obok nagród głównych zostaną wręczone również po dwa wyróżnienia w każdej z kategorii.

Gałę otworzył redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy”, który wyjaśnił, dlaczego Strażnik Pamięci jest najważniejszą nagrodą. – Z naszego punktu widzenia jest to najważniejsza nagroda, bo w najbardziej istotny sposób wspiera to, o co tak naprawdę nam chodzi – polskość, polską pamięć, troskę o Polskę i umiejętność przekazywania tej troski w przyszłość. To nagroda nie tylko za osiągnięcia przeszłe, lecz także za to, że dzięki niej pokazujemy te osoby, instytucje i mecenasów, którzy w szczególnie sposób angażują się w przekazywanie tych wartości między pokoleniami – mówił Paweł Lisicki. Głos zabrał również prof. Wojciech Fałkowski, dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie. – Bardzo się cieszę, że nagroda Strażnik Pamięci tradycyjnie gości na Zamku Królewskim w Warszawie. To miejsce naturalne dla tej nagrody, bo Zamek sam jest pamięcią – wskazywał.

Na początku gali Piotr Ćwik z Kancelarii Prezydenta odczytał specjalny list od Andrzeja Dudy, skierowany do uczestników gali nagród Strażnik Pamięci. „Niezmierznie się cieszę, iż kolejnym edycjom nagrody

Walka o pamięć

Już po raz dziewiąty tygodnik „Do Rzeczy” przyznał nagrody Strażnik Pamięci osobom i instytucjom szczególnie zasłużonym dla szerzenia i obrony prawdy historycznej o dziejach Polski. Uroczystość odbyła się na Zamku Królewskim w Warszawie

Strażnik Pamięci towarzyszy niesłabnące zainteresowanie mediów, środowisk naukowych, organizacji społecznych oraz bardzo szerokiego grona osób, które łączy nie tylko umiłowanie polskości i rodzimej historii, lecz także troska o cywilizacyjne fundamenty naszej tożsamości jako Polaków i Europejczyków” – napisał prezydent. Andrzej Duda wyraził też nadzieję, że nagroda Strażnik Pamięci nadal będzie służyć jako snop światła kierujący uwagę na te osoby, organizacje i przedsięwzięcia, które zasługują na szczególne wsparcie. „Jestem przekonany, że rosnący poczet wyróżnionych tym prestiżowym laurem będzie miał udział w odtworzeniu etosu dawnych polskich elit intelektualnych, społecznych i państwowych – łączących szerokie spojrzenie na świat z żywym

patriotyzmem i lojalnością wobec Rzeczypospolitej” – napisał.

List do uczestników przysłał również prezes Rady Ministrów Mateusz Morawiecki. Odczytał go szef jego kancelarii Michał Dworczyk. „Wierzę, że to właśnie na fundamentach pamięci i prawdy o naszych korzeniach możemy tworzyć silną ojczyznę ze świadomą swego pochodzenia wspólnotą. Myśląc o lepszej przyszłości, nie możemy więc zapominać o dziedzictwie pokoleń nam pozostawionym. Naszym nieustającym zadaniem jest upominanie się o historyczną prawdę i sprawiedliwość” – napisał premier.

Wiceszef MKiDN Jarosław Sellin odczytał za to list od wicepremiera, ministra kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotra Glińskiego. „Człowiek bez pamięci



– Poczta Polska to dzisiaj spółka akcyjna, ale można powiedzieć, że w blisko pięćdziesięcioletniej tradycji naszej firmy to tylko mgnienie oka. Poczta to przede wszystkim instytucja, ale trwale wrosnięta w tradycję Polski. Jednocześnie to instytucja, która nie jest specjalnie majątna, a jeśli się nie jest majątnym i ma się silne poczucie misji, to trzeba być bardzo kreatywnym. I staramy się tacy być – powiedział prezes zarządu Poczty Polskiej Tomasz Zdzikot, odbierając nagrodę.

Wyróżnienie w kategorii Mecenasy otrzymali Paweł Witaszek za wspieranie działalności patriotycznej i edukacyjnej, ze szczególnym uwzględnieniem działalności na rzecz kultury polskich Tatr, oraz Jarosław W. Lasecki za rekonstrukcję zamku w Bobolicach na Szlaku Orlich Gniazd w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej.

ZŁO, KTÓRE WYRZĄDZILI NIEMCY

Statuetkę nagrody Strażnik Pamięci 2021 w kategorii Instytucja otrzymało Stowarzyszenie „Rodzina Piaśnicka”, czyli organizacja zrzeszająca rodziny ofiar niemieckiej zbrodni w Piaśnicy, która często nazywana jest „pomorskim Katyniem”. Na przełomie lat 1939 i 1940 Niemcy dokonali tam masowych zbrodni na polskiej inteligencji. – Trudno dobrać słowa odpowiednio mocne, dobrze pasujące do tamtej grozy, do wprost niesłychanych rozmiarów terroru i zbrodni ludobójstwa, których Niemcy dopuścili się wówczas na Polakach. Takich zbrodni jak ta w Piaśnicy – mówił w laudacji Piotr Gabryel, zastępca redaktora naczelnego „Do Rzeczy”. – Niemcy najpierw przeprowadzili masowe aresztowania polskiej inteligencji na Pomorzu – często

w oparciu o przygotowane już przed wojną listy proskrypcyjne, a potem sukcesywnie – dzień po dniu, tydzień po tygodniu i miesiąc po miesiącu – z żelazną, niemiecką konsekwencją – z lokalnych więzień i obozów zwozili ofiary swych zbrodniczych czynów i z premedytacją je mordowali. Mordowali strzałami w tył głowy, mordowali seriami z karabinów maszynowych – opisywał.

Wyróżnienie w tej kategorii otrzymała Fundacja Wolność i Demokracja za otaczanie szczególną troską miejsc związanych z historią polskiego oręza na Kresach. Instytucja ta od 15 lat działa na rzecz utrwalania i upamiętniania dziedzictwa polskich Kresów oraz historii narodu polskiego. Szczególną troską otacza upamiętnianie i opiekę nad miejscami związanymi z historią oręza polskiego na Kresach. Z kolei drugie wyróżnienie kapituła przyznała Fundacji Ułani Króla Jana za upamiętnianie tradycji kawalerzystów Rzeczypospolitej.

ŚWIADEK JEZUSA

Tegoroczną statuetkę nagrody Strażnik Pamięci 2021 w kategorii Twórca otrzymał ks. prof. Waldemar Chrostowski, czyli autor wielu publikacji pokazujących silny związek polskiej tożsamości narodowej z chrześcijaństwem i jej zakorzenienie w tradycji biblijnej.

– Teolog, jak każdy chrześcijanin, musi być przede wszystkim świadkiem. Całe dzieło prof. Chrostowskiego to świadectwo Jezusa Chrystusa jako Mesjasza zapowiedzianego przez proroków, króla Izraela i Zbawiciela całej ludzkości [...]. W dzisiejszej trudnej dobie katolicyzmu dzieło ks. prof. Waldemara Chrostowskiego stanowi

jest człowiekiem bez tożsamości. Okruchy dziejów narodu są mocą jego ducha. Naród bez dziejów, bez historii, bez przeszłości staje się wkrótce narodem bez ziemi, bezdomnym, bez przyszłości – tak pisał kard. Stefan Wyszyński. Dlatego wielką zasługą wszystkich środowisk, organizacji, instytucji i osób, które wbrew przeciwnościom, wbrew dominującej we współczesnym świecie postawie skoncentrowanej na teraźniejszości, jest dbałość o naszą wspólną pamięć, budowa na nowo polskiej tożsamości narodowej” – napisał prof. Gliński.

MAŁE WIELKIE RZECZY

W kategorii Mecenasy nagrodę Strażnik Pamięci otrzymała Poczta Polska SA, która w tym roku wprowadziła do obiegu znaczki i kartki upamiętniające wybitne postaci: kard. Stefana Wyszyńskiego, Jerzego Iwanowa-Szajnowicza, żołnierzy wykłętych oraz Polaków ratujących Żydów, a także ważne wydarzenia historyczne: trzecie powstanie śląskie oraz 400. rocznicę bitwy pod Chocimiem. – Kiedy rzeczy małe przypominają nam o rzeczach wielkich, jest to oczywiście potwierdzeniem wielkości tych ostatnich, ale oznacza także, że te małe wcale nie są takie małe [...]. Teoretycy literatury mówią, że bardzo ważne jest to, co napisze nadawca, czyli pisarz. I że bardzo ważne jest to, co pomyśli odbiorca – czyli czytelnik. Ale najważniejsze podobno jest to, co dzieje się pomiędzy nadawcą i odbiorcą. Wynika z tego, że najważniejsza jest Poczta Polska – mówił w laudacji publicysta „Do Rzeczy” Piotr Gociek.



Na uroczystość przybyli m.in. (od prawej): szef kancelarii premiera Michał Dworczyk, wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego Jarosław Sellin oraz minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

■ wielkie oparcie dla przyszłości, zarówno w swym wymiarze naukowym, jak i ludzkiego doświadczenia. Oby Bóg je wynagrodził, a dzisiejsza nagroda niech będzie świadectwem jego społecznej owocności – mówił w laudacji publicysta „Do Rzeczy” i były marszałek Sejmu Marek Jurek.

– Postrzegam tę nagrodę nie tyle jako zwieńczenie przeszłości, ale przede wszystkim jako zobowiązanie na przyszłość. Moje życie naukowo-dydaktyczne oraz kapłańskie było w ogromnym stopniu i pozostaje nadal związane z Biblią, a zwłaszcza ze Starym Testamentem – powiedział ks. prof. Chrostowski.

Wyróżnienie w kategorii Twórca otrzymał dr Jacek Bartosiak – szef think tanku Strategy & Future, który rozbudził w Polakach zainteresowanie zasadami geopolityki i polityki realnej. Drugie wyróżnienie, za konsekwentne budowanie silnej pozycji Muzeum Wysznińskiego i Jana Pawła II w Świątyni Opatrzności Bożej na Wilanowie, otrzymał Piotr Dmitrowicz, dyrektor Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wysznińskiego.

NAGRODA SPECJALNA

Podczas gali wręczono również Nagrodę Specjalną portalu DoRzeczy.pl, którą otrzymał Władysław Motyka za działalność na rzecz zachowania tradycji wśród górali i kultywowanie tradycji górskich w Polsce. – To człowiek niezwykle, który łączy w sobie miłość do gór, przywiązanie do tradycji, pasję, ale i zdolności organizacyjne. To człowiek, który nade wszystko ukochał swoją małą ojczyznę – Żywiec, Żywiec, zaś propagowaniu góralszczyzny i tradycji ziem górskich poświęcił swoje życie. Jak sam o sobie mówi, jest „Bożym szaleńcem”. Gdyby nie on, to nie byłoby zapewne Beskidzkiego Towarzystwa Oświatowego w Milówce, a Związek Podhalań nie działałby tak prężnie. Nie powstałyby też książki, w których przekazuje to, co jest najważniejsze do zachowania tradycji wśród górali, dla których jej kultywowanie to część codziennego życia – mówił w laudacji Karol Gac, szef portalu DoRzeczy.pl.

– Co tu można powiedzieć? Po góralsku: jasno i krótko. Jest to dla mnie, ale i dla wszystkich górali polskich wielki honor; że w tym historycznym miejscu, gdzie przed wojną górale stanowili straż przyboczną prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, jestem tak uhonorowany [...]. Muszę powiedzieć, nawiązując do tej chwili, że byłby to wielki grzech zaniechania nie czytać tygodnika „Do Rzeczy” i miesięcznika „Hi-



Ksiądz profesor Waldemar Chrostowski otrzymał nagrodę w kategorii Twórca

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ



Stowarzyszenie Rodzina Piaśnicka wyróżnione zostało w kategorii Instytucja. Nagrodę odbierali: prezes Małgorzata Śliwicka, członek zarządu Aleksandra Pitra-Kox i sekretarz Mirosław Lademann

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ



Nagrodę w kategorii Mecenaz w imieniu Poczty Polskiej odebrał jej prezes Tomasz Zdzikot

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ



Władysław Motyka otrzymał nagrodę specjalną portalu DoRzeczy.pl za kultywowanie tradycji górskich w Polsce

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

historia Do Rzeczy” – powiedział tegoroczny laureat Władysław Motyka.

STRAŻNIK WARTOŚCI

Na koniec gali wręczono także nagrodę specjalną Strażnik Wartości – CUSTOS VIRTUTUM przyznaną pod patronatem tygodnika „Do Rzeczy” przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka. Otrzymał ją Ákos Engelmayer. – W osobie naszego laureata, węgierskiego powstańca 1956 r., członka Solidarności, ojca założyciela Solidarności Polsko-Węgierskiej w czasach dyktatury gen. Jaruzelskiego, otrzymaliśmy jako Polacy wprost z nieba – nowego huna. Tym razem z jakże piękną znajomością języka polskiego – mówił w laudacji dr hab. Maciej Szymanowski, dyrektor Instytutu.

– Pan dyrektor wspominał w laudacji, że Wacław Felczak był moim przyjacielem. Ale był kimś więcej – był nauczycielem. Nauczyłem się od niego bardzo dużo, a gdy jako żółtodziób byłem ambasadorem w Polsce, to pomógł mi swoimi radami. Dziękuję za nagrodę, ale przyjmuję ją wspólnie z moją nieobecną żoną [...]. Dostałem tytuł Strażnika Wartości, ale nie jestem nim. Jestem antykwariuszem, ponieważ od 60 lat zbieram rzeczy związane z moją ojczyzną – powiedział laureat Ákos Engelmayer.

Galę na Zamku Królewskim uświetnił występ kapeli góralskiej Sebastiana Słodczyki z Zakopanego, która specjalizuje się w muzyce podhalańskiej, wykonywanej w tradycyjnym składzie. Uczestnicy mieli też okazję wysłuchać recitalu bratanicy Przemysława Gintrowskiego – Aleksandry Gintrowskiej, która przygotowała z okazji 40. rocznicy wprowadzenia stanu wojennego niezwykle pieśni poświęcone twórczości stryja. (kg)

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Galę tegorocznego rozdania nagród Strażnik Pamięci uświetnił występ Aleksandry Gintrowskiej

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ



Nagrodę specjalną Strażnik Wartości – CUSTOS VIRTUTUM otrzymał Ákos Engelmayer

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

**WIĘCEJ O NAGRODZIE STRAŻNIK WARTOŚCI
W NASTĘPNYM NUMERZE „DO RZECZY”**

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY GŁÓWNI:



PATRONAT HONOROWY:



PARTNERZY:



WSPÓŁORGANIZATORZY:



PATRONAT MEDIALNY





MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, tak się dokonuje postęp. W nowoczesnych, mających wspaniałe tradycje kulturowe Włoszech w życie wchodzi prawo, które stwarza możliwość zatrzymania jazdy pociągu, jeśli któryś z podróżnych ma objawy wskazujące na COVID-19.

Czyli, krótko mówiąc, jeśli ktoś zakasze, to pociąg staje i robimy dezynfekcję, a delikwenta odsyłamy.

Widzimy praktyczne zastosowanie dla podobnego prawa w polskich kolejach. Mianowicie jak wiecie, iż jesteście obcy, to, co boli najbardziej postępowe elity w naszych lokalnych TLK, to janusze, co jedzą kanapki z jajkiem.

Teraz jeśli taki janusz zakrzusi się kanapką i rozkasze, to budzi co najwyżej niesmak, pogardę i zażenowanie, a jedyną konsekwencją dla niego może być to, iż na blogu opíše go Jacek Dehnel.

A tymczasem włoskie przepisy są jasne: Kaszlnął? To wypad ze składu. Możemy nawet zmodyfikować przepisy i nie zatrzymywać pociągu, szkoda czasu i tak pewnie byłby spóźniony.

A zatem rozwiązaliśmy Wam właśnie sprawę januszów pożerających kanapki w pociągach, nie dziękujcie.

Ale wstyd. Osoboprezydent Duda twierdzi, iż powiedział prezydentowi Niemiec, że „Polska nie uzna żadnych ustaleń ws. sytuacji na granicy polsko-białoruskiej, które

zostaną podjęte ponad naszymi głowami”.

Co za straszny przykład takiej typowo warcholskiej, sowizdrzalskiej buty. Prezydent po raz kolejny próbuje wypisać nas z wielkiej europejskiej



rodziny i wygląda na to, iż znów kierują nim jakieś fantazmaty o wielkiej Polsce (xD), z której zdaniem ma się liczyć nawet prezydent Niemiec.

A nie byłoby grzeczniej poprosić o pomoc i powiedzieć, że co tam sobie ustalą, to my się zgadzamy i w ogóle dzięki za pośrednictwo, nie chcieliśmy

Wam robić kłopotu, już naprawimy praworządność?

Kochani, musimy porozmawiać o Joanne K. Rowling. Otóż właśnie mija 20 lat od premiery pierwszej części Harry'ego Pottera, odbyła się z tej okazji jakaś imprezka, na którą Rowling, która, przypomnijmy tegorocznym maturzystom, jest autorką książkowego cyklu o przygodach czarodzieja.

No i na tę rocznicową imprezę Rowling nie została zaproszona. Postępowe ptaszki ćwierkają, iż jest to kara za to, iż pisarka ma nieodpowiednio nowoczesne poglądy na tematy płci, osób trans, feminizmu i wszystkich innych spraw, wobec których przychylną definiuje człowieka rozsądnego, postępowego i pozbawionego uprzedzeń.

No skoro tak, to naszym zdaniem należałoby pójść jeszcze kawałek dalej i przyjąć jakąś np. rezolucję czy wydać oświadczenie, iż odbiera się Rowling osobiste prawa autorskie do Harry'ego Pottera i przyznaje je transseksualnemu kolektywowi.

A następnie już tylko pozostaje usunąć z książek i filmów wszystkie wątki sugerujące heteronormatywność i binarność głównych bohaterów. ©©

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Na wszelki wypadek

No, gratuluję, Michał. Tej Zalewskiej to i tak nikt nie lubi. Ładnie jej pojechałeś.

Wiesz, Marku, Zalewska Zalewską, to jest mały pikuś. Baba mnie i tak nie cierpi. Gorzej z Naczelnikiem.

Ale że co? No, wiadomo, Jarosław jest wyczulony na takie sytuacje, ale przeprosisz, kwiatki pošlesz i będzie w porządku.

Nie, nie rozumiesz. Tam jeszcze były mejle, gdzie ja o Naczelniku pisałem.

O... No wiesz, może samo w sobie to nie jest złe. Zależy, co pisałeś. Ja na przykład nigdy nie wiem, czy ktoś nie słucha, więc jak z kimś gadam przez telefon, to zawsze o Jarku kilka miłych słów mówię. Tak na wszelki wypadek.

No więc nie. To nie były takie wzmianki.

To co pisałeś?

Powiem ci, ale nawet nie chcę głośno. Nachyl się tutaj. I jeszcze, że

No, powiem ci, chłopie – współczuję. Jak to wyjdzie, to ty się nawet do rady nadzorczej komunalnego przedsiębiorstwa ścieków w Mszanie Dolnej nie załapiasz. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Czy jednym z motywów niechęci do uchodźców z krajów muzułmańskich jest obawa naszych fanatyków religijnych, że mieliby konkurencję?”

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

Samorządowcy z całej Europy spotkają się w Mikołajkach



Trwają ostatnie przygotowania do kolejnej edycji najważniejszego wydarzenia w Polsce poświęconego polityce regionalnej – VI Europejskiego Kongresu Samorządów. Włodarze z całej Europy, przedstawiciele administracji państwowej oraz biznesu i kultury spotkają się w Mikołajkach, aby rozmawiać i wymieniać poglądy na tematy najbardziej kluczowe dla regionów i ekonomii.

Mazurski kurort na dwa dni stanie się centrum wymiany myśli i doświadczeń przedstawicieli europejskich regionów. – Współpraca na linii rząd – samorząd jest konieczna do sprawnego funkcjonowania państwa. Tylko współdziałając, władze mogą zapewnić Polakom poprawę poziomu życia – mówi Zygmunt Berdychowski przewodniczący Rady Programowej Forum Ekonomicznego w Karpaczu i pomysłodawca samorządowej konferencji. Dodając, że aby Polacy mogli lepiej żyć, potrzebne jest również wykorzystanie potencjału przedsiębiorców poprzez

zapewnienie im sprzyjających działaniu warunków.

ODBUDOWA I ROZWÓJ PO PANDEMII

Nowa rzeczywistość po ponad półtora roku pandemii to nowe wyzwania w prowadzeniu biznesu, nie tylko globalnie, lecz także lokalnie. Właśnie dlatego hasłem przewodnim tegorocznego kongresu będzie: „Europa po pandemii: Jak odbudować lokalną gospodarkę?”.

Największe i najważniejsze spotkanie włodarzy europejskich regionów w Polsce będzie składało się z paneli dyskusyjnych,

warsztatów, wykładów, omawiania raportów i prezentacji. Program kongresu będzie realizowany w 10 ścieżkach tematycznych m.in.: biznes i zarządzanie, gospodarka, innowacje, inwestycje, współpraca międzyregionalna czy zrównoważony rozwój. Wśród najważniejszych tematów, które będą omawiane podczas paneli, znajdą się: finansowanie rozwoju regionów, walka ze smogiem, współpraca transgraniczna oraz tworzenie sprzyjających warunków dla inwestycji.

NA MIKOŁAJKI W MIKOŁAJKACH

Europejski Kongres Samorządów to najważniejsze wydarzenie w Polsce poświęcone polityce regionalnej. To także wydarzenie o ugruntowanej pozycji, znaczeniu i prestiżu. Regularnie przyciąga liderów samorządowych oraz elit regionalnych, przedstawicieli administracji państwowej, świata biznesu, kultury, NGO i mediów z krajów Europy Środkowej i Wschodniej. W poprzednim, V EKS, wzięło udział ok. 2300 uczestników z niemal 40 krajów. Do 2019 r. kongres odbywał się w Krakowie. W tym roku po raz pierwszy samorządowców z całej Europy w dniach 6–7 grudnia w hotelu Gołębiewski gościć będą mazurskie Mikołajki. Głównym partnerem wydarzenia będzie Urząd Marszałkowski Województwa Warmińsko-Mazurskiego.

Jak co roku, podczas kongresu ogłoszone zostaną wyniki Rankingu Finansowego Samorządu Terytorialnego w Polsce. Nagrody zostaną wręczone w pięciu kategoriach: gmin wiejskich, gmin miejsko-wiejskich, gmin miejskich, miast na prawach powiatu, powiatów ziemskich.

Artykuł we współpracy z Fundacją Instytut Studiów Wschodnich



Uwaga, cytujemy: „NEIN!!!!” – tak dokładnie brzmiała treść SMS-a od Angeli Merkel do szefa niemieckiego MSW Horsta Seehofera. Jej podwładny, a jednocześnie dobry znajomy od 30 lat spytał ją bowiem, czy to prawda, że zgodziła się na utworzenie korytarza humanitarnego i przesłanie nim 2 tys. imigrantów do Niemiec.

Tymczasem atmosfera podczas polskiej wizyty Seehofera była tak dobra, że podczas obiadu z ministrem Kamińskim Niemcowi zrobiło się rzewnie i zaczął wspominać... Jacka Kuronia. Trzy dekady temu negocjował z nim emerytury dla tzw. przesiedleńców. Ale nie to utkwiło Bawarczykowi w pamięci. – Wówczas w kancelarii premiera wódkę piło się już przed południem! – rozrzewnił się niemiecki gość.

Na takie dictum naszym zrobiło się głupio, gdyż obecny protokół w KPRM nie przewiduje podawania alkoholu w miejscu pracy. Szybko jednak zapewniono gości, że podczas następnej wizyty zostanie podjęty z całym sztafążem staropolskiej gościnności. Nawet gdyby miała to być prywatna wizyta. A może zwłaszcza wtedy.

Skoro o staropolskiej gościnności. W kuluarach tegorocznej nagrody Strażnik Pamięci przyznawanej przez nasz tygodnik głównym tematem rozmów szacownych gości związanych z szeroko rozumianym obozem władzy była kwarantanna wicemarszałka Terleckiego z powodu korony oraz potencjalne zakażenie naczelnika państwa. Wyliczano więc – kto, kiedy, z kim się widział ostatnio i co mu może z tego powodu grozić. Osiągnięto konsensus – najlepsza na chorobę jest dezynfekcja. W końcu po to zorganizowaliśmy też bankietek.

Żarcik z kuluarowych rozmów przy dezynfekcji: minister Michał Dworczyk jest jak granica białoruska. Atakują go z zewnątrz, ale najbardziej bolą ciosy z wewnątrz. Nie, nie chodzi o wnętrze organizmu szefa KPRM. Ale o fakt, że podczas gdy amerykańskie służby informują, że za aferą e-mailową stoi białoruski wywiad wojskowy, to owoce zatrutego drzewa najchętniej na Nowogrodzkiej kolportują starzy, zaprawieni w bojach PiS-owcy.

Apropos frontu wewnętrznego. Mamy konstruktywny wniosek, żeby odpowiednie dać rzeczy słowo i używać odtąd następujących sformułowań: zamiast „telewizja TVN” – „тэлевізійны канал TVN”. Zamiast „tygodnik »Newsweek«” – „Штотыднёвік »Newsweek«”. Zamiast „portal Onet” – „інтэрнэт-партал Onet”. Ej, ej, proszę nie udawać, że nie odróżniamie pięknego języka białoruskiego od rosyjskiego!

Niektórzy zauważyli, że Zły Donald z Sopotu i Brukseli chwilowo mniej trolluje. Nie znaczy to jednak, że się leni. Wiewiórki opowiadają, że spiskuje ciągle ze Złym Tygrysiem Kamyszem. Chodzi o to, żeby jak już PiS straci władzę, wszystko poszło gładko. To znaczy bez ciamciaramci Hołowni oraz bez tej irytującej gejokomuny z Nowej Lewicy (za człon „gejo-” odpowiada frakcja Biedronia, za człon „komuna” – oczywiście Włodek Czarzasty). Tworzenie z nimi wszystkimi rządu byłoby bardzo, bardzo męczące, a Donald nie po to wrócił do Polski, żeby się męczyć. Aha, żeby nie było – sformułowanie „gejokomuna” podajemy na licencji ostatnich konserwatystów w Peło.

Najpiękniejszy jest PiS, kiedy się waha. Na przykład teraz: serca się rwą, żeby wesprzeć w Sejmie wniosek Konfederacji i skasować ze stanowiska wicemarszałka sweterkowego komuszką zwanego Czarzastym. Z drugiej strony wiewiórki opowiadają, że konfederatów spinuje aktualnie Zły Donald z Sopotu i Brukseli, który chce cudzymi rękami utrupić konkurencję na opozycji. „PiS, Lewica – jedna ptica” to zdaje się hasło, które ma u konfederatów siarskich zastąpić wcześniejsze „PiS, PO – jedno zło”.

Zajęci spiskowaniem, by odsunąć PiS od władzy, przedstawiciele Eine Totalopposition z trudem znajdują czas na inne czynności. Znaczą – nie znajdują. Na przykład, kiedy 11 listopada w Brukseli padł pomysł, żeby złożyć kwiaty pod tablicą upamiętniającą NSZZ „Solidarność”, to stawili się jedynie europosłowie PiS. My to rozumiemy, przecież dziś w Peło można objawiać solidarność jedynie z Jachirą i Kramkiem.

Apropos Parlamentu Europejskiego – szok! Zapanowały rasizm, klasizm oraz sanitaryzm! Europosłowie w wieku powyżej 65. roku życia będą wpuszczani na obrady jedynie, jeśli przedstawią dowód zaszczepienia. Trzecią dawką! Nam się to w sumie podoba – pomyślcie, o ile sprawniej mogłyby przebiegać obrady naszego Sejmu i Senatu, gdyby wprowadzić podobną zasadę.

Wkwestii korony: chyba przejdziemy do obozu antyszczepionkowców i koronasceptyków. Otóż, jak nam doniesiono, szef jednej ze służb socjalnych zapadł na COVID-19. Cóż, zdarza się, jednak zważywszy, że niecały rok temu przeszedł go po raz pierwszy, a potem przyjął dwie szpryce ze szczepionką, wydać nam się to dziwne. Faktem jest jednak, że przechodzi zakażenie dość łagodnie.

Niektórzy pytają nas, co takiego ma w sobie wiceminister Mejza Łukasz, że mimo narastającej chryi nikt się o nim nie wypowiada nazbyt negatywnie. Odpowiadamy: nie w sobie, ale obok siebie. Jest to Andrzej Gołota, którego Mejza jest dobrym funflem. I przyprowadza go ze sobą na rozmaite stadiony, gdzie obecność Andy’ego, Wielkiej Nadziei Białych, wywołuje w politykach ekstazę. Każdy chce mieć foto z Andym, a to Mejza zawiaduje kolejką po autografy. ©©

dwaj
panowie



FOT. ROBERT CAROŃSKI

Strażnicy pamięci

– Kultura ludowa jest bogata, kolorowa i ma wielką siłę. Scała lokalne społeczności, łączy pokolenia. To wielkie bogactwo, które mamy na wyciągnięcie ręki – mówi Katarzyna Saks, dyrektor Narodowego Instytutu Kultury i Dziedzictwa Wsi



Kurpiowskie wycinanki, łowickie stroje. Kultura ludowa może być dziś czymś więcej niż tylko wspomnieniem świata, którego już nie ma?

Nie tylko może. Jest czymś znacznie więcej. To bardzo ważny element naszej tożsamości. Kultura ludowa scała lokalne społeczności, stanowi o ich autentyczności i sile. Ma także wyjątkową zdolność łączenia pokoleń. To materia cenna i wciąż żywa, choć bardzo delikatna.

Delikatna?

Bogactwa kultury ludowej, jej pełnego przekazu, nie da się zapisać w książkach czy nutach. To coś, co by trwać, musi być kultywowane, przekazywane z pokolenia na pokolenie. To wiedza, ale i bardzo konkretne, unikalne umiejętności, które dziś posiada coraz mniej osób. Jeśli odejdą bez przekazania wiedzy, to umiejętności odejdą wraz z nimi.

Dlatego tak ważne są nie tylko badania nad kulturą ludową, lecz także popularyzacja wiedzy o niej. Aby przekaz mógł przetrwać, trzeba zainteresować nim młode pokolenie.

Wzbudzić ciekawość?

Zainspirować i pokazać, że kultura ludowa to coś bogatego, w czym każdy znajdzie coś dla siebie. Skarbiec tradycji jest pełen, niestety z wielu znajdujących się w nim skarbów nie zdajemy sobie sprawy. Przykład? Bajki ludowe. Mamy tak wiele pięknych bajek, których niestety nie znamy. Choć to wkrótce, mam nadzieję, się zmieni, bo w przyszłym roku planujemy wydanie przynajmniej części z nich w pięknie ilustrowanej formie. Pracujemy też nad całym cyklem materiałów dydaktycznych dla dzieci. To książki, a także zabawki, np. puzzle na

podstawie malowanych na szkle obrazów czy gry planszowe pokazujące stroje ludowe z różnych regionów Polski.

A dorośli? Jak ich zainteresować?

Mamy w planach wydawanie książek popularnonaukowych o kulturze ludowej. To pozycje, dzięki którym każdy będzie mógł poznać polskie dziedzictwo. Nie tylko zobaczyć, jak wiele pięknych rzeczy posiadamy, lecz także przekonać się, że są one bardzo blisko. W naszym mieście, regionie. Na wyciągnięcie ręki. Bardzo ważnym elementem działalności NIKiDW jest także wspieranie twórców ludowych i Kół Gospodyń Wiejskich (KGW).

Plany na przyszły rok?

Przede wszystkim cykl szkoleń. Jeśli chodzi o KGW, to na początek chcemy szkolić panie z tego, jak zakładać i prowadzić koła. W planie mamy także szkolenia z profesjonalnego promowania ich działalności. W przyszłym roku chcemy zorganizować także ogólnopolski konkurs dla KGW. Regionalne pieśni, charakterystyczne dla danego regionu tańce. Każda lokalna społeczność ma tradycję, z których może być dumna. Będziemy zachęcać panie z KGW, by bogactwem tradycji swojego regionu pochwaliły się całej Polsce.

A twórcy ludowi?

Tu skupimy się na szkoleniach z zakresu praw autorskich. Twórcy ludowi często są wykorzystywani, np. przez nielojalnych i nieuczciwych organizatorów różnego rodzaju wydarzeń. Często pracują na czarno albo nie dostają żadnego wynagrodzenia za pracę. To musi się zmienić. Będziemy chcieli wspierać również naukowców i badaczy zajmujących się dziedzictwem kulturalnym i historycznym obszarów wiejskich. Ich praca jest bardzo ważna.

Katarzyna Saks – dyrektor Narodowego Instytutu Kultury i Dziedzictwa Wsi. Instytut powołano w 2019 r. Jego główne zadanie to badanie, dokumentowanie i popularyzacja wiedzy na temat kultury i historii mieszkańców obszarów wiejskich. Instytucja podlega ministrowi rolnictwa i rozwoju wsi.



Szantażowanie katolików



Tomasz Rowiński

Jednowymiarowy humanitaryzm wcale nie jest postawą katolicką, tę powinien kształtować porządek miłości znany pod łacińską formułą ordo caritatis. Dziś humanitaryzm podważa w naszych umysłach hierarchię podstawowych ludzkich obowiązków, tak byśmy działali na szkodę tych, którym naprawdę należy się nasza troska

Portal Noizz.pl, znany z promowania politycznego ruchu homoseksualnego, postanowił zorganizować antykatolicką ustawkę. Zlecił w pracowni IBRiS badanie, które zawierało pytanie: „Co pana/pani zdaniem w obecnej sytuacji na wschodniej granicy polska Straż Graniczna powinna robić z osobami nielegalnie ją przekraczającymi?”. Do tego, jak można zrozumieć, respondentów pytano o ich deklaracje religijne. Z sondażu wynika, że „46,5 proc. respondentów jest zdania, że Straż Graniczna powinna za-

wracać migrantów z powrotem na stronę białoruską. Większość z tej grupy deklaruje się jako osoby wierzące i praktykujące” – czytamy na portalu.

Wyniki te opublikowano 15 października razem z komentarzem jednego z dyżurnych liberalnych jezuitów – ks. Jacka Siepsiaka. Jezuita zasugerował, że obrona granic przed przemocą migracyjną narzuconą nam przez Łukaszenkę i niezbyt roztropnych mieszkańców, głównie Bliżniego Wschodu, jest niezgodna z wiarą. „Wpadliśmy w tak mocną polaryzację, że

wiara przy tych wyborach stoi na drugim miejscu” – powiedział.

Pomieszał aspekt politycznej sytuacji nad granicą z indywidualnymi odruchami moralnymi i pomocowymi, sugerując, że katolicy powinni popierać opcję, w której polskie państwo będzie się zachowywało dokładnie tak samo jak organizacja charytatywna: „Myślę, że gdyby te same osoby spotkały osobiście takie głodne, zmarznięte dziecko, to ich reakcja byłaby inna niż zadeklarowana w sondażu”. Postulował też, by wierzący namawiali polityków do osłabiania naszego kraju: „Kościół powinien apelować przede wszystkim do rządzących, którzy decydują o przyjmowaniu uchodźców lub zezwoleniu im na przedostanie się na Zachód”.

Ksiądz Siepsiak wytrwale mówił o „uchodźcach”, a nie „imigrantach”, co jest po prostu nieprawdą w sytuacji, którą mamy na granicy. Według konwencji genewskiej uchodźcą jest bowiem osoba, która przebywa poza krajem swego pochodzenia i ma uzasadnioną obawę przed prześladowaniem w swoim kraju. Nie



Migranci to nie uchodźcy, ale turyści z białoruskimi wizami
FOT. VIKTOR TOLOCHKO/SPUTNIK/EAST NEWS

bezpośrednio pomagać człowiekowi, od tych, gdy jednostka, czasem samodzielnie, czasem w grupie czy masie staje się zagrożeniem dla bardziej podstawowych dóbr, za które odpowiadamy. Ludzie przebywający dziś na granicy przybyli na nią świadomie, wielu deklaruje wiedzę o tym, że jest wykorzystywana przez Łukaszenkę. Mimo to wciąż liczą, że łamiąc polskie prawo, dostaną się do Unii Europejskiej.

„To klęska Kościoła w Polsce, bo okazuje się, że wiara nabrała barw plemiennopolitycznych. Upraszczaając, jestem wierzący i praktykujący, więc zasadniczo powinienem popierać działania i politykę rządu. Jeśli nie jestem praktykujący, to mogę sobie pozwolić, by tego rządu nie wspierać. To nie odnosi się bezpośrednio do chrześcijaństwa, bo Ewangelia mówi coś zupełnie przeciwnego – o niesieniu pomocy osobom w potrzebie” – mówił w cytowanym wywiadzie ks. Siepiak.

Wyrażenia takie jak wojna hybrydowa czy podprogowa zostały powtórzone, także przez znaczących polityków i ekspertów, tysiące razy. Jak zatem pomaga się w sytuacji de facto frontowej? Widzieliśmy to, gdy polskie służby medyczne ratowały dwóch Syryjczyków, którzy umierali w lesie 20 km od granicy. Obaj przeszli na polską stronę nielegalnie, zgubili się, cztery dni nie jedli. Jednocześnie przestali być już elementem politycznej rozgrywki. Byli po prostu nieszczęśliwymi wymagającymi ratunku. Zupełnie co innego widzimy przy samej granicy. Tam imigranci korzystają z pomocy białoruskiej – jedzenia, opału, broni – w zamian za udział w politycznej grze. Podjęli ryzyko. Z tego, co można usłyszeć, nie żałują swojej sytuacji, nie oczekują od Polski żadnej pomocy, poza domaganiem się bezpośredniego transportu do Niemiec.

To, jak Polska pomaga, można było przeczytać choćby w opublikowanym 11 listopada reportażu Agencji Reutersa o ośrodku dla migrantów w Białymstoku. Znow są to ludzie, którzy na skutek dramatycznych okoliczności zostali wyłączeni z politycznej gry Łukaszenki. Kogoś znaleziono błąkającego się po lesie, kogoś wyciągnięto z licznych mokradeł przy wschodniej granicy, ktoś został pobity przez białoruskie służby i porzucony. To, co uderza w tym tekście, to poczucie, że Polacy zapewnili tym ludziom bezpieczeństwo

STARA METODA

Część migrantów jednak już teraz generuje problemy, choć jest ich po naszej stronie niewiele. 9 listopada

„Kurier Poranny” opublikował świadectwa pracowników podlaskich szpitali. Opisali zachowania migrantów – rzucanie jedzeniem, bicie. „Musieliśmy zabrać tę kobietę na dodatkowe badania. I jak to czasami bywa, trochę to trwa. Jak ją przywieźliśmy z powrotem, podszedł starszy syn, krzyczał na nią. Nawet nie patrzył, że są obok inni ludzie. Kobieta próbowała coś tłumaczyć, pokazywała rękami miejsce, do którego ją zabieraliśmy na badania. Potem syn ją mocno uderzył w twarz, a młodszy podszedł i jeszcze poprawił. Później ten starszy w stronę personelu szpitala coś mówił głośno, odpychał, kiedy chcieliśmy pomóc jeszcze raz tej kobiecie. Ale ona już sama nas odepchnęła. Tak zrozumieliśmy z tej sytuacji, że synom nie spodobało się, że matka oddaliła się bez pozwolenia” – czytamy w „Kurierze Porannym”.

Najbardziej kuriozalnym pytaniem skierowanym do ks. Siepiaka przez deklarującą niewiarę dziennikarkę było to, czy stosunek do sytuacji na granicy – „niechęć do niesienia pomocy migrantom” – który zaprezentowała znaczna część respondentów, jest grzechem. Pytanie to trzeba chyba uznać za niezwykle przejaw altruizmu – troska o dusze wierzących, gdy w duszę się samemu nie wierzy. Cóż, gdyby ks. Jacek Siepiak odpowiedział twierdząco, redakcja mogłaby jeszcze podkreślić atmosferę. Tu ks. Jacek Siepiak wymknął się pytającej. „Nazywanie grzechem niechęci jest ryzykowne, bo emocje nie są grzechem. Odmówić pomocy potrzebującym to grzech, natomiast to wszystko rozgrywa się na razie na poziomie medialnym” – powiedział. Nie zapominajmy jednak, że czym innym jest odmawianie pomocy, a czym innym popieranie skutecznej ochrony własnej ojczyzny przed działaniami dezintegracyjnymi. Jak można sądzić z opublikowanych wyników, IBRiS w praktyce zapytał o to, czy można stosować push-backi, a nie czy można nieść indywidualną pomoc.

Co miał nam powiedzieć wywiad ze znanym jezuitą? Że prawdziwe chrześcijaństwo niczym nie różni się od poglądów lewicowych i liberalnych humanitarystów, a polscy katolicy powinni... No właśnie co? Pewnie powinni się wstydzić? Stara metoda, która czasem działa na ludzi żyjących w zatamizowanych społeczeństwach, poddawanych nieustannej i jednostronnej presji medialnej.

Na szczęście takiej powszechnej presji już nie ma, a wielu ludzi ma świadomość, ■

dotyczy to migrantów, którzy szturmują polskie granice. Są oni formalnie turystami przebywającymi w Europie na podstawie białoruskich wiz. Gdyby nawet byli uchodźcami, powinni prosić o ochronę prawną i azyl na Białorusi. Jeśli zależałoby im na azylu politycznym w Niemczech, to powinni udać się bezpośrednio do tego kraju i tam składać odpowiednie dokumenty. Prawda jest jednak taka, że migranci po prostu instrumentalizują prawa przeznaczone dla naprawdę potrzebujących. Jak się to robi, można przeczytać na licznych migranckich forach.

CO JEST DOBRE, A CO ZŁE?

Ksiądz Jacek Siepiak wołał stanowisko respondentów sprowadzić do politycznej walki frakcyjnej trwającej w Polsce, tak jakby nie było nigdy żadnej katolickiej nauki o polityce. Jakbyśmy jako wierzący nie mieli żadnej tradycji rozpoznawania, co jest dobre, a co złe w polityce. Również w sytuacjach, gdy waży się życie ludzkie. Jakbyśmy byli kompletnie ślepi przy rozróżnianiu sytuacji, w których należy

■ że imigracjonizm to ideologia świadomie dążąca do wewnętrznego osłabienia i tak już moralnie zdruzgotanych społeczeństw Zachodu. Widzieliśmy to wszystko w roku 2015, teraz widzimy w wykonaniu Łukaszenki, dla którego – w przypadku sukcesu w starciu z Polską – tych kilka tysięcy migrantów będzie tylko forpoczta dla kolejnych, może nawet setek tysięcy, żywych pocisków. Bezrefleksyjni humanitaryści, którzy są zjawiskiem dość powszechnym w Europie, lekceważąc wymogi dobra własnych wspólnot, pełnią funkcję klasycznych pozytywnych idiotów.

OBOWIĄZEK REALISTYCZNEJ OCENY

W sytuacji wojny podprogowej jest chrześcijańskim obowiązkiem realistyczna ocena tej sytuacji, a nie zachowywanie się tak, jakby nie stało przed nami realne zagrożenie polityczne i jakby ludzie na granicy byli tylko biedakami zagubionymi w strefie geopolitycznego napięcia. Nasze państwo przecież, choć co do środków działa poniżej poziomu klasycznego konfliktu wojennego, zмага się z wojenną intencją naszych wrogów. A w takiej sytuacji jesteśmy zobowiązani stosować zasadę porządku miłości, czyli ordo caritatis. W naszym przypadku oznacza to przede wszystkim dążenie do usunięcia niesprawiedliwości zagrażającej bezpieczeństwu polskich granic.

Kontrowersje wzbudziło odwołanie się do zasady ordo caritatis przez premiera Morawieckiego, który na początku października, podczas spotkania z protestującymi przeciwko polityce migracyjnej akademikami, miał przedstawić hierarchię dóbr podlegających ochronie: „Najpierw dbamy o rodzinę, o bliskich, potem o nasze otoczenie, a dopiero później ten krąg troski się rozszerza” – jak czytamy w relacji prof. Urszuli Glensk na portalu OKO.press. Teolog dr Sebastian Duda na tym samym portalu przekonywał, że zasada ordo caritatis zaprzecza ewangelicznej przypowieści o miłosiernym Samarytaninie. Jej zwolennikom zarzucał posługiwanie się abstrakcyjną zasadą mającą jego zdaniem uzasadnić brak konkretnej pomocy, ale w swoim wyjaśnieniu sam przypowieść tę odarł niemal całkowicie z konkretności. Samarytanin nie działał w sytuacji wojennej, nie zabierał pobitego człowieka do domu itd. Tego teolog nie zauważył. Choć zasadę ordo caritatis sformułował Tomasz z Akwinu, to jest ona bez wątpienia obecna w Piśmie Świętym.

Należy do porządku naturalnego ludzkich społeczności mających prawo bronić swojego bezpieczeństwa, kultury czy statusu politycznego. Legalności tego porządku ani Chrystus, ani jego Kościół nie negują. Pan Jezus nie nakazał setnikowi Korneliuszowi, by porzucił swoją służbę żołnierza, sam był posłuszny wobec władzy świeckiej, a św. Paweł tłumacząc jej pochodzenie, przypominał, że pochodzi od Boga, to znaczy, że jest czymś właściwym w porządku ludzkiego świata.

Propaganda liberalnej religijności prowadzi do sytuacji, w których chrześcijanie uprawiają swoisty „virtue signalling”. Ten pejoratywny angielski neologizm określa afiszowanie się zachowaniami, które mają świadczyć o moralnej wrażliwości lub dobrym sercu. W naszym przypadku oznacza to sygnalizowanie, że praca charytatywna powinna zastąpić politykę. Gdy tymczasem ta ostatnia jest przecież niezbędnym narzędziem realizacji społecznego dobra. Często trudnym do zrozumienia w czasach, gdy tyle spraw próbuje się załatwiać tzw. moralnym oburzeniem. Przykładem „virtue signallingu” był występ Agaty Kamińskiej w programie „Między niebem i ziemią” 8 listopada br. w TVP1 odebrany przez niektórych komentatorów jako akt niezwykłej odwagi. Mówiła tam: „Przez wiele lat byliśmy harcerzami. [...] Bardzo nas dotyka sprawa na granicy, całą rodziną angażujemy się w pomoc ludziom uwięzionym na granicy, w potrzasku, bez możliwości powrotu do swojej ojczyzny mimo tego, że błagają o możliwość powrotu. Całą rodziną, łącznie z naszym dziadkiem powstańcem, gotujemy zupy dla osób na granicy. Te zupy są przekazywane przez mieszkańców Podlasia, którzy bohatersko pomagają ratować tam życia naprawdę. Tylko oni mają wstęp do tej strefy zamkniętej. Wszystkie organizacje pomocowe wspierają ich, ale nie mogą tam wejść”.

Część mediów była zachwycona tą wypowiedzią. Jeden z komentatorów nazwał występ swojej koleżanki „nie byle jaką orką”, inny zaś dodawał, że „to był majstersztyk. Ich własną »miłością« cięła ich jak kosą. Najtrudniej im zobaczyć ich własną hipokryzję”. Jednak dla katolickiego odbiorcy jednowymiarowy humanitaryzm, próbujący narzucać obywatelom i państwu własną indywidualistyczną perspektywę, powinien być po prostu niebezpiecznym brakiem roztropności lewicowego aktywizmu.

Warto rozważyć wreszcie kwestię, która bezpośrednio dotyczy sytuacji

migrantów na granicy i była treścią badania IBRIŚ: Czy według katolickiego stanowiska push-back ma charakter niegodziwy? Niekoniecznie. W sytuacji wojny podprogowej i hybrydowej push-back jest narzędziem udaremnienia podstępного działania wroga, który świadomie wykorzystuje regulacje międzynarodowe. Przypomnijmy, że nie mamy dziś do czynienia z uchodźcami, o których mówi konwencja genewska, ale migracją ekonomiczną uwikłaną w konflikt polityczny o paramilitarnym charakterze. Zwracał na to uwagę Rafał Chabiński z portalu Bezprawnik.pl: „Metoda push-back to nic innego jak zawracanie osób nielegalnie przekraczających granicę tam, skąd przyszły. Straż Graniczna stosuje ją na granicy z Białorusią, podobnie jak inne europejskie formacje mierzące się z kryzysem migracyjnym. Wiele osób zwraca uwagę na jej niezgodność z prawem. Rzeczywistość jest jednak bardziej złożona”.

Ta złożoność sytuacji to m.in. ogłoszony na jesieni 2020 r. wyrok Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, który uznał, że Hiszpania stosująca push-back w Ceucie, eksklawie hiszpańskiej graniczącej z Marokiem, nie złamała zasad Europejskiej Karty Praw Człowieka.

Czy to znaczy, że nie ma miejsca na dobroczynność obywateli i państwa? Wręcz przeciwnie. Namioty Nadziei organizowane przez Caritas, wyszukiwanie w lasach ludzi znajdujących się niejednokrotnie w stanie bezpośredniego zagrożenia życia są rodzajem obowiązku dla tych, którzy mają możliwość i środki, aby takie działania podjąć. Osoby wyłączone już z konfliktu – z powodu oddalenia lub poniesionych ran – powinny, tak jak ma to miejsce na wojnie, doświadczyć miłosierdzia w postaci ratunku. Potem zaś powinny ich dotyczyć wszystkie procedury obejmujące cudzoziemców, łącznie z wydaleniem, jeśli nie będzie podstaw do dalszego pobytu w Polsce. Powinniśmy pamiętać, że nie ma niczego niesprawiedliwego w fakcie istnienia państwa i wspólnoty politycznej, która sprawuje rządy po swojemu, by w realistyczny sposób budować dobro wspólne. Świat bez granic byłby padołem jeszcze większego cierpienia niż jest teraz, światem niekontrolowanych podziałów i przemocy, dlatego i Polska musi pilnować granic swojego pokoju.

PROF. RYSZARD LEGUTKO

Posel do Parlamentu Europejskiego
PRZEWODNICZĄCY GRUPY EKR



UNIA EUROPEJSKA WYMAGA PILNEJ I ZASADNICZEJ REFORMY

Obecna mieszanka ideologicznego fanatyzmu, cynizmu oraz brutalnej polityki siły, osłonięta kłamliwą nowomową stanowi śmiertelne zagrożenie dla europejskiego projektu.

Chcemy, by Europa powróciła na właściwe tory i ponownie umieściła narodowe demokracje w centrum idei europejskiej. Chcemy odbudować Europę jako Wspólnotę, która zaoferuje krajom członkowskim platformę współpracy, która pomoże promować dobrobyt i bezpieczeństwo dla przyszłych pokoleń.



Sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej abp Paul Gallagher spotkał się z szefem MSZ Federacji Rosyjskiej Siergiejem Ławrowem

FOT. RUSSIAN FOREIGN MINISTRY/TASS/GETTY IMAGES

Watykan w kampanii oczerniania Polski



Paweł Chmielewski

Papież Franciszek uczynił z zagadnienia migracji oś swojego pontyfikatu. Biskupi muszą jednak postawić na wzmacnianie polskiej racji stanu, a nie na budowanie ideologii otwartych granic motywowane wiernością polityce Watykanu. Tego jasno uczy nas kryzys na granicy z Białorusią

Gdy w sierpniu Białoruś rozpoczęła kryzys na granicy z Polską, wykorzystując do tego zmanipulowanych migrantów, rozsądni komentatorzy w Polsce mówili jednym głosem: granicę trzeba zamknąć, bo mamy do czynienia z formą agresji; wszelkie ustępstwa doprowadzą do pogorszenia zarówno sytuacji samych migrantów, jak i Polski oraz Europy.

Niestety, głos płynący wówczas ze strony Konferencji Episkopatu Polski nie pomagał stronie racjonalnej. Wprost przeciwnie. Najbardziej rażącym przykładem oderwania od rzeczywistości i trudnego do zrozumienia zignorowania kontekstu międzynarodowej sprawy był komunikat, który opubli-

kował przewodniczący Rady KEP ds. migracji, bp Krzysztof Zadarko. Hierarcha ubrał swoje wystąpienie w liczne frazy trące jeżeli nie ekliwizacją, to na pewno mało poważnym pięknoduchostwem.

WYKORZYSTANI

Gdy w ostatnich tygodniach sytuacja zaczęła się wyraźnie zaostrzać, narracja słyszalna ze strony KEP nie uległa poprawie. Ten sam bp Zadarko jeszcze 2 listopada skrytykował procedury push-backów, do których zmuszone były sięgnąć nasze służby.

Biskup Damian Muskus 7 listopada zamieścił na Facebooku zdjęcie dziecka przetrzucanego ponad drutem kolczastym wraz z krótkim wpisem zatytułowanym „Miłosierdziu nie stawia

się granic”. Na efekty tych i pozostałych wypowiedzi biskupów utrzymanych w tym samym duchu nie trzeba było długo czekać. Już 9 listopada z szefem MSZ Rosji Siergiejem Ławrowem spotkał się abp Paul Gallagher, sekretarz Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej ds. relacji z państwami. Arcybiskup Gallagher, stojąc na konferencji prasowej u boku Ławrowa, poddał krytyce działania polskich władz – powołując się przy tym właśnie na głos Kościoła w naszym kraju. W ten sposób Watykan oficjalnie włączył się w białorusko-rosyjską kampanię oczerniania Polski. Choć polityka Watykanu wobec autorytarnych reżimów, zarówno Rosji, jak i na przykład Chin, jest od dawna ostro krytykowana za swoją ugodowość i gotowość do nierzadko zginiętych kompromisów, to w tym wypadku trzeba powiedzieć jasno: gdyby polscy biskupi od samego początku przyjęli jednoznacznie linię obrony Polski, zamiast podważać politykę rządu i szermować pustymi hasłami, skandalu z udziałem abp. Gallaghera, przynajmniej na taką skalę, by nie było.

Na szczęście pewne wnioski z tej fatalnej sytuacji

wyciągnął przewodniczący KEP abp Stanisław Gądecki. 10 listopada, a więc dzień po konferencji abp. Gallaghera i ministra Ławrowa, opublikował oświadczenie, w którym bardzo jednoznacznie potępił działania Białorusi. Hierarcha podkreślił, że imigranci są ludźmi w potrzebie. Zaznaczył jednak swój szacunek i uznanie dla polskich służb „za pełną oddania obronę polskich granic”. Z analogicznym potępieniem Białorusi wystąpił też prymas Polski abp Wojciech Polak.

Należy mieć nadzieję, że nie będą to wypowiedzi odosobnione – a za nimi pójdą działania. Jak zauważył np. poseł Robert Winnicki, pilnie potrzebne byłoby dziś zarządzenie mszy za ojczyznę i modlitwy w intencji Służby Granicznej, Wojska Polskiego i policji, a nie ogłaszanie zbiórki na pomoc migrantom (co zrobił abp Gądecki, a co poseł uznał za przejaw sentymentalizmu i liberalizmu). Nie wiem, czy zbiórka zaszkodzi Polsce, choć prawdopodobnie może zostać wykorzystana przez antypolskie ośrodki propagandy do wytwarzania wrażenia rozdźwięku między Kościołem a państwem; niewątpliwie jednak

zarządzenie mszy i modlitwy byłoby wspaniałym gestem, tak w wymiarze duchowym, jak narodowym.

POLITYKA FRANCISZKA

Problemy, które pokazał na linii Kościół – państwo kryzys na granicy wschodniej, można było w pewnym sensie przewidzieć już lata temu. Wszyscy pamiętają, jak zachowywała się część biskupów wobec wielkiego kryzysu migracyjnego w latach 2014–2016. Zdarzało się nawet grożenie księżom suspensą za udział w protestach przeciwko zalewaniu Polski i Europy nielegalnymi imigrantami.

Rzecz w tym, że ci biskupi, którzy zarówno wtedy, jak i dzisiaj chcieliby jednoznacznie sprzeciwić się ideologii fałszywego miłosierdzia i poprzez racjonalne podejście do zagadnienia migracji, bardzo łatwo mogą zostać oskarżeni o bycie w kontrze do Ojca Świętego. Tej pułapki w gruncie rzeczy nie da się przeskoczyć, bo papież Franciszek uczynił z kwestii migracyjnej jedną z osi swojego pontyfikatu.

Wagę, którą przykładą do wspierania migrantów, pokazał już w lipcu 2013 r., składając słynną wizytę na Lampedusie we Włoszech. Chociaż papież wielokrotnie zwracał uwagę na prawo państw do regulowania kwestii migracji, to zdarzało mu się też wiele wypowiedzi, które środowiska lewicowe z wielką łatwością mogły uznać za afirmację swojego marzenia o bezwzględnie otwartych granicach. Argument „z papieża” stał się jednym z najchętniej używanych przez opozycję wobec polityki migracyjnej Zjednoczonej Prawicy. Niestety, lewica nie zawsze musi posuwać się do manipulacji; niekiedy wystarczy bowiem prosty i dosłowny cytat z wypowiedzi i pism Franciszka. Zbiorem takich „złotych myśli” do

wykorzystania w budowie radosnego imigracjonizmu jest choćby encyklika „Fratelli tutti” z 2020 r. o powszechnym braterstwie międzyludzkim. Tekst poświęca kwestii migrantów aż kilkanaście akapitów (dla porównania: o dzieciach nienarodzonych wspomina tylko raz – i to na marginesie). Dokument został zresztą w ocenie wielu komentatorów wydany między innymi z myślą o... zawołanej krytyce Donalda Trumpa za jego pomysł zbudowania muru na granicy z Meksykiem! Poziom braku racjonalności tej encykliki obrazuje na przykład fakt, że Franciszek ostrzega Europę przed „utrąą poczucia braterskiej odpowiedzialności” za migrantów. Czyny to w sytuacji, w której do krajów europejskich w ciągu ostatnich lat napłynęły miliony przybyszów – i przybyszą cały czas. Przykładowo tylko w Niemczech wnioski o azyl złożyło w ubiegłym roku ponad 120 tys. osób, o Polsce przyjmującej setki tysięcy ukraińskich migrantów ekonomicznych i wielu uchodźców wojennych z tego kraju nawet nie wspominając. Krytyka Europy to nic innego jak motywowana ideologią walka z nieistniejącym problemem.

We „Fratelli tutti” Franciszek wezwał też do stosowania polityki opartej na zasadach „przyjmować, chronić, promować, integrować” wobec wszystkich migrantów, także tych, którzy chcą po prostu „znaleźć warunki dla własnego integrowania rozwoju”. Trudno wymarzyć sobie lepsze hasło dla agendy otwartych granic. Papież w dokumencie próbował udowodnić ubogacanie kraju przyjmującego imigrantów ich kulturą, podając przykład Włochów i Żydów napływających do Argentyny – tak, jakby miało to cokolwiek wspólnego ze współczesnymi migracjami mas ludności o czę-

sto wrogim nastawieniu do kultury społeczeństwa, do którego przybywają. Na tego rodzaju niespójności czy przykłady snucia oderwanych od rzeczywistości wizji można byłoby wskazywać jeszcze długo. Niestety, wielu biskupów postanowiło dziś próbować robić karierę kościelną, wykorzystując proimigracyjną ideologię jako lewar. Jednym z najlepszych tego przykładów jest kariera kard. Michaela Czerneho, który nosi krzyż pectoralny wykonany z drewna pozyskanego z łodzi uchodźców przepływających Morze Śródziemne do Italii.

Tak biskupi, jak wszyscy katolicy w Polsce muszą odróżnić z jednej strony racjonalne i oparte na autentycznych zasadach chrześcijańskich podejście do sprawy migracji od tego, które wypływa głównie z lewicowej ideologii i nie bierze pod uwagę bezspornych faktów.

Zobowiązanie do pomocy bliźniemu na wzór miłosiernego Samarytanina nie może być interpretowane jako wezwanie do samobójczej polityki wpadania w sidła, które zastawiają autorytarni przywódcy czy dyktatorzy. Białoruscy oraz rosyjscy dyplomaci i agenci wiedzą, że temat migrantów ma ogromną siłę rażenia także z powodu niejasności cechujących współczesne nauczanie Kościoła. Nie ma co liczyć na to, że Stolica Apostolska zmieni tutaj swój kurs: kampania wyborcza trwająca przed następnym konklawe już dzisiaj pokazuje, że temat migracji dalej ma pierwszorzędną rangę. W Polsce nie możemy jednak pozwalać sobie na życie bajkami. Trzeba powagi. I rozważ. O to proszę Konferencję Episkopatu Polski.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

REKLAMA



Wydawnictwo
bernardinum
POLECA:

KS. JAROSŁAW PIŁAT

**ADWENT
KOMENTARZE
DUCHOWE
NA KAŻDY
DZIEŃ**

Lektura tej pozycji to duchowa pomoc w codziennym przygotowaniu się do Świąt Bożego Narodzenia. Adwent jest czasem radosnego oczekiwania, a przede wszystkim przygotowaniem do przyjęcia niezwykle bliskości z Bogiem.

Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o.
tel. +48 58 531 64 81, kom. 662 014 683
www.ksiegarnia.bernardinum.com.pl; zakupy@bernardinum.com.pl



Piotr Semka

Rosja kolejny raz zyskuje na swojej grze. Wykreowała agresywny konflikt, a potem udało się jej odegrać rolę zatroskanego o stabilizację kontynentu partnera Zachodu

W przededniu tegorocznej rocznicy obalenia muru berlińskiego Angela Merkel udzieliła wywiadu rozgłośni Deutsche Welle. Podsumowując swoją kadencję, stwierdziła, że jej zapowiedź: „Damy radę” z 2015 r. można uznać za spełnioną. Merkel powiedziała: „Tak, zrobiliśmy to”. Przyznała jednocześnie, że RFN wciąż boryka się z problemem migrantów. „Musimy zrobić znacznie więcej z pomocą rozwojową, z legalną migracją. Przemysłnicy ludzi wciąż mają nad nami przewagę”.

Cztery dni później kanclerz Niemiec zadzwoniła po raz pierwszy do najbardziej wpływowego przemysłnika Europy – Alaksandra Łukaszenki. Polityka, którego wyboru na prezydenta Białorusi Unia Europejska od roku nie uznaje. Człowieka, który z pomocą Rosji ręką w rękę z naganiancami z krajów Bliskiego Wschodu użył imigrantów jako broni w nowej odsłonie wojny hybrydowej przeciw Zachodowi. Teraz jesteśmy już po dwóch kolejnych rozmowach z białoruskim dyktatorem. Ustalono powołanie komisji ekspertów złożonych z przedstawicieli Unii Europejskiej i Łukaszenki. Ursula von der Leyen zadeklarowała pomoc finansową w utrzymaniu uchodźców na Białorusi.

Szantaż migracyjny okazał się skuteczny, a rada Władimira Putina, aby Unia rozmawiała z Łukaszenką, została wcielona w życie. Tłum imigrantów zgromadzonych w okolicy przejścia Kuźnica-Brzuzgi wiwatował na wieść o nawiązaniu negocjacji między UE a władzami Białorusi. Oni też mieli prawo uznać, że nacisk na granice unijne popłaca.

GRA SŁABYMI KARTAMI

Aby ocenić, kto osiągnął swoje cele w tej rozgrywce, przeanalizujmy najpierw, kto i jakie cele miał w tej grze. Łukaszenka, rozpoczynając operację „Śluza”, działał z pobudek ambicjonalnych. Powodowała

nim żądza zemsty na Zachodzie i na Polsce za wspieranie opozycji w czasie białoruskich wyborów prezydenckich w 2020 r. Emocje te dobrze oddaje tyrada Grigorija Azarionoka, czołowego propagandzisty reżimu w białoruskiej telewizji. Ulubieniec Łukaszenki straszył Zachód takimi oto słowami: „Rzykujecie niedogrzone mieszkania i odcięcie gazu dla wielkich firm. Nic tu nie da pyskowanie, że surowce takie jak gaz niezbędne są dla funkcjonowania waszych gospodarek. Wy nie wahałście się nałożyć sankcji na 10-milionowy naród w centrum Europy, nie wahałście się wysyłać dywersantów i terrorystów, nie wahałście się poniżyć i obrażać kraj zwycięzcy wyborów i jego lidera. Nie baliście się skazać na śmierć z głodu i chłodu paru tysięcy oszukanych przez was osób. [...] Mała, ale dumna Białoruś rozłupała was jak orzech. Teraz wszystko będzie na warunkach i według woli Łukaszenki”.

Łukaszenka chciał zemścić się na Brukseli i jednocześnie wyrwać Białoruś z pętli unijnych sankcji i dyplomatycznej izolacji. Znacznie szersze plany wiązał z operacją „Śluza” Władimir Putin. Dla niego awantura na granicy polsko-białoruskiej była kolejną okazją do testowania, jak bardzo można podzielić obóz Zachodu. Jednocześnie Kreml ma w zwyczaju tworzyć serię konfliktów i potem występować w roli mediatora, który pomaga rozwiązać problemy w zamian za rozmaite ustępstwa Zachodu. Dlatego też równoległe do kryzysu białoruskiego zaczął koncentrować wojska na granicy z Ukrainą. Gdzieś w tle oczywiście była dosyć typowa dla Rosjan chęć upokorzenia Polski jako słowiańskiego zdrajcy, który oddał się w pakt Zachodowi. Bardzo możliwe, że Putin chce też przy okazji łaskawego rozwiązania tego konfliktu uzyskać gwarancje dla przyszłości istnienia rurociągu Nord Stream 2.

W tym sensie trzy telefony Merkel do Łukaszenki i jeden do Putina, wzmożone rozmową telefoniczną Emmanuela Macrona z władcą Kremla, były klasycznym przykładem skuteczności szantażu. Rosyjscy analitycy słusznie przewidzieli, że Zachód nie pójdzie w kierunku siłowego wzmocnienia granicy Polski, Litwy i Łotwy z Białorusią, tylko będzie szukał jakiejś próby rozwiązania problemu, sygnalizując pieniądze i współuczestnicząc w przyjęciu przynajmniej części uchodźców. Ci wszyscy białoruscy doradcy kręcący się w tłumie przybyszów z Bliskiego Wschodu mogą dziś wskazywać swoim arabskim podopiecznym, że porady, by eksponować dzieci i kobiety przed kamerami, przyniosły sukces. Być może jedynym nieprzyjemnym rozczarowaniem było to, że Polska postawiła się temu szantażowi ze stosunkowo dużą wytrzymałością na presję i agresję. Jeśli uznać za miarodajne dla poglądów Kremla opinie wyrażone w elitarnym programie Władimira Sołowiowa, analityka zbliżonego do Putina, to jedyne zaskoczenie Rosji wywołała siła determinacji Polski. Zakładano, że nacisk Brukseli i wewnętrzny front opozycji, intelektualistów i artystów wzywających, by „przyjąć wszystkich”, okaże się jednak skuteczniejszy.

Ale już przewidywanie postawy Zachodu okazało się trafne. Komisja Europejska odmówiła współfinansowania muru na granicy z Białorusią. Duża część mediów zachodnich przyjęła logikę dwóch wrogów, czyli uchodźców będących ofiarami zarówno Łukaszenki, jak i polskiego okrucieństwa. Bardzo charakterystyczne było przedstawienie sporu np. w arabskiej telewizji Al-Dżazira, gdzie relacjonowano starcie w Kuźnicy jako atak z użyciem polewaczek polskiej policji na uchodźców, przy pomijaniu faktu, że była to reakcja na atak kamieniami.



FOT. MARKUS SCHREIBER/AP/PLAST NEWS

Gra w zbijanego

Najważniejsze dla Rosjan jest to, że kolejny raz swoimi działaniami wyjaszkrawili dysfunkcje działania Unii Europejskiej. Angela Merkel zaczęła dzwonić do Moskwy i Mińska bez żadnego formalnego mandatu ze strony przywódców unijnych. Wyszło na jaw to, co dla wielu obserwatorów było jasne – Ursula von der Leyen była i jest marionetką Angeli Merkel. Trafnie i gorzko skomentował to jeden z dyplomatów państw bałtyckich: „Tyle było gadania o europejskiej dyplomacji, a w kluczowym momencie to wszystko okazało się wyłącznie maskaradą”.

Rozgoryczony dyplomata ma oczywiście rację. Kolejny raz okazało się, że cała struktura unijna jest efektowną dekoracją dla dominacji Berlina i częściowo Paryża. Taka sytuacja połączona ze spadkiem aktywności Ameryki w Europie musi budzić poważne obawy. Kluczowa siła europejska, którą są Niemcy, jest niezdolna do jakichkolwiek wyrazistych działań obronnych w sensie militarnym, skłaniających siłą Rosję do powstrzymania swej agresji. Niemcy chcą rozwiązywać każdy problem albo za pomocą książeczki czekowej, albo drogą sankcji i rokowań dyplomatycznych. Nie jest przypadkiem, że polscy dyplomaci nazywali sytuację na Podlasiu sporem granicznym, podczas gdy wielu polityków niemieckich wołało mówić raczej o „kryzysie humanitarnym”.

W tej sytuacji znów wiele o słabości Unii Europejskiej mówi nieporównywalnie większa aktywność znajdującej się poza UE Wielkiej Brytanii. Rząd w Londynie zadeklarował, że wyśle inżynierów do pomocy przy budowie muru, zadeklarował, że walka z Nord Stream 2 będzie ważnym elementem polityki Londynu. W tym samym czasie francuski minister ds. europejskich Clément Beaune wygłaszał banały, że woli Europę chroniącą swoje granice, a nie zaszytą za drutem kolczastym i murami.

W wypadku Ameryki dość wyraziste deklaracje poparcia dla Polski i państw bałtyckich nie dorównywały jednak zdecydowaniem ostrzeżeniom wobec Putina, by ten porzucił myśli o ponownym ataku na Ukrainę. To wsparcie dla Kijowa wydaje się jednak bardziej troską o wizerunek USA. Po zenującej rejeradarze z Afganistanu prezydent Joe Biden nie bardzo może sobie pozwolić na kolejne upokorzenie Ameryki.

RAJ DLA SZANTAŻYSTY

Filozof Dariusz Karłowicz bardzo trafnie zdefiniował problem, który Zachód ma

z wojną hybrydową. „Jest to problem ściśle związany z podstawowym dla zachodniej kultury sposobem myślenia o rzeczywistości. [...] Kłopot poznawczy i lingwistyczny. Idzie mianowicie o trudność uchwycenia, a co za tym idzie – nazwania – stanu, w którym znajduje się rzeczywistość [...] Skuteczny paraliż poznawczy polityków, generałów, mediów, opinii publicznej skutkuje wszak paraliżem działania. Jak powinna wyglądać adekwatna i proporcjonalna odpowiedź na wojnę-niewojnę? Jak ustalić, gdzie kończy się pokój? Kiedy wydalić dyplomatów, wprowadzić sankcje, wprowadzić czołgi? A może najlepiej poczekać, aż się sprawa wyjaśni? A co, jeśli będzie już za późno albo – co gorsza – nie wyjaśni się nigdy”.

Możemy z pewną dozą satysfakcji stwierdzić, że Polska wyciągnęła trafne wnioski z hybrydowego ataku na Ukrainę w 2015 r. Polski rząd trzymał się w sporze z Białorusią zasady „zero tolerancji” dla każdego naruszania przez Białoruś zasad pokojowego sąsiedztwa. Zadbano, aby granica była tym, czym jest dla każdego państwa wysoko ceniącej suwerenność. Uznawano walkę z naruszaniem granicy jako coś nieporównywalnie ważniejszego od rozwiązywania problemu humanitarnego, owszem, dramatycznego, ale będącego na drugim planie wobec groźby rozmiękczenia polskiej suwerenności. I w tym sensie zrozumieć można niechęć rządu Mateusza Morawieckiego do zaangażowania Frontexu. Wynikało to właśnie z obawy, że urzędnicy tej unijnej agencji będą rozmywać konflikt, dając się wciągnąć Łukaszenko w rozmaite pułapki z użyciem szantażu moralnego.

NA GRZĄSKIM GRUNCIE

Angela Merkel zadzwoniła w końcu do premiera Morawieckiego, obiecała koordynować działania na rzecz rozwiązania konfliktu z Warszawą. Temu samemu służyć miało spotkanie w Warszawie niemieckiego szefa MSW Horsta Seehofera z Mariuszem Kamińskim. Trudno jednak będzie pogodzić dialog skupiony tak mocno na osobistym kontakcie między kanclerz Niemiec a Putinem i Łukaszenką z jakąś wspólną dyplomacją. Jeśli Merkel traktowałaby politykę unijną na serio, to zorganizowałaby spotkanie chociażby tylko z liderami państw graniczących z Białorusią, zanim chwyciłaby za telefon.

Będzie to dość trudna próba dla rządu w Warszawie. Dopóki rząd PiS bronił granicy – dopóty sprawa była dosyć

oczywista. Teraz stanie wobec wyboru. Albo zaakceptować ugodę, którą wysmażą Angela Merkel i Ursula von der Leyen, albo odwracać się plecami. Nie będzie to dla Morawieckiego łatwe, gdyż konfliktów z Unią już i tak ma multum. Jeżeli jednak Zachód zalepi konflikt pieniędzmi i rozładuje problem uchodźców na Białorusi – czy to przyjmując część z nich, czy to odsyłając resztę do ich krajów – to Polska będzie mogła uznać, że plan minimum został wykonany.

Przybywszy z Iraku czy Syrii musieli porzucić swój zamiar przemaszerowania przez Polskę do swoich wyteśnionych Niemiec z całkowitym lekceważeniem suwerenności naszego kraju. Jak można się domyślić, albo obozy dla uchodźców zostaną zbudowane na terenie Białorusi za solidne pieniądze unijne, albo znalezione będzie dla imigrantów jakieś neutralne miejsce, np. Mołdawia. Wysłannicy z Berlina próbowali już wepchnąć imigrantów do obozów na terenie Ukrainy, ale Kijów bardzo zdecydowanie odmówił. Znacznie słabsza i biedniejsza Mołdawia może ulec propozycjom hojnej pomocy finansowej. Odetchnie też prezydent Emmanuel Macron, którego w kwietniu przyszłego roku czekają wybory prezydenckie i który chce rozwiązać problem z Białorusią jak najszybciej.

Tyle że wszystko to nie rozwiązuje jednego podstawowego problemu. Rosja kolejny raz zyskuje na grze w zbijanego. Wykreowała agresywny konflikt, a potem udało się jej odegrać rolę zatroskanego o stabilizację kontynentu partnera Zachodu. W tym sensie polityka Kremla wobec Niemiec okazała się kolejny raz skuteczna. I właśnie ten sukces mogący skutkować kolejnymi planami agresywnych operacji powinien być dla Zachodu największym problemem. Zamiast tego celebryci z całej Europy skupiają się na losie imigrantów.

Można podejrzewać, że wielu spośród przybylszy z Bliskiego Wschodu już dziś uważa Łukaszenkę za swojego zbawcę. A Zachód może postrzegać z podwójną pogardą. Niechęcią wobec tych, którzy nie chcieli ich przyjąć, ale musieli ustąpić wobec ich dobrodziejstwa „Alaksandra Wielkiego”. Dziennik „Die Welt” gorzko komentuje: „Unia Europejska nie uniknie rozwiązania kryzysu na granicy, który pozwoli białoruskiemu dyktatorowi na ukrycie porażki”. Tylko czy takie ukrycie porażki nie okaże się per saldo zwycięstwem satrapy z Mińska?

Rozsypać, ułożyć na nowo



FOT. SHUTTER/REUTERS/FORUM



Rafał A. Ziemkiewicz

Putin, patronując puszczaniu masy migrantów na Polskę, realizuje najświętszy swój cel: broni Rosji przed zagrożeniem dla jej mocarstwowości. Ponieważ, w przeciwieństwie do polityków demokratycznych, ograniczających swe myślenie do kilkuletnich kadencji, Putin patrzy perspektywicznie, dostrzega, że takie zagrożenie – i to śmiertelne – stanowi dla Rosji Polska

Wbrew płynącym z Zachodu słowom zachęty i poparcia Polska, wraz z Litwą i Łotwą, stawiają opór hybrydowej agresji Putina i Łukaszenki właściwie osamotnione. A nawet, pośrednio, agresja ta jest przez Zachód popierana, bo przecież Unia deklarując głośno, że jest wdzięczna Polsce za obronę jej wschodniej granicy, bynajmniej nie zmniejsza skali swego wsparcia dla lewicowo-liberalnej opozycji, która pod pozorem troski o humanistyczne wartości odgrywa w tej wojnie rolę Łukaszenkowskiej piątej kolumny.

Dlaczego Zachód, poza nic nieważącymi słowami, nie wspiera Polski w chwili, gdy ta chroni jego żywotne interesy? Dlaczego nie chce partycypować w kosztach umocnienia i obrony granicy Unii? Dlaczego Angela Merkel ponad naszymi głowami negocjuje z Putinem i Łukaszenką, a próbuje tego też Emanuel Macron? I co właściwie negocjują?

Dodam jeszcze jedno do tych narzucających się pytań: Kto najgorzej wyjdzie na tych negocjacjach i dlaczego będzie to Ukraina?

Wszystko to łatwo zrozumieć, jeśli uświadomimy sobie, jakie są przyczyny agresji i jej cele. Nie należy się tu skupiać na celach Łukaszenki, które są dość ograniczone. Białoruski dyktator liczy na powtórzenie sukcesu premiera Turcji, Erdoğan, z roku 2015. Uderzając migracyjnym młotem w Bałkany, zmusił on wtedy Europę do uległości – Angela Merkel przyjechała do Stambułu z obietnicą miliardów euro, słowem nie wspominając podczas całej wizyty o prawach człowieka i represjach wobec opozycji, co ucięło jak nożem wrażliwość Unii na sprawy demokracji w tym kraju.

Oba te cele – okup za zaprzestanie nasyłania migrantów oraz uznanie swych rządów – marzą się niewątpliwie satrapie z Mińska. Ale przecież nikt poważny nie wątpi, że w obecnej sytuacji Łukaszenka

nie może palcem kiwnąć bez przyzwolenia Moskwy i że to właśnie w Putinie upatrywać należy głównego gracza. Dlatego to z nim, a nie z Łukaszenką negocjuje Angela Merkel – telefon do Mińska wykonała dopiero później, wyraźnie z woli Putina, i miał on tylko charakter prezentu dla Łukaszenkowskiej propagandy.

CO CHCE UGRAĆ PUTIN?

W moim przekonaniu dla rosyjskich elit władzy jest to wojna prewencyjna. Putin, patronując puszczaniu masy migrantów na Polskę, realizuje najświętszy cel swój, swoich poprzedników i prawdopodobnie następców: broni Rosji przed zagrożeniem dla jej mocarstwowości. Ponieważ, w przeciwieństwie do polityków demokratycznych, ograniczających swe myślenie do kilkuletnich kadencji, Putin patrzy perspektywicznie, dostrzega, że takie zagrożenie – i to śmiertelne – stanowi dla Rosji Polska.

Dla nas zakrawa to na paradoks, bo przytłoczeni postkolonialnym kompleksem niższości i wytresowani „pedagogiką wstydu”, leczoną nieskutecznie romantycznymi fantazmatami, nie umiemy sobie wyobrazić przyszłej Polski nie tylko jako zagrożenia dla Rosji, lecz także nawet jej równorzędnego przeciwnika – stąd nasze tchórzliwe, odarte z godności czepianie się za wszelką cenę unijnej klamki. Ale Rosja taką możliwość widzi i boi się jej. Boi się Polski silnej gospodarczo, boi się sytuacji, w której obywatele Ukrainy i Białorusi bogaciliby się nie tylko jak teraz, przyjeżdżając do

Polski i obejmując tu stanowiska pracy, które dla wzbogaconych już Polaków przestały być atrakcyjne, ale pozostając u siebie i kultywując gospodarcze związki z Polską. Boi się sytuacji, o której, jako o scenariuszu pozytywnym, pisałem wielokrotnie, na którą wskazywali też wielokrotnie autorzy z kręgu Strategy & Future czy innych pravicowych think tanków: odbudowania, na nowy sposób, obszaru jagiellońskiego. Czyli wypchnięcia Rosji z dawnych terenów Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Bez Ukrainy i Białorusi Rosja skazana jest na degradację. Uniknąć jej to dla niej najważniejsze zadanie.

UPADEK AMERYKI

Głoszone nie tak jeszcze dawno na Zachodzie teorie „końca historii”, zgodnie z którymi demokracja liberalna musi iść coraz dalej i dalej, a po Kijowie kolejne kolorowe rewolucje wybuchnąć muszą także w Mińsku i w Moskwie, potraktowano na Kremlu poważniej, niż traktowali je sami ich głosiciele. Oczywiście w politycznym mentalu Rosji nie istnieje coś takiego jak rewolucja, która wybucha spontanicznie, sama z siebie. Rewolucja jest zawsze narzędziem wojny, efektem działania obcych służb – tak właśnie potraktował Kreml zarówno „pomarańczową” rewolucję na Ukrainie, jak i bezwzględnie stłumione protesty na Białorusi, w których propaganda reżimu nie przypadkiem przypisała sprawczą rolę Polakom.

Prasowe teorie, tłumaczące obecny atak na Polskę „zemstą” za werbalne wsparcie udzielone białoruskiej rebelii (bo przecież poza gadaniem nic tak naprawdę dla Białorusinów nie zrobiliśmy), zaciemniają istotę sprawy. W polityce nie ma czegoś takiego jak zemsta. Jest natomiast wykorzystywanie okazji. Okazją, którą Putin i używany przez niego Łukaszenka bezwzględnie wykorzystują, jest upadek znaczenia Ameryki. Jego spektakularnym przejawem była oczywiście sromotna rejtarda US Army z Afganistanu, skąd wielotysięczne siły mocarstwa przepędzone zostały przez uzbrojone tylko w lekką broń grupy partyzantów i gdzie zostawiły magazyny pełne ciężkiej broni, amunicji, a nawet dolarów. Ale na politykę Kremla większy od niej wpływ miała umowa zawarta przez USA z Niemcami, praktycznie oddająca Europę pod niemiecki zarząd i otwierająca drogę do ułożenia przyszłości Europy Środkowej przez oś Berlin – Moskwa.

Białoruska operacja „Śluza” jest ze strony Moskwy skonsumowaniem tej umowy. Moskwa oczekuje spełnienia kilku jej oczekiwań. Pierwsze zostało już zaspokojone: Berlin, za czym niewątpliwie pójdzie UE, zgodził się, że to Putin władą obszarem za Bugiem i z nim należy negocjować. W perspektywie otwiera to drogę do uznania linii Curzona za granicę rozdzielenia stref wpływu, a więc na tę lub inną formę aneksji Białorusi i Ukrainy przez Rosję. O ile w wypadku Białorusi praktycznie dokonało się to przez całkowite zwasalizowanie niechcianego przez własny naród dyktatora, o tyle wobec Ukrainy trzeba będzie użyć przemocy. Należy się spodziewać, że Rosja będzie się to starała zrobić jak najszybciej, wykorzystując katastrofę USA spowodowaną rządami Bidena, przewidywaną i potęgowaną przez Gazprom zimowy kryzys energetyczny w UE i osłabienie Niemiec w okresie politycznej zmiany warty.

WASALIZACJA POLSKI

Drugim celem Moskwy jest zagwarantowanie jej przez UE wasalnego statusu Polski. Tylko przekształcenie nas w „unijne województwo” może zagwarantować w dalszej perspektywie zahamowanie gospodarczej ekspansji Polski w kierunku Wschodu. Chodzi o to, żebyśmy zamiast państwem zdolnym do rozwoju byli ostatnim wagonikiem w pociągu ciągniętym przez „niemiecką lokomotywę”, krajem peryferyjnym względem Zachodu, uzależnionym od niego energetycznie i gospodarczo. Oczywiście jeśli uzależnienie nas energetycznie od Niemiec będzie jednocześnie uzależnieniem nas od rosyjskiego gazu, którego Niemcy będą „hubem” na Europę, to taka sytuacja będzie dla Moskwy wręcz wymarzona.

Ten cel – wasalizacja Polski – jest doskonale zgodny z dążeniami dominującą obecnie wśród eurokratów i w rządach większości unijnych państw zachodniej liberalnej lewicy, nastawionej na szybkie przekształcenie Unii z organizacji suwerennych państw w centralnie zarządzane państwo europejskie. Pasuje również do realizowanej przez Niemcy strategii neobismarckowskiej, zakładającej niemiecką dominację nad Europą dzięki oparciu się na mocnym sojuszu z Rosją. Jest wreszcie zgodny z marzeniami polskiej liberalno-lewicowej opozycji, której jedynym planem politycznym jest w tej chwili objęcie władzy pod naciskiem

UE, w roli jej „zarządu komisarycznego”, który natychmiast poniecha wszelkich narodowych ambicji i odda narzędzia niezbędne do ich ewentualnego realizowania w przyszłości – bo to przecież oznacza postulat: „płynąć w głównym nurcie polityki europejskiej”.

Na razie sytuacja rozwija się zgodnie z planami Putina – dowodem obdarowanie Łukaszenki milionami euro „pomocy humanitarnej” dla „uchodźców”, od których sam już skasował grube pieniądze za przywiezienie ich nad polską granicę. Jedno tylko, jeśli trafnie ten plan odczytuję, poszło nie tak. Zapewne zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie spodziewano się, że Polska zachowa się racjonalnie i, wobec postawy Zachodu, tak jak sześć lat temu Orbán, „otworzy korytarze charytatywne”, umożliwiając szturmującej granice masie przedostanie się do Niemiec. Ułatwiłoby to antypolską grę organów UE i rządu Niemiec oraz jej propagandowe uzasadnienie. Tymczasem Polska jak zwykle zagrała w donkiszoterię i uparcie, wielkim kosztem broni swej granicy przed hordami, które przecież wcale nie do Polski się wybierają. Znając rządzących, robimy to zapewne w przeświadczeniu, że jeśli nie cały Zachód, to przynajmniej Niemcy docenią nasze starania, zrobi im się tak po ludzku wstyd, że wciąż nas kopia, i zechcą się jakoś odwdziżyć.

Nic takiego oczywiście nie nastąpi. Jedynym skutkiem tego uporu, kontrastującego z realizowaniem polityki Putina i interesów postulowanego „państwa europejskiego” przez polityczno-medialną piątą kolumnę opozycji, jest wzrost popularności rządzącego PiS i dalsze oderwanie od społeczeństwa lewicowo-liberalnej elity. Nie jest to dla Polski złe, ale też nie jest to nic, co mogłoby przeszkodzić w negocjowaniu nowego paktu Ribbentrop-Mołotow, który ma zakończyć konflikt na polskiej wschodniej granicy i dać zielone światło do zwasalizowania Ukrainy, która, niefortunnie dla siebie, całą swą politykę zorientowała na Niemcy i właśnie dostaje od nich podobną lekcję „Realpolitik”, której wielokrotnie (i bezskutecznie, swoją drogą) udzielano i nam. Możliwe zresztą, że jakieś ustalenia już zapadły – nie wiemy przecież, co w kwestii Europy Środkowej uzgodniła z Władimirem Putinem upoważniona do tego przez Joe Bidena Angela Merkel.



Kamila Baranowska

Nie da się przekonywać o byciu nową jakością w polityce, a jednocześnie przyjmować na pokład starych politycznych wyjadaczy z Platformy. Jakie kalkulacje stoją za ostatnimi decyzjami Szymona Hołowni?

My w Polsce 2050 bardzo konsekwentnie od ponad roku budujemy w Polsce nową politykę – mówił na niedawnej konferencji prasowej Szymon Hołownia. I nie byłoby w tym niczego zaskakującego (bo podobne rzeczy Hołownia mówi, odkąd pojawił się w polskiej polityce), gdyby nie kontekst, którym było poinformowanie opinii publicznej, że szeregi jego partii zasilili wieloletnia działaczka polityczna i do niedawna europosłanka Platformy Obywatelskiej Róża Thun.

Jeśli to właśnie Thun ma być symbolem „nowej polityki” zapowiadanej przez Polskę 2050, to pytanie, czy uda się do takiej narracji przekonać wyborców. Zwłaszcza tych dotąd niezaangażowanych politycznie, dla których PiS i Platforma były nie do zaakceptowania, a na których od początku orientował się Szymon Hołownia.

– Hołownia to nie pierwszy i nie ostatni polityk, który co innego deklaruje, a co innego robi. Janusz Palikot czy Ryszard Petru też mówili o nowej jakości, powiecie świeżości, a potem zbierali polityków zewsząd – przypomina w rozmowie z „Do Rzeczy” Marcin Palade, ekspert od polityki, specjalizujący się w geografii wyborczej.

Dwa tygodnie wcześniej Hołownia pochwalił się innym transferem, przyjmując na pokład wyrzuconego z Platformy Pawła Zalewskiego. Lider Polski 2050 zachwalał jego polityczne doświadczenie i zakorzenienie w polskiej polityce. – Nasze koło powiększa się o znakomitego polityka, osobę, która sięga swoimi politycznymi korzeniami aż do czasów walki o niepodległość w latach 80. To uczestnik obrad Okrągłego Stołu, to człowiek, który był swego czasu i w PiS, i był członkiem PO, dziś dołącza do Polski 2050, a my serdecznie go na pokładzie witamy, licząc, że bardzo wzmocni naszą nadzieję na to, że dziś scenę polityczną w Polsce trzeba



Do Polski 2050 Szymona Hołowni przeszła europosłanka Róża Thun

FOT. FOTOMAG / GAZETA POLSKA / FORUM

Polityka otwartych ramion

zdepolaryzować, odejść od tego wyniszczającego sporu między dwiema wielkimi siłami politycznymi – mówił Hołownia.

Mówienie o depolaryzacji sceny politycznej i stawianie na ludzi, którzy jeszcze przed chwilą odpowiadali za tę polaryzację, będąc twarzami jednego z dwóch największych politycznych obozów, wydaje się stać ze sobą w sprzeczności. Choć Michał Kobosko, przewodniczący Polski 2050, przekonuje, że sprzeczności tu nie ma.

– Nowa jakość to też umiejętność łączenia nowej energii z doświadczeniem. Transfery pomagają w budowie nowej siły politycznej – mówi Michał Kobosko. – W Polsce 2050 łączymy dwa żywioły – ludzi z doświadczeniem politycznym oraz tych, którzy nigdy dotąd nie byli politykami, ale chcą dziś brać sprawy w swoje ręce, zmieniać państwo na lepsze, skupiając się bardziej na obywatelach i ich problemach. To oczywiste, że w mediach głośniejszy jest o tej pierwszej grupie, bo to najbardziej rozpoznawalne nazwiska, ale mamy w ruchu także osoby znane i szanowane za działalność poza polityką, takie jak gen. Mirosław Różański czy mec. Jacek Trela. Stawiamy na jakość, więc przy każdym indywidualnym transferze zestawiamy doświadczenie i kompetencje merytoryczne danej osoby z potrzebami naszej rozwijającej się organizacji.

O co zatem może chodzić Hołowni? Przyczyn jest wiele. Hołownia – nie będąc

posłem – uznał, że aby być stale obecnym w debacie publicznej, musi mieć jak najsilniejszą reprezentację w parlamencie. Dlatego chętnie przystawał na wszelkie transfery, przyjmując ludzi i z Platformy (jak ostatnio Zalewski, a wcześniej Tomasz Zimoch, Joanna Mucha czy Michał Gramatyka), i z Nowoczesnej (Paulina Hennig-Kloska, Mirosław Suchoń), a także z Lewicy (Hanna Gill-Piątek) i Porozumienia Jarosława Gowina (Wojciech Maksymowicz).

KOLEJNY PRZYZÓŁEK

Dzięki polityce otwartych ramion dla wszystkich dziś w Sejmie ruch Hołowni ma własne koło poselskie. Także w Senacie ruch Hołowni jest obecny za sprawą senatora Jacka Burego, który porzucił Platformę. Po parlamencie przyszedł więc czas na kolejny przyczółek – Parlament Europejski, gdzie dotychczas Hołownia nie miał żadnego przedstawiciela. – W przypadku Róży Thun i Pawła Zalewskiego rozmowy trwały kilka miesięcy. Wzmocnienie naszego ruchu przez tych znanych polityków wiąże się z kolejnym etapem rozwoju Polski 2050, którym jest wejście do debaty europejskiej w Brukseli i Strasburgu oraz do debaty geopolitycznej – przyznaje Michał Kobosko.

Marcin Palade zwraca przy tej okazji uwagę na jeszcze jedną niespójność u Hołowni. – Wraz z Różą Thun Polska 2050

przyłączyła się do frakcji liberałów i macronistów Renew Europe, czyli następczyni frakcji ALDE, do której należała choćby Nowoczesna. A przecież jeszcze niedawno stawiał na lewicującą, proekologiczną młodzież, do której kierował swój przekaz na ostatniej konwencji programowej – zastanawia się w rozmowie z „Do Rzeczy”.

I może właśnie w tym rzecz, że otoczenie Hołowni uznało, że zamiast bić się o niepewnych wyborców umiarkowanych, niezdecydowaną młodzież czy tych, którzy się dotąd polityką nie interesowali, lepiej postawić na wrogie przejęcie wyborców Platformy? W tym kontekście przejmowanie polityków tej partii nie tylko nie szkodzi, lecz także może pomóc, pokazując, że nawet dla nich Hołownia staje się coraz bardziej atrakcyjną alternatywą po stronie opozycyjnej.

– Hołownia, stawiając na rozpoznawalnych polityków Platformy, musi uważać, by nie zniechęcić partyjnych dołów. Bo jego struktury rzeczywiście tworzą ludzie w polityce nowi, dotąd nieangażujący się, którzy wierzą, że Polska 2050 to nowa jakość. Jeśli stracą tę wiarę, to mogą się zbuntować i Hołowni posypie się to, co zdążył zbudować – przestrzega Marcin Palade.

Sytuacji nie ułatwia dziś Polsce 2050 obecność Donalda Tuska w polskiej polityce. Do czasu jego powrotu Hołownia brylował jako nowa nadzieja opozycji, pozycjonując się na pierwszych miejscach w sondażach zaufania. Także z badań poparcia dla partii widać było, że Polska 2050 rośnie kosztem Platformy, która pogrążała się w wewnętrznym kryzysie. Pojawiły się nawet sondaże, w których Polska 2050 wyprzedzała Koalicję Obywatelską.

Powrót Tuska dał Platformie wiatr w żagle, a tym samym przyhamował wzrosty Hołowni. Pytanie, czy tylko chwilowo i czy to się nie zmieni w miarę, jak efekt Tuska będzie gaś. Na razie Hołownia może liczyć na poparcie rządu 12 proc. Ciekawe jednak wnioski płyną z niedawnego sondażu IBRiS dla Onetu, który zbadał potencjał partii opozycyjnych. Wynika z niego, że Polska 2050 ma większe szanse na wynik zbliżony do PiS niż Koalicja Obywatelska m.in. z racji tego, że posiada mniejszy elektorat negatywny. Wedle tego badania na Polskę 2050 jest gotowych głosować 32,5 proc. wyborców, a 9 proc. respondentów ma neutralny stosunek do tej partii. Łączny „potencjał wyborczy” Polski 2050 wyniósł więc 41,5 proc. Głosowanie na ruch Hołowni wyklucza

58,5 proc. Głosować na Koalicję Obywatelską jest gotowych 25,2 proc. badanych, a 9,4 proc. ma do niej stosunek neutralny. 65,5 proc. wyklucza głosowanie na KO. Potencjał wyborczy Koalicji wyniósł więc 34,6 proc.

CO Z WYBORAMI?

Decyzja o tym, w jakiej konfiguracji startować w wyborach parlamentarnych, będzie jedną z kluczowych dla Szymona Hołowni. Na razie pozostaje wstrzemięźliwy wobec składanych publicznie przez Donalda Tuska apeli o wspólną listę opozycji.

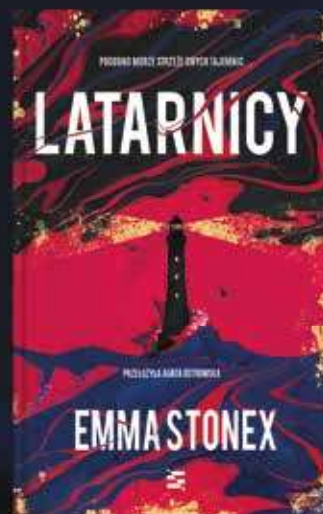
Lider PO stwierdził, że ten, kto nie zaakceptuje konieczności zjednoczenia opozycji, „sam znajdzie się na marginesie polityki”. Dodał też, że to „jeden z oczywistych testów na patriotyzm”. Hołownia w Polsat News odpowiedział wówczas, że „nie da się szantażować”. – Donald Tusk proponując to zjednoczenie opozycji, o którym coraz goręcej słyszymy z ust Platformy Obywatelskiej, totalne zjednoczenie totalnej opozycji – jak powiedziałby pewnie PiS, proponuje nam lekarstwo, które sześć razy zawiodło – stwierdził lider Polski 2050. – Czuję się jednak w kłopotcie, kiedy ktoś znowu zaczyna używać mechanizmów, które dzielą Polaków na tych, którzy stoją po właściwej stronie, i „tych, którzy stoją tam, gdzie stało ZOMO”, decydując, że on będzie mówił, kto jest w Polsce patriotą, albo i nie – powiedział.

Pytanie, czy to twarde stanowisko Hołowni czy jedynie podbijanie stawki w przyszłych negocjacjach z Tuskiem. Na stole, obok samodzielnego startu i startu w wielkiej koalicji z Platformą, leży jeszcze scenariusz mniejszej koalicji z PSL i Porozumieniem Jarosława Gowina. Ostatecznie wszystko zapewne będzie zależało od tego, na jakie poparcie formacja Hołowni będzie mogła liczyć w przededniu kampanii wyborczej i w jakim sojuszu jej szanse na dobry wynik będą największe.

– Wyborcy Hołowni to zbieranina różnych elektoratów, jest tu trochę rozczarowanych wyborców PO, Lewicy, PiS i PSL. I w dużej mierze od tych partii i ich zdolności do zwiększania własnej wyborczej atrakcyjności będzie zależało poparcie Polski 2050. To wypadkowa tego, co robi i proponuje sam Szymon Hołownia, ale także tego, co robi jego konkurencja, bo on buduje się na jej słabości – konkluduje Marcin Palade.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

PREMIERA 24 listopada



Podobno nigdy
nie odkryjemy,
co się z nimi stało.

Podobno morze
strzeże swych
tajemnic...





Łukasz Zboralski

Najpierw lekarze schowali się za teleporadami, potem wpuścili do gabinetów. Tylko wciąż dostać się do nich trudniej niż przed pandemią. Coraz częściej choroby stają się zaawansowane, zanim zaczyna się je leczyć

Teoretycznie wszystko już jest jak dawniej. Lekarze nie przemawiają do nas ze słuchawki telefonicznej i nie każą pokazywać zmian skórnych przez Skype'a. Gabinety od dawna są otwarte i nie trzeba już pukać specjalnie zostawionym pod budynkiem kijem w okno przychodni (to nie żart, tak bywało w niektórych miejscowościach). Jedno się jednak wciąż nie zmieniło – do lekarza wciąż trudniej się dostać niż w czasach przed pandemią. Czy tak być musi? Czy tak zostanie?

GŁUCHY TELEFON

Pierwszą barierą, którą napotykają teraz pacjenci, jest bariera telefoniczna. Dawniej część z nich też dzwoniła do przychodni Podstawowej Opieki Zdrowotnej, ale wielu też po prostu zjawiało się rano przed drzwiami i zgłaszało bezpośrednio do rejestracji. Teraz nic z tego. Trzeba dzwonić. Unika się sytuacji, by w przychodniach ludzie przesiadali w kolejkach (choć do końca tego wyeliminować i tak się nie da).

Jak to wygląda w praktyce, opisał niedawno „Kurier Lubelski”. Jedna z czytelniczek zrelacjonowała dziennikarzom próbę zapisania się do lekarza. W ciągu półtorej godziny od rana wykonała 77 (!) połączeń telefonicznych, zanim w ogóle udało się jej dodzwonić do przychodni. Gdy wreszcie ktoś telefon odebrał, kobieta usłyszała, że dziś już nie znajdzie się dla niej miejsce. Z teleporady też nie mogła skorzystać, bo te przeznaczono wyłącznie dla pacjentów z koronawirusem. Dostała poradę inną: żeby zadzwonić następnego dnia. Ostatecznie, po perypetiach, przekierowano ją do innej przychodni, gdzie już załatwiła swoją sprawę zdrowotną.

Taka sytuacja uderza najbardziej w seniorów. To im łatwiej było osobiście

Pacjencie, lecz się sam



FOT. ADAM STOK

umawiać się na wizyty w przychodniach. Czasem są zupełnie samotni i wówczas sto nieudanych prób połączenia z lekarzem sprawi, że mogą się poddać. Ci, którzy mają bliskich, mogą liczyć na pomoc. – To oczywiście znów powoduje z kolei stres u dzieci, tak jak u mnie – mówi pani Marlena z Nidzicy, której 80-letnia matka mieszka w innym województwie. – Gdy coś się dzieje, to ja muszę interweniować telefonami i wszystko próbować załatwić. I zrobię wszystko, by mama otrzymała opiekę lekarską, ale w takiej sytuacji naprawdę kosztuje to wiele zachodu – przyznaje.

– Tylko w tym roku podjęliśmy prawie 1,2 tys. interwencji w wielu sprawach, również takich, gdy pacjenci nie mogli dodzwonić się do przychodni. Obecnie najwięcej jest właśnie takich zgłoszeń – przyznawał niedawno w rozmowie z „Wprost” Bartłomiej Chmielowiec, rzecznik praw pacjenta. – Interwenujemy szczególnie, gdy mamy zgłoszenia, że rodzic nie może dostać się do przychodni z dzieckiem, mimo że ma ono gorączkę, kaszel czy np. duszność.

Interweniować w takich sprawach u Rzecznika Praw Pacjenta warto. Bo gdy po jego interwencji przychodnia nadal działa tak, że pacjenci nie mogą się do niej dodzwonić, może zostać na nią nałożona kara nawet do 500 tys. zł.

Kolejny problem to zamknięte na odwiedzających szpitale. W takich sytuacjach starsi pacjenci znów często muszą liczyć tylko na siebie. – Niedawno wróciłam z Wojewódzkiego Szpitala Obserwacyjno-Zakaźnego w Bydgoszczy i tam odwiedziny pacjentów nie były dozwolone – relacjonuje pani Maria, która była tam na badaniach w ubiegłym tygodniu. – Na szczęście ja nie przebywałam tam długo, zaledwie cztery dni – dodaje.

Tymczasem według Rzecznika Praw Pacjenta szpitale nie powinny ogólnie ograniczać odwiedzin, tak jak to się działo w roku 2020. Każda placówka powinna wypracować odpowiednie procedury. Może czasem oczywiście ograniczać np. odwiedziny tam, gdzie leżą wyjątkowo chorzy i osłabieni ludzie, ale w innych sytuacjach powinno się pacjentom umożliwiać kontakt z rodziną.

ZDROWOTNY DŁUG

Podczas pierwszego roku pandemii, gdy obawy przed koronawirusem były

dużo większe niż obecnie, już wskazywano, że narasta tzw. zdrowotny dług. Ludzie pozbawieni opieki zdrowotnej zmagali się z chorobami, które coraz dłużej się rozwijały i osiągały kolejne stadia.

– W czasie pandemii zaobserwowaliśmy znaczny spadek wykrywania raka prostaty. Natomiast w tej chwili mamy wzrost wykrywalności raka w bardziej zaawansowanym stadium, którego nie da się wyleczyć albo którego trudniej wyleczyć w sposób łagodny dla pacjenta. Nazywamy to długiem zdrowotnym, który został zaciągnięty w czasie pandemii.

Żeby dostać się do lekarza rodzinnego, trzeba mieć najpierw sporo szczęścia, by się dodzwonić do przychodni i zapisać

Niestety, będziemy płacić odsetki od tego długu przez długi czas – wskazywał w rozmowie z Newserią dr Stefan W. Czarniecki, urolog, dyrektor ds. innowacji w Szpitalu św. Elżbiety w Warszawie.

Podobnie jest w innych dziedzinach. Podczas ubiegłotygodniowej debaty „Kardiologia dla pokoleń” prof. Przemysław Mitkowski, prezes Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego, zwracał uwagę, że wielu pacjentów kardiologicznych nie zgłaszało się do lekarzy z powodu strachu przed zarażeniem koronawirusem. Czasem bali się tak bardzo, że nie przychodzili już nawet na wyznaczone zabiegi.

Przytaczał też konkretne dane. Wynika z nich, że od 15 marca do 14 kwietnia 2020 r. w porównaniu z analogicznym okresem w 2019 r. liczba wszczepień urządzeń kardiologicznych spadła aż o 46 proc. Liczba ablacji (zabiegu w leczeniu zaburzeń rytmu serca) spadła nawet o 80 proc. U specjalistów z kardiologii świadczenia ambulatoryjne spadły o 15 proc., a w lecznictwie szpitalnym – aż o 25 proc.

– To wszystko spowodowało, że pacjenci, którzy trafiali do nas na początku bieżącego roku, byli w zdecydowanie bardziej zaawansowanych stadiach choroby, a wielu z nich zmarło. Tak powstał dług zdrowotny, który nam w tym roku

bardzo trudno spłacić – mówił cytowany przez PAP prof. Mitkowski. I ostrzegął, że fala zgonów osób z chorobami serca też jeszcze jest przed nami.

FALE ZMYWAJĄ PUDER

Tymczasem – na domiar złego – w Polsce znów sezonowo rośnie liczba zakażeń koronawirusem i liczba osób, które wymagają hospitalizacji. A przy okazji w tym sezonie do lekarzy pierwszego kontaktu zgłasza się dużo więcej pacjentów z różnego rodzaju infekcjami. Swoje żniwo wśród dzieci zbiera np. wirus RSV, który powoduje infekcje górnych dróg oddechowych.

Kumulacja zachorowań uwydatnia nasze wieloletnie zaniedbania. Od dawna wiemy, że w Polsce brakuje lekarzy rodzinnych. Młodzi wybierają inne specjalizacje, nie chcą pracować w POZ. Efekt? Brak ok. 10 tys. lekarzy. I nieswołe widoki na przyszłość, bo to ogromna dziura pokoleniowa. Są regiony w kraju, gdzie średni wiek lekarzy rodzinnych wynosi 60–65 lat. Oni w końcu odejdą. I tych lekarzy, którzy mieli być najbliżej pacjentów, jeszcze ubędzie.

Braki kadrowe to oczywiście nie tylko problem POZ, lecz także całej niedofinansowanej służby zdrowia. Co chwilę publikowane są doniesienia o likwidacji jakiegoś oddziału w kolejnym szpitalu. Bardzo źle jest z pediatrami. Niekiedy tak źle, że – jak w Zamościu – szpitale likwidują takie oddziały i ludzie z małymi chorymi dziećmi muszą jeździć do innych miast. Tamtejsze władze niepublicznego szpitala wynajęły nawet headhunterów, by szukali obsady na Ukrainie.

No i dochodzą do tego teraz kłopoty z rosnącą liczbą pacjentów z koronawirusem, którzy potrzebują szpitalnej opieki. Miejsc zaczyna brakować, więc placówki przekształcają kolejne zwykłe oddziały w covidowe. Czasem – tak jak w poradni hepatologicznej przy Szpitalu Wojewódzkim w Białymstoku – przestaje się przyjmować pacjentów, bo lekarzy przesuwają się do opieki nad chorymi na COVID-19.

Dla pacjentów są to wiadomości tylko złe. Na horyzoncie nie widać nadziei na poprawę. Z tego wszystkiego cieszyć mogą się tylko prywatne praktyki. Gdy ludzie nie mogą otrzymać publicznej opieki, zapłacą za nią na wolnym rynku.



Agnieszka Niewińska

Przyzwyczajaliśmy się już do telekonferencji, telepracy i lekarskich telewizyt. Okazuje się jednak, że nawet ze sprzedawcą odzieży czy kosmetyków można się spotkać on-line – podczas transmisji sprzedażowych

Witam was dziewczynki! Dzisiaj będzie wyprzedaż, trochę nowości wam pokażę – tak cykliczny sprzedażowy live otwiera pani Halina z Butiku Aligator z Czechowic-Dziedzic. Można w nim kupić m.in. odzież, buty, torebki, paski, zegarki, perfumy. I to bez wychodzenia z domu, podczas transmisji na żywo. W starannie wystylizowanym studiu z logo Gucci na podłodze pani Halina prezentuje kolejne produkty z oferty, podaje ceny, rozmiary. – Takie live robię od dwóch lat i z pewnością będę tę formę sprzedaży kontynuować – opowiada. – To nie jest dla mnie praca. To jest moja pasja. Prowadziłam duży butik, ale ze względów zdrowotnych musiałam zrezygnować. Nie chciałam jednak tracić kontaktu z zawodem, który uwielbiam, i stąd sprzedaż on-line oraz transmisje na żywo – mówi pani Halina.

Transmisje sprzedażowe to zyskująca na popularności forma zakupów on-line. Tu nie trzeba zakładać konta w sklepach internetowych, wypełniać formularzy, dodawać numerów kart płatniczych, by skorzystać z zakupów. Wystarczy profil w serwisie społecznościowym i śledzenie sprzedaży na żywo. Jeśli jest się zainteresowanym jednym z prezentowanych produktów, wystarczy zgłosić chęć zakupu w komentarzu lub wiadomości prywatnej, dokonać płatności na konto sprzedawcy i oczekiwać na przesyłkę.

– Trend na sprzedażowe transmisje przyszedł do nas z Chin i rozpowszechnił się w czasie pandemicznych lockdownów, kiedy wiele sklepów było zamkniętych. Chociaż po obostrzeniach nic już nie zostało, a sklepy są otwarte, to rynek sprzedażowych transmisji rośnie. Wielu ludziom spodobała się taka forma zakupów, już nie chcą chodzić po sklepach. Sprzedażowe transmisje to będzie jedna



Handel „na żywo”

z tych rzeczy, które zostaną nam po pandemii – mówi Szymon Sikorski, prezes agencji Publicon.

W Chinach wartość sprzedaży poprzez transmisje w 2020 r. amerykańska firma doradcza McKinsey & Company oszacowała na 171 mld dol. W swoim ra-

porcie o live commerce wskazała, że popularność sprzedaży w tej formie wynika m.in. z połączenia handlu z rozrywką. Dzięki temu klient zostaje przed ekranem dłużej niż w przypadku zakupów w standardowych sklepach internetowych i jest bardziej zaangażowany.



FOT. MATERIAŁY OUTLET MANUFAKTURA BOLESŁAWIEC

transmisji live prowadzi na swoim profilu facebookowym Outlet Manufaktura Bolesławiec. Na koncie ma już 40 transmisji.

– Zaczęliśmy prowadzić transmisje sprzedażowe jeszcze przed pandemią. Uznaliśmy, że to forma, która pozwala klientom na lepsze zapoznanie się z produktem niż zdjęcia w sklepie internetowym. Podczas transmisji pokazujemy ceramikę z wielu stron, przybliżamy do kamery, opowiadamy o niej, a także nawiązujemy bliskie, wręcz przyjacielskie relacje z naszymi klientami – wyjaśnia Adam Szymanek, dyrektor ds. marketingu Outletu Manufaktury Bolesławiec. – Kiedy w związku z pandemią nasze sklepy były zamknięte, taka forma sprzedaży świetnie się sprawdziła. Ludzie chętniej sięgali po przekaz wideo, co pozwoliło nam na organizowanie dwóch transmisji w tygodniu. Rekordowa była ta z grudnia ubiegłego roku, kiedy nadawaliśmy ze studia zaaranżowanego w zakładach w Bolesławcu. W jednym momencie oglądało nas ponad 2 tys. osób! Live trwał trzy godziny i po jego zakończeniu mieliśmy kilkaset paczek do wysłania – wspomina Adam Szymanek. I dodaje, że taką formę sprzedaży firma nie tylko będzie kontynuować, lecz także zamierza ją rozwijać.

Transmisje Butiku Aligator mają nawet 16 tys. wyświetleń. Widzowie dodają ponad 3 tys. komentarzy, w których dopytują o produkt lub zgłaszają chęć zakupu, pozdrawiają prowadzącą i dobrze znany im zespół, którego głosy słyszą zza kamery. Trudno nawet wyobrazić sobie sklep w realu, w którym zmieściłoby się tylu klientów naraz.

Z komentarzami z deklaracją zakupu trzeba się spieszyć, bo klientów on-line są tysiące, a liczba prezentowanych produktów ograniczona. Dlatego też obserwujący piszą zwińcie: „Wysokie kozaczki cyrkonie”, „Klaski płaskie z jenotem, może być na korku”, „Łańcuszek à la Versace” albo operują numerami przypisanymi półmiskom, kubkom czy maselnicom w Outlecie Manufaktura Bolesławiec.

– Chętnych zawsze jest więcej niż produktów, które są do kupienia w ramach transmisji. Mam zresztą wrażenie, że uczestniczącym w nich podoba się ten duch rywalizacji. Jeśli uda się im zarezerwować poszukiwany model kubeczka czy półmiska, chwalą się, że go „wygrali”, „wylosowali”, choć tak naprawdę po

prostu kupili go na naszej transmisji. Niezwykle miło jest nam później otrzymywać liczne zdjęcia i filmy pokazujące, jak nasi nowi „Bolkowi przyjaciele” użytkują nasze naczynia ceramiczne – mówi Adam Szymanek z Outletu Manufaktury Bolesławiec.

O PRALCE I CHAŁCE

W live’ach sprzedażowych, które trwają nawet kilka godzin, wielkie znaczenie ma osobowość i talent tego, kto je prowadzi. Transmisje sopockiego producenta biżuterii Jubilex przypominają niemal rodzinne spotkanie. Z kupującymi wita się Gabrysia, zza kamery słyszą głosy taty, relacje wspiera babunia. Poza prezentowaniem nowości, wyciąganiem biżuterii z promocyjnych szufladek nie brakuje osobistych komentarzy, np. o chałce, która w czasie transmisji rumieni się w piekarniku.

Pani Halina z Butiku Aligator na live’ie odpowiada klientkom, który ozdoby pasek „wymiały” w tym sezonie i który dres to „sztos” tej jesieni. Między prezentacją produktów odpowiada na pozdrowienia, opowiada anegdoty, np. o tym, jak do zepsutej pralki przyszedł serwisant, albo o początkach znajomości z mężem. – Niektóre klientki korzystają z naszych live’ów od dawna, więc znamy się bardzo dobrze. Dlatego pozwalam sobie czasem na jakąś prywatę, zabawną historię – śmieje się pani Halina.

– Rola sprzedawcy w handlu nigdy nie straciła na znaczeniu. Luksusowe marki dopiero teraz zaczęły wchodzić do Internetu, bo osobisty kontakt ze sprzedawcą był bardzo ważny dla ich klientów. Fenomen live commerce wynika między innymi z tego, że doceniamy doświadczenie sprzedażowe. Podczas takiej transmisji zamiast standardowych opisów sprzedający opowiada o produkcie, pokazuje go z każdej strony. Wiele popularnych live’ów sprzedażowych prowadzą lokalni handlowcy, właściciele niewielkich sklepów czy butików. Dzięki temu obserwujący ich mają poczucie, że nie ma tam fałszu i komercyjnego języka, tylko coś autentycznego. Ci, którzy potrafią nawiązać kontakt z klientem podczas takich transmisji, mogą liczyć na dobre zarobki. Słyszałem nawet o 80 tys. zł zysku ze sprzedaży podczas jednej transmisji – mówi Szymon Sikorski.

A sprzedażowe rekordy mogą dopiero paść, bo przed nami gorący zakupowy grudzień.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Szymon Sikorski podkreśla, że polską sprzedaż „na żywo” czeka profesjonalizacja. – Rynek już nad tym pracuje. Sprzedający będą mieli do dyspozycji specjalne platformy i aplikacje live commerce, które ułatwią transmitowanie, płatności, kontakt z klientami.

W Polsce sprzedający mają już do dyspozycji takie platformy jak Live Market czy Kupuj.Live. Tylko z Kupuj.Live, która wystartowała w drugiej połowie tego roku, skorzystało jak dotąd ponad 10 tys. kupujących.

KLASKI Z JENOTEM, ŁAŃCUSZEK JAK VERSACE

Sprzedażowe transmisje to najczęściej handel ubraniami, galanterią czy kosmetykami. Można jednak w ten sposób nabyć także biżuterię, elementy dekoracji stołu, a nawet słynną porcelanę z Bolesławca. Taką sprzedaż w formie



Z Anna Dudą

rozmawia

Tomasz Zbigniew Zapert

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Pani monodram pt. „Stryjeńska. Let's dance, Zofia!” wpisuje się w renesans popularności jego bohaterki, która doczekała się nawet fanpage'a! To rezultat ponadczasowości spuścizny artystycznej czy też kolorowej egzystencji malarki?

ANNA DUDA: To kwestia wiary w przeznaczenie i przywileju mojego zawodu. Od dziecka spotykałam Zochę w postaci reprodukcji jej prac. Pracuję w TVP jako gospodarz magazynu kulturalnego. Dzięki temu zetknęłam się z Andżeliką Kuźniak, która odkryła Stryjeńską dla świata, odkurzyła jej pamiętniki, notatki, wykonała niezwykle sumienną, dokumentalną pracę. Jestem też reżyserem dokumentalistą – najbardziej interesuje mnie ta „kieślowska, prawdziwa łza”, prawdziwe życie, szukanie tego, co porusza człowieka, co się kryje pod jego skórą. To spotkanie z Andżeliką wydarzyło się też w momencie, kiedy szukałam dla siebie nowych przestrzeni artystycznych i pomyślałam o słowie i teatrze. Najpierw bardzo nieśmiało. W filmie dokumentalnym czuję się jak ryba w wodzie, chociaż pływam nadal z pokorą w tych wodach. Teatr to nowy świat. Do tej pory tylko w nim bywałam i prowadziłam rozmowy z jego twórcami. Pracowałam nad tekstem prawie rok, jednocześnie pracując w telewizji i na uczelni. Potem chciałam sprawdzić, jak ten tekst działa. Pierwszymi recenzentami byli Mateusz Nowak, zaprzyjaźniony aktor, monodramista, i Marta Piasecka, zaprzyjaźniona bibliotekarka, a potem inni znajomi artyści pracujący ze słowem. Przecież marzyłam, aby mój projekt przyjęła do grania Dorota Landowska, wielka aktorka, którą znałam z teatru i ról filmowych, i miałam obawy, jaką ma wartość, czy pani Dorota nie weźmie mnie za wariata z przerośniętą ambicją.

Co spowodowało studentką maskaradę Stryjeńskiej?

Proszę sobie wyobrazić, jak wielka musi być determinacja, jak wielkie pragnienie, że młoda dziewczyna przebiera się za mężczyznę, podbiera dokumenty bratu i jedzie sama do Monachium, aby studiować malarstwo. Dzisiaj trudno nam to sobie wyobrazić, ale to był czas, kiedy kobiety nie mogły studiować w akademiach sztuk pięknych. Chodziła

Ekscentryczka z farbami



Dorota Landowska jako Zofia Stryjeńska w monodramie pt. „Stryjeńska. Let's dance, Zofia!”

FOT. JAN BOGAĆ/TVP

wprawdzie na zajęcia artystyczne do szkoły w Polsce, w Krakowie, lecz był to raczej kurs dla pań, a ona chciała edukować się „na poważnie”. No i to nieustanne zagrożenie demaskacji przez kolegów. W męskim ubraniu ucieka przed kolegami do kaplicy, pada na twarz i modli się żarliwie: „Boże, odbierz mi wszystko: przyjaźń, szczęście, miłość, a w zamian daj mi możliwość spełnienia artystycznego i sławę”. I tak zaklina swoje życie.

Czemu pierwszy mąż skierował ją do psychiatry?

Jedną z najlepszych definicji, kim jest artysta, zwerbalizował Kusy – bohater sympatycznego serialu „Ranczo”. Powiedział, że artysta to taki człowiek, którego nieustannie w środku coś żre. I tak było z Zochą. Pragnęła spełnienia artystycznego, ale jednak była też kobietą – chciała kochać i być kochaną. To dlatego, już po ślubie z Karolem Stryjeńskim, także arty-

stą, ucieka z małżeńskiego życia, zamyka się i maluje w obłędzie, mąż ją odnajduje, nie rozumie jej zachowania, po czym ona „przedzierzga się w powabną małżonkę mrzonkę i grucha jak gołąbek”. Karol to taki Cygan z blond czupryną – młóci na skrzypcach, czaruje kobiety. Jest zazdrosna i zupełnie nie panuje nad emocjami. Biega po Paryżu z rewolwerem, wycina dziury w jego surducie. Prawdziwa do szpiku kości w swoich emocjach, przyznaje się do miłości absolutnej do Karola. Czy on daje jej poczucie bezpieczeństwa? Wątpię. Zamyka ją w szpitalu psychiatrycznym. Dwukrotnie! Proszę pamiętać, że bronili jej znajomi, założyli nawet do tego specjalny komitet, a po powrocie pacjentki do domu dwie osoby, w tym dyrektor kliniki, straciły pracę. Ona kochała na zabój i pracowała na zabój. Ten szpital pojawił się też u kresu jej życia, kiedy zdiagnozowano u niej schizofrenię.



Romans z Arkadym Fiedlerem bulwersował. Miał szansę na happy end?

Nie sądzę. To kolejny kobieciarz w jej życiu, choć interesujący jako człowiek – podróżnik, pisarz. Mógł fascynować, ale to nie mężczyzna na życie.

Plastykę stawiała wyżej od rodziny?

Nie. Walczyła o równowagę pomiędzy tymi dwiema rolami w życiu: artystki i matki, żony. Mimo swojego szaleństwa wspierała, także finansowo – chociaż sama permanentnie niedomagała materialnie – swoje dzieci i mamę. A symbolem ogromnej miłości jest chwila śmierci jej dorosłego syna. Leżał już w trumnie, ale nie chciała temu wierzyć, wzywała lekarzy, aby wyjęli go z tej barokowej maskarady...

Myślę, że potrzebowała mężczyzny, który zrozumie ją jako malarkę i będzie dla niej ostoją na co dzień, ogarnie tę codzienność.

Skąd wzięła się jej labilność emocjonalna? Widoczna choćby w relacjach ze Stanisławem Ignacym Witkiewiczem, a zwłaszcza Karolem Szymanowskim...

Proszę pamiętać, że była artystką! A Witkacy był stabilny?! Na Szymanowskiego się obraziła, bo rozpoczęła prace nad scenografią do baletu „Harnasie”, lecz w efekcie dekoracje i kostiumy zrobił ktoś inny. Poczula się oszukana i dała upust swoim emocjom. Kompozytor przyjął draśnięcie szkłem w dłoń z honorem.

Jej zapiski dowodzą szczerości: „Psiakref, urzynałam się cydrem!”, spostrzegawczości – słotę kwituje słowami: „Wszędzie typy kokluszowo-charczące, psiakref”, frywolności: „Psiakref, urzynałam się cydrem” [...] „Ale to okropne, że nie ma nikogo (do licha ciężkiego!), żeby się można troszeczkę erotycznie wyładować”. Sufrażystka względnie emancypantka to uprawnione wobec niej terminy?

W gronie artystycznym łatwiej o taką bezpośredniość. I tak to życie wyglądało. Ekscentrycznie. Nie określiłabym jej jednak żadnym z pańskich sformułowań, choć niewątpliwie w zdominowanym przez mężczyzn środowisku twórczym walczyła o spełnienie jako malarka.

„Katoliczka zafascynowana pogańską słowiańszczyzną” – określił ją grafik Kazimierz Grus. Słusznie?

Tak. I to żaden oksymoron. Była bardzo wierzącą osobą i wiarę kultywowała.

Nie tylko zamawiała msze za artystów, np. za Jana Matejkę, lecz także bardzo często wzywała Pana Boga. Swojej córce radziła, aby trzymała się go, a nic złego jej się nie stanie. A słowiańszczyzna to nasza przeszłość. Uważam, że poza mitologią helleńską powinniśmy w szkole czytać i analizować także tę słowiańską. Figury bożków czy ich pomniki możemy jeszcze spotkać w Polsce. Ludzie od wieków próbowali sobie tłumaczyć świat, zjawiska, szukać opiekunów czy przyczyn nieszczęść. Zocha namiętnie malowała słowiańskie bóstwa i stale była ze swoich prac niezadowolona.

American dream artystki się nie spełnił... Kiedy i z jakich przyczyn opuściła ojczyznę?

Zmyliła nas w swoim pamiętniku, roztaczając wizję sielskiego życia w Stanach Zjednoczonych. Kupiła przecież bilet na statek, ale wybuchła druga wojna światowa i rejs nie doszedł do skutku. Wyjechała do swojego syna do Genewy już podczas okupacji, ale nie była to wcale łatwa decyzja, choć mieli szwajcarskie paszporty. Pielęgnowała w sobie żywy patriotyzm. Kochała Polskę z tą góralską feerią kolorów, ze słowiańskimi gusłami, z naszymi królami i książętami – te motywy malowała.

Dlaczego nadała pani swej sztuce formę monodramu?

Bo Stryjeńska jest tym jądrem, centrum. Absolutnie pełną postacią, krwistą, prawdziwą. Chciałam wejść do środka jej świata, trochę sobie popatrzeć, pozastanawiać się nad tym, co było w tym jej życiu pod warstwą tych wszystkich dziwactw. Opowieść o jej szaleństwie to byłoby za mało, to mnie nie pociąga. Landowska zachwyca mnie w tej roli. Bardzo często jeździmy razem po Polsce na kolejne pokazy przedstawienia. Wiem, kiedy Dorota wstanie, powie konkretne słowa, przeżyje, dotknie, niemniej przy każdym występie jestem poruszona, mam łzę w oku, bo Dorota-Zocha tak bardzo porusza, otwiera nowe w znanym, oswojonym.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Owoce drugiego małżeństwa była kiła?!

Artur Socha miał ogromną siłę przyciągania. Hm, teraz pomyślałam, że to takie schizofreniczne... Zochę kręciło to, że jednego dnia flirtowała z księciem, kolejnego dnia z cesarzem Kaligulą była za pan brat, a innym razem z biblijnym Jakubem ćmiła papieroska przed wyjściem na scenę. I szeptał jej czule: „Mógłbym tak codziennie”. Mógł tak codziennie, ale codziennie z inną kobietą. Nie był wierny Stryjeńskiej. To aktor korzystający ze swoich „przywilejów”. Pewnego dnia, już po ślubie, wpadł do domu i oznajmił, że koledzy zaciągnęli go „po pijanemu do dziwek, trafił na jakąś nieczystą, jest w stanie zaraźliwym i pędzi do doktora”. Zauroczyła się fatalnie. I poniosła tego tragiczne konsekwencje. Bogu dzięki, przeżyła, co nie było wówczas wcale takie oczywiste.

ANNA DUDA „STRYJEŃSKA. LET'S DANCE, ZOFIA!” REŻYSERIA TV: MARIUSZ BONASZEWSKI, ANNA DUDA, ZDJĘCIA: ARKADIUSZ TOMIAK, MUZYKA: CHRISTOPH COBURGER, PRODUCENT TVP: ANNA KULAWIK-RZOŃCA, WYK. DOROTA LANDOWSKA, TVP KULTURA, WTOREK, 23 LISTOPADA, GODZ. 20.05



Miłośnicy Wesa Andersona będą zachwyceni. Reszta widzów może czuć się zmęczona i nieco rozczarowana albo po prostu obojętna

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wszystkie kolory przemijania



Piotr Gociek

„Kurier Francuski...” – niby komedia o złotych czasach dziennikarstwa, a tak naprawdę seria pytań o relacje twórcy – dzieła i artysta – świat

Wszystko dzieje się w tym filmie tak szybko, że gdyby podobną metodę zastosował Lech Majewski w „Angelusie”, to zamiast o krótkiej historii o domorosłych filozofach z Janowca zdążyłby opowiedzieć całe dzieje Polski i jeszcze zostałoby mu pół godzinki na naszych sąsiadów. Przyzywam nazwisko Majewskiego nie bez powodu, on z polskich twórców jest najbliższy postrzeganiu kina przez Wesa Andersona: kina jako serii skomponowanych z precyzją obrazów. Nie ujęć – obrazów.

Oczywiście zupełnie inna jest materia, z której swoje obrazy tworzą; Majewski dobitnie podkreślił swoje inspiracje,

kręcąc wybitny „Młyn i krzyż”, w którym ożywił słynny obraz Bruegla (i wszedł na ten obraz wraz z widzem). Wes Anderson to malarz pop, kinowy postmodernista, który skleja własne wizje ze wszystkiego, co może znaleźć w dziejach kultury wizualnej ostatnich 150 lat – masowej kultury wizualnej. (Często przywodzi mi na myśl też niektóre dokonania Petera Greenawaya, do których idealnie pasowałoby sformułowanie „kinowe teatrum”).

ANDERSON W STANIE CZYSTYM

Film „Kurier Francuski z Liberty, Kansas Evening Sun” („French Dispatch of the Liberty, Kansas Evening Sun”) to Wes Anderson w stanie czystym i w stanie ekstremalnym, chyba bardziej już nie da się rozciągnąć granic jego kinowego języka. Ktoś może dodać: Anderson przyspieszony, bo rzeczywiście, zwykle dawał nam sporo czasu na kontemplowanie swoich kinowych obrazów, teraz pędzi naprzód niczym Robin Williams w swoich najlepszych stand-upach, kiedy to człek miał wrażenie, że pod czaszką wykonawcy gna jednocześnie w kółko tysiąc szalonych chomików, z których każdy podpowiada coś zabawnego.

Szkatułkowy „Kurier Francuski...” ma do opowiedzenia tyle historyjek, tyle anegdot i wprowadza na ekran tyle postaci, że ekspresowa wymiana dekoracji okazuje się niezbędna. Ba, linijki dialogów wyrzucane są przez aktorów z szybkością – znów – najaranych zgrywusów od deadpan comedy.

Miłośnicy Wesa Andersona, jestem pewien, będą zachwyceni. Będą wniebowzięci. Każdy kadr da się rozebrać na kawałki i analizować, szukać dodatkowych znaczeń, dostrzegać nawiązania, hołdy, cytaty i autocytaty. Reszta widzów może czuć się zmęczona i nieco rozczarowana albo po prostu obojętna. Ktoś odpowie: No dobrze, ale zwykli widzowie chyba na filmy amerykańskiego ekscentryka nie chodzą? Otóż zależy na które, bo na przykład „Grand Budapest Hotel” nie bez powodu był najliczniej nominowanym do rozmaitych nagród (w tym Oscarów) filmem Andersona. I znam wielu ludzi, którzy uznali tę opowieść za dzieło wybitne oraz obejrzeliby po kilka razy, choć inne dokonania Wesa doprowadzają ich do szału. Znudzeni są więc „Podwodnym życiem ze Stevem Zissou”, zirytowani „Genialnym klanem” i prędzej by sobie

łapę odgryźli, niż wysiedzieli do końca „Rushmore”.

„Kurier Francuski z Liberty, Kansas Evening Sun” to nie wyszukane miano wymyślone dla gońca, lecz tytuł pisma, które choć prowadzone przez Amerykanina, to redagowane jest w fikcyjnym francuskim miasteczku Ennui-sur-Blasé (sama ta nazwa jest żarciem, „blasé” znaczy bowiem sterany czy zblazowany, a „ennui” to po prostu nuda). Pismo stylizowane jest na ukochany przez amerykańskich liberałów magazyn „The New Yorker”. Po krótkim wstępie (instrukcje właściciela i redaktora naczelnego na wypadek jego śmierci oraz przedstawienie najważniejszych autorów) wkraczamy na świat historii opisywanych na łamach „Kuriera Francuskiego”. Wkraczamy dosłownie, to znaczy po zbliżeniu na tytuł publikacji trafiamy do świata z wnętrza artykułu. Jest zatem nowe dzieło Andersona filmową antologią, co oczywiście tłumaczy natłok postaci, intensywność dialogów i liczbę ujęć – trzeba to wszystko zmieścić w czasie projekcji krótszym niż dwie godziny.

Skoro film Wesa Andersona, to oczywiście także ukochani Andersonowscy aktorzy: Adrien Brody, Tilda Swinton, Léa Seydoux, Mathieu Amalric – pamiętamy ich z „Grand Budapest Hotel”. Któż więc nadawałby się lepiej na sarkastycznego i surowego naczelnego niż ukochany przez Andersona Bill Murray? Kto zabierze nas w rowerowy objazd po Ennui-sur-Blasé (to jeden z segmentów filmu) jak nie sympatyczny, ukochany przez publikę Owen Wilson w beretku? Obrazy francuskiego miasteczka są prawdziwe, bo na potrzeby filmu sfotografowano Angoulême, które potem Anderson odpowiednio na ekranie przekształcił i upiększył. To też żart – w Angoulême od lat odbywa się największe święto sztuk wizualnych w Europie, czyli Międzynarodowy Festiwal Komiksu. Tak, filmy Andersona są w pewnym sensie takim artystycznym komiksem, tyle że ruchomym. Benicio del Toro, Frances McDormand, Timothée Chalamet, Jeffrey Wright – obsada jest niesamowita. Chyba tylko Woody Allen był w czasach swej największej renomy (jeszcze przed

rodzinnymi skandalami) takim magnesem dla aktorów.

FORMA I TREŚĆ

I porażka, którą moim zdaniem ponosi Wes Anderson swoim niepełnym, nadmierne efektywnym niedoszłym arcydziełem, podobna jest do tych, które ponosił Woody Allen, kiedy przekroczył granicę między własnym filmowym językiem a manierą. „Kurier Francuski...” będzie dla jednych szczytowym osiągnięciem Andersona, dla innych dowodem, jak bardzo twórca zagubić się może, gdy zamiast skoncentrować się na tym, co ma do powiedzenia, zwraca uwagę przede wszystkim na to, w jaki sposób to czyni. Wiele jest intrygujących, często bardzo zabawnych postaci w tym filmie,

lecz wszystkie zdają mi się naszkicowane zbyt pobieżnie, nie mamy czasu na to, by wejść w emocjonalną relację z którąkolwiek z nich. To jest film idealny dla krytyków filmowych i historyków kina – film do podziwiania i rozkładania na czynniki pierwsze. Niesłuchanie trudno go polubić czy pokochać.

Amerykańscy krytycy piszą, że ten film to list miłosny i do starego „New Yorkera”, i do czasów, kiedy dziennikarstwo miało znaczenie. Patrząc powierzchownie – owszem, ale Wes Anderson opowiada o czymś innym: o relacji między twórcą a dziełem, o tym, jak niemożliwym zwierzęciem jest dzieło sztuki – a jednak powstaje – i o relacji twórców ze światem realnym. Z tego punktu widzenia może to być najbardziej osobisty film Andersona (opowiada w wywiadach, że to od lat jego wymarzony projekt). Miał Fellini swoje „8 i pół”, ma Anderson „Kuriera Francuskiego...”. Tym bardziej żal, że nie potrafi nas w ten traktat bardziej emocjonalnie zaangażować, że pozostawia wrażenie, jakbyśmy oglądali tylko wielkie kukielkowe przedstawienie.

Skazaniec o ponurej, udręczonej twarzy (Benicio del Toro) maluje w widzeniu arcydzieła – jego kosztem wielkie pieniądze chce zrobić finansowy oszust Adrien Brody. Lecz najważniejsza jest postać strażniczki (Léa Seydoux), która jest muzą i kochanką więźnia. To jest miłość niemożliwa właśnie i jako taka napędza twórcze pasje artysty.

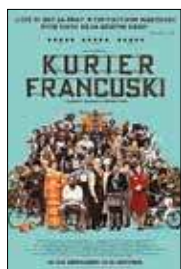
Autorka politycznych analiz i reportażów (Frances McDormand), relacjonując zamieszki w Ennui-sur-Blasé, wkleja się jednocześnie w romans z młodym rewolucjonistą i staje się współautorką jego manifestu. Ta inspirowana paryską rewoltą studencką z 1968 r. historia to w gruncie rzeczy pytanie o to, na ile twórca, opisując świat, może go kształtować. Na ile oko kamery – pióro dziennikarza – wpływa na obiekt obserwacji. (Schodząc na niższy, wulgarny poziom, można by rzec – na ile relacjonowanie wydarzeń politycznych staje się polityką).

KINO MULTICOLORE

Kolejna historia: policjant i mistrz kucharski zarazem, porucznik Nescaffier (francuska kuchnia i popularna kawowa lura – kolejny żarcik) rusza z pomocą porwanemu przez opryszków synowi komisarza policji. Aby przekonać ich do spożycia zatrutego jedzenia (z jednej strony szczywany plan, z drugiej sława Nescaffiera sprawi, że bandyci sami zażądadą jego obecności), będzie musiał sam zjeść część własnej kulinarnej pułapki. Metafora jest oczywista – sztuka kucharska jako sztuka po prostu, artysta jest twórcą i ofiarą. Sztuka zatem smakuje cudownie, ale zabija (tak przecież skończyłaby się podobna historia w kinie noir, ale Anderson to kino multicolore).

No i wreszcie stanowiące ramę wszystkich opowieści żądanie redaktora Howitzera jr. (to wspomniany naczelnny „Kuriera Francuskiego”, czyli Bill Murray), by po jego śmierci rozpuścić redakcję na cztery wiatry, a dzieje pisma zakończyć numerem specjalnym, w którym znajdą się tylko najważniejsze artykuły z jego historii i nekrolog Howitzera. Zatem to on był prawdziwym twórcą, malował świat, używając pędzli i farb, którymi byli jego dziennikarze; z chwilą odejścia artysty jego narzędzia są już niepotrzebne. Przekonanie o wyjątkowości artystycznego przesłania i zarazem wyraz charakterystycznej dla artystów pychy – skąd przekonanie, że akurat wybrane przez nich dokonania przeżyją ich twórców? A może właśnie nie przeżyją?

Wszystko to znajdziecie w filmie „Kurier Francuski z Liberty, Kansas Evening Sun” Wesa Andersona. O ile tylko wysiedziacie do końca i będziecie oglądać z niesłabnącą uwagą. Osiągnięcie jednego i drugiego nie jest oczywiste.



REŻ. WES ANDERSON
„KURIER FRANCUSKI Z LIBERTY, KANSAS EVENING SUN” („FRENCH DISPATCH”)
USA/NIEMCY 2021

wyst. Owen Wilson, Benicio del Toro, Frances McDormand



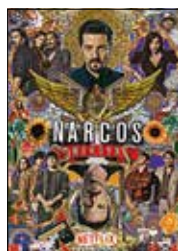
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Bez końca



★★★★★

SEZON 3
„NARCOS:
MEKSYK”
 („NARCOS:
MEXICO”)
USA 2021

wyst. Scoot
 McNairy,
 José María Yazpik,
 Luisa Rubino

Pierwsze sezony oryginalnego serialu „Narcos” niosły nadzieję: przeciwnik był okrutny i przebiegły, ale w finale jednak wytropiony. Smutny koniec spotkał najpierw Pablo Escobara, a potem „Dziennikarzy z Cali”. Trzeci i ostatni sezon spin-offu „Narcos: Meksyk” nadziei już nie daje. Choć agent Walt Breslin (wciąż świetny Scoot McNairy) mówi w pewnym momencie: „Mam dosyć porażek”, choć robi, co może (a czasem to, czego nie powinien), by narko-baronów dopaść, to wróg zawsze jest o krok szybszy.

Nie chodzi już więc o wygraną w wojnie z narkotykami, lecz o to, by z trudem osiągać jakiegokolwiek rezultaty. Pokusa przekraczania granic pojawia się wraz z meksykańskim generałem oddelegowanym

do tropienia handlarzy, generałem, który uważa, że cel uświęca środki. Są i inne nowe postacie: dziennikarka fikcyjnego pisma „La Vox” tropiąca powiązania polityków meksykańskich i świata przestępczego (utalentowana Luisa Rubino) oraz meksykański skorumpowany gliniarz, w którym obudzi się sumienie (przykuwający uwagę Luis Gerardo Méndez). A także znani z poprzednich sezonów nieuchwytni narcos: młody El Chapo i przede wszystkim „pan niebios” Amado Carrillo Fuentes (José María Yazpik), człowiek, który w latach 90. stworzył największe imperium narkotykowe w dziejach, a którego smutny koniec był wyjątkowo nietypowy.

Głównym tematem nie są tu już produkowanie i przemycanie narkotyków,

Nlecz dewastujące dla państwa i społeczeństwa skutki ciężkiej choroby, którą jest wrastanie bezkarnej klasy politycznej w świat przestępczy. Tam, gdzie wpływowym i bogatym wszystko uchodzi na sucho, o sprawiedliwości oczywiście nie może być mowy. A tam, gdzie nie ma sprawiedliwości, królują bezradność i znieczulica. Czy pojedyncze akty odwagi i szlachetności mogą coś zmienić? Tak, lecz wykazać się trzeba nie łądą odwagą i być gotowym na najgorsze: nieznani sprawcy będą strzelać do dziennikarzy, fałszywi informatorzy prowadzić żołnierzy ze specjednostki na rzeź, a kilerom z kartelu obojętne będzie, ilu niewinnych zabiją przy okazji polowania na szyję z wrogiego gangu. Żadnych marzeń o wielkich zwycięstwach, świata uratować się nie da, czasem tylko ocalić jakieś życie. Może byłoby łatwiej, gdyby opowieści o narkotykowych bossach rzadziej pokazywały ich życie w stylu „Dynastii”, a częściej ich ofiary? @@



NOWE SERIALE: „KOŁO CZASU”

Proroctwo mówi: kiedy Czarny powróci zniszczyć świat, powstrzymać go będzie mógł jedynie Smok Odrodzony. W poszukiwaniu nowego hitu na miarę „Gry o tron” telewizyjni potentaci na wyścigi ekranizują klasykę fantasy. Amazon Prime zainwestował w serialową wersję obszernego cyklu Roberta Jordana „Koło Czasu”. Całość liczy 14

tomów i powstawała przez 22 lata, więc jeśli pierwszy sezon chwyci, to producenci będą mieli co robić przez następną dekadę. Trzy odcinki miały premierę 19 listopada, kolejne będą pojawiać się w odstępach tygodniowych. @@

Piotr Gociek

• sezon 1 „Koło Czasu” („Wheel of Time”), USA 2021

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 20 „Morderstwa w Midsomer” („Midsomer Murders”), Wielka Brytania 2019 **BBC FIRST**

• sezon 2 „Kajko i Kokosz”, Polska 2021

• reż. Olivier Pairoux „Kosmiczny chłopiec” („Spaceboy”), Belgia 2021

Bo wszyscy Polacy... KINO

„13 grudnia roku pamiętnego wykuła się WRON-a z jaja czerwonego”. Kto by przypuszczał, że Jakub Skoczeń, biografista i reżyser telewizyjnych tasiełców, porwie się na wiwisekcję duszy narodu w chwili dziejowej próby? W „Chrzcinach” doszło do syntezy dwóch modnych trendów: renesansu zainteresowania PRL (zwłaszcza ostatnią fazą jego istnienia) tudzież toksycznością typowej polskiej rodziny, ujawniającą się przy okazji rodzinnych spędów. Punkt wyjścia jest podobny jak w „Goodbye Lenin”. Gospodyni zataja przed gośćmi wiadomość o wprowadzeniu stanu wojennego („W moim domu wojny nie będzie!”) i szantażem zmusza do milczenia księdza. Wódka czyni cuda:

solidaruch zrozumie komucha, nawet zomowiec czapkę w kościele zdejmie. Przymus pojednania, choćby chwilowego, ociera się o groteskę. W pogoni za katharsis scenarzyści gwałcą logikę i psychologiczne prawdopodobieństwo. Sytuację ratują aktorzy, zwłaszcza Tomasz Schuchardt i Michał



★★★★★
REŻ. JAKUB SKOCZEŃ
„CHRZCZINY”
POLSKA 2021

wyst. Katarzyna Figura, Tomasz Schuchardt, Michał Żurawski

Żurawski. Maciej Musiałowski naśladuje, mam nadzieję, że mimowolnie, młodego Lindę. Najbardziej odstaje Katarzyna Figura jako dewotka, która nie toleruje rozwodników, ale za własne potomstwo dałaby się pokrajać. Z prostego wyliczenia wynika, że nieślubne dziecko, będące przyczyną całego zamieszania, ma dzisiaj 40 lat. Co z niego wyrosło? Lepiej chyba nie wiedzieć. ©©

Wiesław Chełminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TO ŻYJE!

Kwadratowe czoło, elektrody wystające z czaszki, opadające powieki, blizny, niezgrabne ruchy, wzrost koszykarza. Matka: błyskawica. Ojciec: Henry Frankenstein. Również 90 lat temu kina zaatakowało drugie, po Draculi, straszycielskie wytwórni Universal. Film nie był ekranizacją powieści Mary Shelley, lecz opartego na niej spektaklu, z sukcesem wystawianego w Londynie. Zamiast w Żąbkowicach Śląskich akcja rozgrywa się w bawarskich Alpach. Naukowiec – ambicjoner, który poczuł się Bogiem i „stworzył człowieka na swoje podobieństwo” – zaskakująco łatwo rezygnuje z projektu. Monstrum nie prosiło się na ten świat, ale musi zapłacić za błędy tatusia. Jankesi, nieobeznani z niemieckim ekspresjonizmem, doznali szoku i trzeba było „Frankensteina” ocenzurować. Dziś groza spowszedniała. Bronią się sceny na cmentarzu i w laboratorium, kultowy okrzyk: „To żyje!” tudzież genialna kreacja Borisa Karloffa.



wyst. Colin Clive, Boris Karloff, Mae Clarke

★★★★★
REŻ. JAMES WHALE
„FRANKENSTEIN”
USA 1931

ZEMSTA PO LATACH

W poprzednim wcieleniu Tom Ford był projektantem mody z wyższej półki. Dlaczego zabrał się do kręcenia filmów? Na pewno nie po to, by poprawiać widzom samopoczucie. Po pierwszych kadrach widać, że „Zwierzętom nocy” bliżej jest do kina Davida Lyncha niż Ryszarda Zatorskiego. Fordowi trudno odmówić talentu.

Z wydumanej powieści o czytaniu powieści zrobił niepokojący moralitet. Ma też dobrą rękę do muzyki i obsady – błyszczą nawet aktorzy trzecioplanowi. Akcja początkowo się snuje. Wypalona kobieta sukcesu dostaje od byłego męża nieudacznika książkę „pisaną od serca”. Lektura zmusza ją do autorefleksji. Zimna suka odkrywa w sobie romantyczkę. Historia książkowa jest mocniejsza: to koszmar faceta, który stchórzył w krytycznym momencie. Amerykanie uwielbiają powiedzenie, że każdy zasługuje na drugą szansę. Ford w takie bajki nie wierzy. ©©

recenzuje Wiesław Chełminiak



wyst. Amy Adams, Jake Gyllenhaal, Michael Shannon

★★★★★
REŻ. TOM FORD
„ZWIERZĘTA NOCY”
(„NOCTURNAL ANIMALS”)
USA 2016

GRA TYGODNIA: „BATTLEFIELD 2042”

Najnowszy „Battlefield” niczego nie udaje, twórcy zrezygnowali z choćby najskromniejszej kampanii dla pojedynczego gracza, stawiając w pełni na zabawę wieloosobową. Dla jednych to definitywne pożegnanie z serią, ale fani multi powinni zacierać ręce, bo deweloperzy mogli ten tryb bardziej

doopieścić. Jest różnorodnie, dostajemy sporo jak na ten gatunek swobody w dopasowywaniu postaci do naszego stylu gry. Polem bitwy, jak sam tytuł wskazuje, jest nieodległa przyszłość. W jednym z trybów rozgrywki wybiec na nie może jednocześnie (na PC i konsolach nowej generacji) aż do 128



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

graczy. Dla fanów sieciowych FPS-ów – pozycja obowiązkowa! ©©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** FPS
- **Platforma:** XSX, XONE, PS5, PS4, PC
- **Producent, wydawca PL:** EA DICE, Electronic Arts Polska

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Pamiętka po Celulozie

Wprzemysłowym mieście, bo za takie uchodzi Włocławek, przemysł istnieje śladowo.

Najtrwalszy okazał się w pamięci.

Obok Zakładów Celulozowo-Papierniczych, noszących od 1952 r. imię Juliana Marchlewskiego, najbardziej znanymi i największymi pracodawcami w mieście były znane fabryki fajansu, maszyn rolniczych, mebli, kombinat budowlany, później włocławski Ursus i sławny swego czasu Nobiles, fabryka farb i lakierów. Wszystkie te firmy szlag trafił. Celulozę, kiedyś Ameryką zwaną, o której pisano książki („Pamiętka po Celuloży” Igora Newerlego), zamknięto ostatecznie w 1994 r. A budowę tej symbolicznej dla Włocławka fabryki rozpoczęto jeszcze w XIX stuleciu.

Przetrwowało niewiele: fabryka Delecty i Manometry oraz oczywiście Anwil, czyli dawne Zakłady Azotowe „Włocławek”, od lat należące do Orleny. Największy żywiciel miasta.

Do tej historycznej stolicy Kujaw przylgnął przymiotnik „czerwony”, co jest niemałym nadużyciem, niemniej okres komuny w porównaniu z tym, co nastało we Włocławku w wolnej Polsce, jawi się niegorzej.

Piotr Witwicki, autor książki „Znikająca Polska”, której bohaterem jest to miasto, pisze tak: „Najlepszą metaforą Włocławka jest pomnik, który stoi w samym jego centrum. Na początku lat dziewięćdziesiątych nie było pieniędzy i woli, by wyburzyć socrealistycznego potwora. W ramach protestu mieszkańcy oblewali go czerwoną farbą, ale zdewastowany monument i tak przetrwał się dumnie. Ostatecznym rozwiązaniem okazał się kondom. On zabezpiecza pomnik przed biegiem historii. Na płaskorzeźby z robotnikami i czerwonoarmistami nałożono



FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FOTOLIA

stalową obudowę. Z daleka widać, że braterstwo broni zastąpił wojskowy orzeł. W ten sposób pomnik przestał wyrażać wdzięczność armii radzieckiej, a zaczął polskiej. Zmieniło się opakowanie, ale wnętrze pozostało takie samo. To trochę jak z Włocławkiem. Po roku 1989 na komunistyczne miasto ktoś założył wolnorynkową obudowę. Z zewnątrz wyglądało to dobrze, ale we wnętrzu pozostał stary system. Łatwiej było wprowadzić wolny rynek, niż zmienić mentalne nawyki. Istota pozostawała niezmienna. Terapia szokowa nie zlikwidowała awansów z partyjnego klucza ani nie zbudowała kapitału ludzkiego, mimo że postulowały go unijne programy. W zamierzeniach autorów wszystkie pozytywne skutki miały być długofalowym następstwem reformy. Włocławek nigdy ich nie doczekał”.

Gwoździem do trumny stała się reforma administracyjna z 1999 r., kiedy to z dnia na dzień Włocławek przestał być miastem wojewódzkim. Do bezrobotnej armii robotników dołączył kolejny tysiąc osób wcześniej pracujących w – bezpiecznej, zdawałoby się – administracji, a „miejsca po niedgdyś ważnych

instytucjach zaczęły zamieniać się w przestrzeń do wynajęcia”. Tyle że nikt ich nie wynajmował.

Przybywało za to biedy i patologii. Wyjątkowo złą sławę zdobyła dzielnica Zakrętem zwaną, której Piotr Witwicki poświęca jeden z rozdziałów swojej książki, bodaj najbardziej przerażający. Ale w reportażowych tekstach opowiada m.in. i o Eugeniuszu Gajewskim, członku komisji konkursowej w kultowym „Rejsie” Marka Piwoworskiego, i o parasolniku, ostatnim miejscowym rzemieślniku starej daty, i o Agnieszce, która za komuny szła ubrania w zakładach odzieżowych, a teraz w sezonie zbiera owoce, a przez resztę roku szuka puszek w koszach na śmieci. „To dobre zajęcie” – powiada.

Bez mała 40-letni autor „Znikającej Polski” pochodzi z Włocławka. Nie stracił serca do swego rodzinnego miasta i pewnie dlatego ta książka poraża prawdą i tak bardzo boli. Ma świętą rację Piotr Witwicki.

Sytuacja Włocławka nie jest wcale ani wyjątkowa, ani najgorsza. Fatalna, owszem, ale w takich Prudniku, Hajnówce i Bartoszycach jeszcze gorsza. A w samym województwie kujawsko-pomorskim jeszcze marniej rysują się perspektywy Grudziądza. Z perspektywy Warszawy nie dostrzegamy tego, co nie przeszkadza nam mądrzyć się na temat skutków transformacji. Ponad wszelką miarę.

Po błyskawicznym przeczytaniu „Znikającej Polski” otworzyłem ją po raz kolejny, zwracając uwagę na słowa ją poprzedzające: „Najlepszą polityką przemysłową jest jej brak”. Wypowiedział to Tadeusz Syryjczyk, szef resortu przemysłu właśnie w pierwszym, rzekomo niekomunistycznym rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Wyjątkowo szczerzy minister. ©©



★★★★★
PIOTR WITWICKI
„ZNIKAJĄCA
POLSKA”
ZYSK I S-KA,
POZNAN 2021



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Ukochany wróg

Przypomniał mi o niej ciekawy dokument biograficzny Netflixa „Joan Didion: Wszystko w rozpadzie” (2017). Wspominałem powieści wydane jeszcze za czasów PRL – nie robiły na mnie wrażenia. Ale w filmie najbardziej chwalono eseje amerykańskiej pisarki. I tę lukę wypełniły wydawnictwa Cyfranka oraz Relacja. To pierwsze wydało „Dryfując do Betlejem”, chyba najśłynniejszy tom non-fiction Didion. A to drugie – wstrząsający dziennik „Rok magicznego myślenia”, w którym pisarka próbuje pogodzić się ze stratą ukochanego męża.

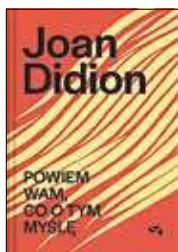
„Powiem Wam, co o tym myślę” to w porównaniu z tymi książkami dzieło pośledniejsze, skądanka tekstów z prasy, ale wciąż bardzo ciekawa. Didion jest wyśmienitą stylistką i polemistką, poglądy ma własne, wzrok bystry, oko otwarte na szczegóły nieoczywiste. Kupiła mnie także swoją bezkompromisową szczerością.

„Rok magicznego myślenia” był książką wstrząsającą, rzadko spotkać można twórcę otwierającego się tak wprost, by opowiedzieć o swym cierpieniu. „Dryfując do Betlejem” to jedna z najciekawszych refleksji nad latami kontrkultury, którą Didion obserwowała z bliska, z wnętrza Kalifornii. Miała do

niej stosunek ambiwalentny, a biorąc pod uwagę, że mamy do czynienia z przedstawicielką liberalnych amerykańskich elit, nawet sceptyczny. Odnosiła zmianę. Rozumiała, skąd się wzięła. A jednocześnie zastanawiała się nad tym, jak fatalną formę przybrała rewolucja. Kwiaty we włosach może i uczyniły ludzi piękniejszymi, ale narkotyki odebrały im serce i wrażliwość – odnotowywała Didion, obserwując tłum zaćpanych hipisów koczujących w jej domu.

„Powiem Wam, co o tym myślę” wyprzebarwione z rozproszonej spuścizny Didion. Mam tu kawałek o Hemingwayu, pożegnanie Tony’ego Richardсона i błyskotliwą obronę Marthy Stewart. Najciekawsze są jednak kawałki o pisaniu: „Dlaczego piszę” albo „Pisanie opowiadań”. Pisanie to „akt agresywny, nawet wrogi” – mówi nam pisarka, zastanawiając się nad tymi tajemniczymi ziemiami oddzielającymi pisarskie ego od duszy czytelnika, ziemiami porośniętymi zapisanym słowem.

Didion pisze o akcie kreacji równie ciekawie i z równie wielkim znanstwem jak Margaret Atwood czy Ursula K. Le Guin. Nie da się jej streścić, trzeba to spotkać samemu przeżyć – tym wszak jest akt mądrego i wzbo-gacającego nas czytania. ©©



★★★★★
REŻ. JOAN DIDION
„POWIEM WAM,
CO O TYM MYŚLĘ”
RELACJA 2021



★★★★★
REŻ. JOAN DIDION
„ROK MAGICZNEGO
MYŚLENIA”
RELACJA 2021

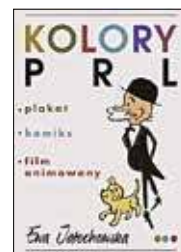
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Zamknięcie tetralogii, do której należy słynna „Na południe od Brazos”. Melancholijny western pełen barwnych postaci. Dobra proza środka: więcej niż literacka konfekcja, ale do głębi Cormaca McCarthy’ego trochę brakuje.



LARRY MCMURTRY
„ULICE LAREDO”
VESPER

O plakacie, komiksie, filmie animowanym – tym wszystkim, co czyniło PRL mniej szarym, dając także okazję, by zbliżyć znakomitych twórców. Sprawnie, lecz pobieżnie, bo każde z tych zjawisk warte jest osobnego opisu.



EWA JAŁOCHOWSKA
„KOLORY PRL”
MUZA

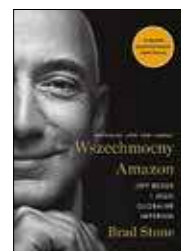
Popularny, cytowany, ale czy rozszyfrowany? Wybór utworów i fragmentów autora słynnego „Proroka”, libańskiego poety wspierającego niepodległość Syrii i klasyka literatury arabskiej, którego inspirowali Blake i Whitman.



„MAŁA KSIĘGA
ŻYCIA WEDŁUG
KAHLILA
GIBRANA”
CZARNA OWCA

Amazon to Jeff Bezos, więc opowieść o globalnym imperium światowego lidera internetowego handlu musi być historią człowieka, który je zbudował. Książka Stone’a jest ciekawa, ale zbyt mało w niej o ciemnej stronie mocy. ©©

recenzuje Piotr Gociek



BRAD STONE
„WSZYSTKO, CO
MOŻESZ”
ALBATROS

KOMIKS TYGODNIA:

„ANTYGONA”

„Antygona” oraz „Dedał i Ikar” to pozycje otwierające polską edycję komiksowej serii „Świat mitów”. Jako tom trzeci (i dużo obszerniejszy) w grudniu ukaże się rysunkowa „Iliada”. Stałą scenarzystką pozycji z tego cyklu jest Clotilde Bruneau, rysownicy się zmieniają (całość liczy kilkanaście tomów). Inicjatywę wymyślił – i objął opieką merytoryczną –



CLOTILDE BRUNEAU,
GIUSEPPE BAIGUERA
„ANTYGONA”
EGMONT 2021

francuski filozof i eseista Luc Ferry, znany dobrze także w Polsce z książek „Co to jest człowiek?”, „Człowiek–Bóg, czyli o sensie życia” czy „Najpiękniejsza historia filozofii”. ©©

poleca Piotr Gociek

Bojkowski głos Bieszczadu



FOT. ADAM JARAKO/FACEBOOK.COM/WERNYHORZ2020

Sanocka grupa Wernyhora zrodziła się za sprawą fascynacji muzyką i kulturą pogranicza polsko-ukraińskiego. Projekt „Bojkowski głos Bieszczadu”, w ramach którego Wernyhora stworzyła autorskie aranżacje bojkowskich pieśni, zaowocował m.in. Nagrodą Główną i Nagrodą Publiczności na XXX Festiwalu Mikołajki Folkowe w 2020 r. oraz pierwszą nagrodą na Festiwalu Muzyki Folkowej Polskiego Radia „Nowa Tradycja” (2021).

Ciepło twórczość Wernyhory przyjęła także publiczność, a raczej społeczność jednej z platform crowdfundingowych. Zebranie środków na nagranie epki z własnymi aranżami muzyki bojkowskiej poszło szybko, niżej podpisany także dorzucił do tego swoją cegiełkę. Muzycy zrobili nam prezent – co prawda, na przesyłkę kazali dłużej poczekać, ale zamiast zapowiadanej

krótkiej epki nagrali nieco dłuższą, bo liczącą 20 minut płytę, na którą składa się pięć utworów. Na stronie ze zbiorów pisali: „Na naszej debiutanckiej płycie (epce)

znajdą się utwory pochodzące z Bojkowszczyzny, czyli obszaru leżącego w Karpatach Wschodnich między innymi w polskich Bieszczadach. Piękno bojkowskich tradycji

muzycznych połączonych z artystem Wernyhory gwarantuje niezwykłą muzyczną przygodę w folkowym klimacie”. I nie ma w tych słowach przesady.

Projekt to młody, ale stworzony przez doświadczonych muzyków. Za aranżacje pieśni odpowiada Maciej Harna – etnomuzykolog, pedagog, lirnik, multiinstrumentalista, twórca i wieloletni lider Orkiestry Jednej Góry Matragony. Na instrumentach smyczkowych gra w Wernyhorze Anna Oklejczak – multiinstrumentalistka biorąca udział w wielu projektach paganmetalowych i darkfolkowych, twórczyni projektu Kraina Ziemi. Wokal jest owocem talentu Darii Kosiek, stypendystki ministra kultury i dziedzictwa narodowego, laureatki 53. Festiwalu Folkloru Polskiego „Sabałowe Bajania”, która udziela się także w zespole Widymo. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Jesienna deprecha

Na początku drugiego roku pandemii Fisz ukończył 43 lata. Tytuł otwierającej album piosenki „Nie za miłe wiadomości” określa narrację płyty. Płonie świat luksusowego pana, budowane są schrony dla silnych i bogatych, kłamcy opisują świat... W czwartym utworze pt. „Za mało czasu” pojawia się znamienny wers: „Czasami czuję się, jakby świat zaczął mówić w jakimś innym, nieznanym języku”. No właśnie.

Część piosenek dotyka bezpiecznego, by nie powiedzieć – oczekiwanego zaangażowania w walkę z ekokatastrofą, terrorem sukcesu, światem celebrytów, brunatną jesienią. Fisz jako „synek tatusia, pupilek Agory”, w odróżnieniu od Marii Peszek, nie wzywa na barykadę. Dzisiejsze konflikty nie są jego

konfliktami. Przetrwa, trzymając się sprawdzonych wartości (miłość, rodzina, natura) oraz poszukując „ludzi dobrej woli”. Wiele utworów nawiązuje do pandemii, która wyrzuciła świat narratora do góry nogami. Czternaste „Paradoks”, oparte na muzycznych cytatach z Talking Heads, to wręcz oda do rówieśników.

W finale, w autoironicznej „OK Boomer!”, Fisz podejmuje trudną rozmowę z samym sobą. Wie, że w oczach wielbicieli Maty nie jest wielbionym przez media raperem-inteligentem, a gadającą skamieliną. Choć to go boli, album kończy słowami: „OK Boomer! Proszę siadać / Się nie wychylać, się nie opowiadać / I łaskawie, i po cichu / I bez szumu, i bez iskieł / Wypierdalać!”. ©©



★★★★★
MAREK DYJAK
„NA WZGÓRZU
ROZPACZY”
TENCZYŃSKA
OKOVITA

Trzynasta, a zarazem ostatnia, jak sam ogłosił, płyta barda. Duszne piosenki przepełnione wspomnieniami, nocnymi koszmarami, niespełnionymi nadziejami i osobistymi porażkami. Pomiedzy nimi trzy nastrojowe instrumentale. Jesienne, jazzujące klimaty dla odważnych.



★★★★★
EWA BEM
„LIVE”
AGORA

Zapis wrocławskiego koncertu sprzed siedmiu lat. Wokalistka w otoczeniu jazzmanów wykonuje własne przeboje (m.in. „Podaruj mi trochę słońca”) oraz piosenki z repertuaru m.in. Marka Grechuty, Skaldów, Kabaretu Starszych Panów czy Wojciecha Młynarskiego. ©©



★★★★★
FISZ EMADE
TWORZYWO
„BALLADY
I PROTESTY”
MYSTIC

40 • LECIE

STANU WOJENNEGO
W POLSCE OPISANE
TWÓRCZOŚCIĄ
PRZEMYSŁAWA
GINTROWSKIEGO

13.XII.21

MECENAS:



PARTNERZY GŁÓWNI:



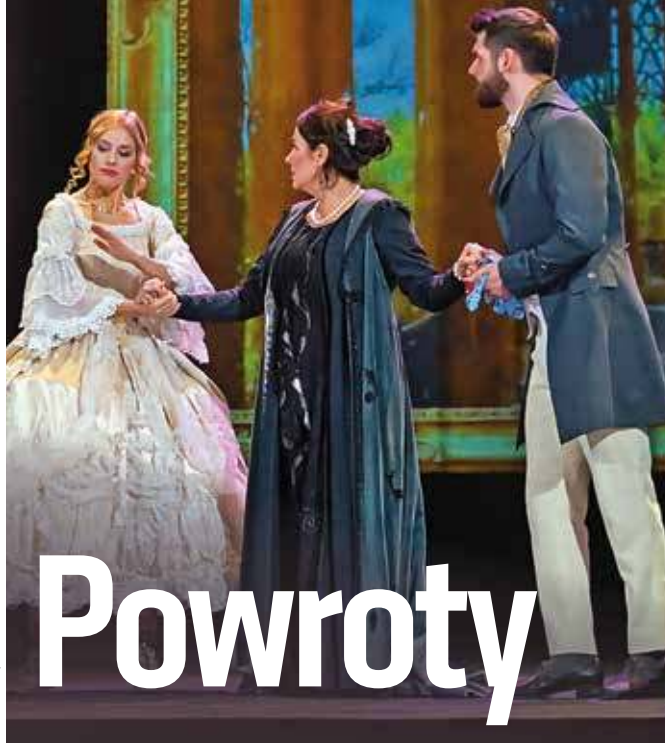
PARTNER:



eprasa.pl d221591130

Naszym celem jest utrzymanie w repertuarze co najmniej kilkunastu najwybitniejszych sztuk klasyki polskiej” – deklarują twórcy Teatru Klasyki Polskiej. Teatr, prowadzony przez Fundację Muza Dei, wystawił właśnie swoją czwartą premierę: ni mniej, ni więcej, tylko „Powrót posła” Juliana Ursyna Niemcewicza. Wcześniej były Fredrowskie „Zemsta” i „Dożywocie”, i z innego nieco klucza – „Vatzlav” Sławomira Mrożka. Teatr ten „powstaje z etosu polskiej inteligencji – jej odpowiedzialności za narodową kulturę i edukację, stanowiącą o trwałym systemie wartości i ciągłości pokoleń budujących narodową wspólnotę”. A dlaczego klasyka? „By bunt przeciw klasycie czy polemika z nią były zrozumiałe, potrzebna jest jej stała obecność”. Tyle zapowiedzi ideowe. Założyciele teatru (m.in. Jarosław Gajewski, Michał Chorościński), używając tego słowa na „e”, wysoko ustawili poprzeczkę... Choć przecież z czego, jeśli nie z etosu, z odpowiedzialności i z poglądów wobec własnych klasyków, powinno się tworzyć teatr? Ale czas nie jest po temu. Już od dawna nie jest. Mija ponad dekada, od kiedy jedna z czołowych reżyserek progresywnych, Weronika Szczawińska, wystawiła „Zemstę” tylko po to, by ostatecznie tekst skompromitować, wyrażając przy tym nadzieję, że będzie to ostatnia „Zemsta” w polskim teatrze. Oczywiście – nie była, a Teatr Klasyki Polskiej, na razie obywając się bez siedziby i bez etatów, zaczął właśnie od Fredry i poprawił Mrożkiem. Trzymam kciuki. Nawet pomimo tego nieszczonego Niemcewicza. No właśnie.

Wzorcowa polska oświeceniowa komedia polityczna została przypomniana w 230. rocznicę prapremiery,



FOT. PIOTR BABIŃSKI/MUZA DEI

Powroty



Grzegorz Kondrasiuk

Teatr Klasyki Polskiej, na razie obywając się bez siedziby i bez etatów, zaczął od Fredry i poprawił Mrożkiem. Trzymam kciuki. Nawet pomimo tego nieszczonego Niemcewicza

wystawiona w gościnnych wnętrzach Teatru Stanisława w Starej Pomarańczarni. Niestety, od razu muszę zdementować piękną legendę rozpowszechnianą przez organizatorów: ani data dzienna, ani miejsce nie było to samo. Datę łatwo sprawdzić, z miejscem trudniej. Teatr Narodowy, gdzie w 1791 r. chwalono posłów tymi słowami: „Walczą wszystkie przeszkiody gorliwą robotą / idąc przykładem króla i własną swą cnotą”, a „Najjaśniejszy Pan, oświadczając ukłonem z łoża podziękowanie dla powszechności, okazał, iż umie ocenić pochwały i przywiązanie narodu”, mieścił się jednak gdzie indziej – przy placu Krasińskich. I tak to właśnie z gestami powrotu i powtórzeńmi bywa. Ryzykowne to zajęcie. Okazało się, że ten „Powrót posła” wystawiono w Teatrze Klasyki Polskiej po

to, by się przekonać, z jaką skalą trudności mamy do czynienia, głębiej wchodząc w tradycję. Ciężko się płynie wbrew nurtowi czasu, ciężko się odczarowuje awangardowe, modernistyczne, wreszcie romantyczne tradycje. Literatura teatralna z przełomu baroku i oświecenia to ziemia obca i nieprzyjazna dla aktorów, zmusza do własnej odpowiedzi, do inwencji. Nie da się przecież grać tamtymi konwencjami estetycznymi wprost. W dodatku to teatr zrobiony z typowości, antypsychologiczny i z pretekstową fabułą naprędce skleconą tylko po to, by udźwignęła program polityczny Hugona Kołłątaja.

Reżyserię powierzono Tomaszowi Manowi, który powinien mieć na to jakiś pomysł, ale najwyraźniej nie miał. W finale co prawda oglądamy coś na kształt komentarza

reżyserskiego – cała obsada rusza w tan, co ma być może symbolizować narodową zgodę, zawarcie paktu szlachty z emancypującym się właśnie ludem. W dzisiejszej sytuacji niewiele to jednak znaczy, bo kontekst historyczny całkowicie wyparował. Zostały frazesy, dowcipy sceniczne i porządne sceniczne rzemiosło. Pałeczkę interpretacji przejął charyzmatyczny duet aktorski: Starosta Gadulski (Jarosław Gajewski) i Starościna (Lidia Sadowa). I okazało się, że „Powrót posła” tak naprawdę jest o toksycznym związku alkoholika-konserwatysty (co zgodne z tekstem) z krewką erotomanką (a to chyba niekoniecznie...). A „Powrót posła” chyba jednak nie o tym, to przecież wzorcowy przykład, jak się robi w teatrze propagandę polityczną, i bodaj pierwsza premiera teatralna, o której dyskutowano w polskim parlamencie. Niezwykle ciekawa historia. Ale o tym wiemy na przykład od Zbyszewskiego, ze skandalizującej książki „Niemcewicz od przodu i tyłu”, a nie ze sceny – tak więc szkoda, zmarnowana okazja na opowiedzenie dramaturgii tamtego roku 1791.

Jak najślusniej powiada Zbyszewski: „Parodia wypadła dużo udatniej od apoteozy, podobnie jak występek jest zawsze ciekawszy od cnoty”. Dlatego nie winimy tu odtwórców ról pozytywnych, najlepszy by poległ. Wychođenje na scenę w historycznym kostiumie po to, by odegrać amanta, amantkę, szlachetnego obywatela ziemskiego, prostoduszną pokojówkę czy lokaja, jest dziś wysoce perwersyjne, a nawet – nudne. ©©

TEATR KLASYKI POLSKIEJ
JULIAN URSYN NIEMCEWICZ
„POWRÓT POSŁA”
REŻYSERIA: TOMASZ MAN
PREMIERA: 4 LISTOPADA 2021 R.



DODATEK SPECJALNY – część 10

Finansowa machina ideologii LGBT

Wnioski z konferencji o prawnej ochronie rodziny przed ideologią LGBT

- Jak organizacje LGBT są finansowane w Polsce
- Wielkie koncerny w służbie LGBT
- Jak polskie prawo chroni rodziny



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl d221591130

Bez pieniędzy nie ma rewolucji



TOMASZ D. KOLANEK

Do prowadzenia rewolucji potrzebne są trzy rzeczy: pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. Ta parafraza słynnych słów Napoleona Bonaparte chyba najlepiej oddaje obecną sytuację w Polsce, w Europie i w znacznej części świata, gdzie trwa, przyspiesza bądź wchodzi na nowy etap wojna płci zamaskowana pod szyldem czterech liter z plusem.

O tym, że żadna rewolucja nie ma racji bytu bez wielkich pieniędzy, świat przekonał się po raz pierwszy w 1517 r., kiedy to miał miejsce bunt Marcina Lutra,

że katolicyzm przetrwał, jest z dziejowego punktu widzenia prawdziwym cudem. To się nie miało prawa wydarzyć. Naprawdę trudno zrozumieć, jak to się stało, że po krótkim okresie zalewu protestanckiego Polska zachowała katolicyzm. Teoretycznie przecież te mechanizmy, które tak wzmocniły panów protestanckich, powinny wszędzie działać tak samo – mówił Paweł Lisicki w wywiadzie rzece zatytułowanej „Czas szaleństwa czy czas wiary”.

Podobnie rzecz się miała 400 lat później w Rosji, gdzie ogromne pieniądze z Niemiec, Stanów Zjednoczonych, Wenezeli i wielu innych krajów świata zapewniły sukces komunistom, którym przewodził wówczas Włodzimierz Lenin. To on jako pierwszy zaczął wdrażać w życie na szczeblu państwowym „ideały seksualne” z utopijnej wizji Marksa i Engelsa.

I tak oto komuniści w ZSRS „wyzwolili” seksualnie kobiety, zezwolili na rozwody na podstawie kartki pocztowej przesłanej do urzędu stanu cywilnego, nałożyli na każdego komsomolca i komsomolkę obowiązek zaspokajania popędu płciowego współtowarzyszy, wprowadzili edukację seksualną oraz obowiązek rejestracji kobiet między 18. a 30. rokiem życia, które mężczyźni mogli „użytkować” na podstawie specjalnych talonów etc.

„Odgórnie zaprojektowana »wolna miłość« zamiast świadomego seksu zaowocowała plagą prostytucji, zbiorowych gwałtów, niechcianych dzieci oraz chorób wenerycznych (zwłaszcza syfilisu). W 1926 r. w jednej z moskiewskich fabryk ponad 50 proc. robotnic miało tego typu schorzenia” – wskazywał dr hab. Mirosław Szumiło (UMCS).

Trwająca obecnie rewolucja LGBT bez wątpienia stanowi połączenie dwóch wyżej wywołanych rewolucji. Kościół jako wróg numer jeden, który nie ma prawa nikomu mówić, jak ma żyć, „wyzwolenie” seksualne, cenzura treści krytycznych wobec „tęczowej” ideologii, promocja sex workingu (czytaj: prostytucji) etc. – to wszystko już było i teraz powróciło z wielokrotnie większą siłą za sprawą m.in. nieprawdopodobnych pieniędzy, przy których 10 ton złota, którymi dysponowali początkowo bolszewicy, to kwota na przysłowiowe waciki.

Finansowanie i promowanie ideologii i rewolucji LGBT przez największe firmy świata, organizacje międzynarodowe i pozarządowe, tzw. filantropów czy władze poszczególnych państw to główny temat dodatku tygodnika „Do Rzeczy”, który oddajemy w Państwa ręce. W przygotowanych materiałach przeanalizowano nie tylko to, jakie sumy wchodzi w grę, lecz także na co konkretnie są one przeznaczone.

W numerze również obszerny zapis konferencji „Ideologia LGBT – ochrona prawna rodziny” zorganizowanej przez Fundację Strażnik Pamięci w dniu 27 października, podczas której liczni eksperci mówili o zagrożeniach, które niesie ze sobą ideologia LGBT, i tym, jak im przeciwdziałać. W publikacji skupiliśmy się na analizie aktualnego stanu prawnego w kwestii ochrony polskich rodzin przed zakusami ideologów LGBT. Czy wystarczą one, aby zwyciężyć w tej batalii? Czy uda się nam powtórzyć sukces z czasu reformacji i w tylko nam znany sposób zatrzymać taran rewolucji, dzięki czemu staniemy się wzorem i natchnieniem dla innych? Czas pokaże...

Życząc owocnej lektury. ©©

Czy uda się nam powtórzyć sukces z czasu reformacji i zatrzymać taran rewolucji, dzięki czemu staniemy się wzorem i natchnieniem dla innych?

który zapoczątkował rewolucję protestancką. Wtedy to ówczesni książęta masowo poparli postulat „nowej, lepszej wiary” niemieckiego reformatora, według której dla zbawienia człowiek nie potrzebuje pośrednictwa Kościoła, sakramentów, księży.

„W pismach Lutra od roku 1520 Kościół katolicki pełnił funkcję podobną do tej, jaką w pismach Lenina pełniła burżuazja. Obejmował klasę zbłądną, próżniaczą, zbyteczną, przeznaczoną do likwidacji – w niektórych co bardziej płomiennych pismach Luter wręcz do tego wzywał książąt. Dlatego wielu uległo pokusie. Luter obiecywał im dwa w jednym: zbawienie bez pośrednictwa Kościoła i wielkie, wielkie pieniądze. Ba, dodawał praktycznie nieograniczoną, absolutnie suwerenną władzę. Bogactwo, zbawienie, władza –

Konferencja, która odbyła się 27 października 2021 r., stanowiła podsumowanie tematów dotyczących ideologii LGBT, które od kwietnia 2020 r. ukazują się na łamach tygodnika „Do Rzeczy”. Aby odpowiedzieć na pytania postawione na wstępie tego tekstu, należy najpierw zdefiniować, co oznacza i czym jest LGBT.

SCHEMAT MYŚLOWY

W panelu otwierającym konferencję „LGBT – Ideologia? Ludzie? Nauka? ...?” prezes Instytutu Ordo Iuris mec. Jerzy

nym wystąpieniu podsumowującym konferencję przypomniał, że ideologia to w klasycznym rozumieniu tego terminu prosty schemat myślowy, który „ma interpretować wszystko”. – Ideologia LGBT sprowadza się do tego, że nie ma już płci, że ludzkość nie dzieli się na dwa rodzaje – męski i żeński, ale dzieli się na wiele genderów, które są płynne, które są pewnymi konstrukcjami społecznymi – podkreślił filozof. – Płeć biologiczna jest rugowana z języka publicznego, z humanistyki, a także z prawa i jej miejsce zajmują owe gendery – dodał.

„dziwny mariaż neomarksizmu i liberalizmu”. – Neomarksści rozwinęli starą teorię walki klas o walkę ras i walkę płci czy genderów i w związku z tym zaroilo się od mnóstwa grup prześladowanych. [...] Z drugiej strony liberalizm zaoferował to, co ma najcenniejszego, czyli koncepcję praw – tłumaczył.

STANDARDY PONAD PRAWEM?

Obrona rodziny przed ideologią LGBT to przede wszystkim obrona dzieci przed tzw. edukacją seksualną lansowaną przez Światową Organizację Zdrowia, na co zwrócił uwagę przywołany już mec. Jerzy Kwaśniewski. Jego zdaniem w tej kwestii zarówno polskie prawo, jak i polskie sądy bardzo często są w stanie stanąć na wysokości zadania i „powstrzymać rewolucyjne zapędy niszczenia racjonalnej oceny rzeczywistości”.

Jako przykład mec. Kwaśniewski przywołał sprawę furgonetek Fundacji Pro – Prawo do Życia, na których znajdowały się bannery wyjaśniające, czego lobby LGBT chce uczyć nasze dzieci: czterolatki masturbacji, sześciolatki wyrażania zgody na seks, dziewięciolatki pierwszych doświadczeń seksualnych i orgazmu.

– Środowiska i organizacje LGBT wytoczyły powództwo, żądając zakazu jeżdżenia takich furgonetek już w trybie zabezpieczenia, czyli przed rozpoczęciem sporu. Sąd okręgowy nie przyznał takiego zabezpieczenia. Ciekawe jest uzasadnienie sędziego, który racjonalnie przeanalizował stan faktyczny i napisał: „Informacje wskazane na przedmiotowym bannerze dotyczące edukacji seksualnej dzieci nie są nieprawdziwe, gdyż pochodzą z matrycy edukacji seksualnej opracowanej przez biuro regionalne WHO dla Europy. Powszechnie wiadomym jest, że ruch LGBT jest zwolennikiem wprowadzenia edukacji seksualnej zgodnie ze standardami WHO”. Innymi słowy – trudno zakazać mówienia prawdy, zresztą dodał to sędzia w ostatnim akapicie. „Każdy obywatel ma zagwarantowane w konstytucji prawo do swobodnej, a nawet mocnej wypowiedzi i wypowiadania sprzeciwu przeciwko edukacji seksualnej dzieci według takich standardów” – uzasadniał.

Bardzo ważną kwestią, na którą zwrócił uwagę prezes Instytutu Ordo Iuris, jest „ewolucja prawa międzynarodowego”, na mocy której standardy WHO dotyczące tzw. edukacji seksualnej zyskały status prawny, a nawet są uznawane za prawo

Jak polskie prawo chroni rodziny?



Tomasz D. Kolanek

Czy prawo obowiązujące w III RP w wystarczający sposób chroni polskie rodziny przed zakusami, pomysłami i atakami ideologów LGBT? Czy my sami jesteśmy w stanie nie dopuścić do wdrożenia w naszej ojczyźnie „tęczowych” innowacji, które pod płaszczykiem fałszywie rozumianej tolerancji, wolności i równości oraz walki o tzw. podstawowe prawa człowieka w rzeczywistości mają na celu totalną relatywizację prawa naturalnego i stworzenie nowego człowieka? Na te i wiele innych pytań próbowali odpowiedzieć uczestnicy konferencji „Ideologia LGBT – ochrona prawna rodziny” zorganizowanej przez Fundację Strażnik Pamięci

Kwaśniewski przypomniał, że kiedy na początku 2019 r. prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski podpisał „Deklarację LGBT+”, dokument ten był prezentowany jako program polityczno-ideologiczny. W dokumencie znalazły się zapisy mówiące m.in. o wprowadzeniu do szkół „nowoczesnej edukacji seksualnej według standardów WHO”, „tęczowych” sieci pracowniczych dla pracodawców czy polityki miejskiej w zakresie przetargów publicznych również podyktowanej przez politykę LGBT.

Do sprawy odniósł się również m.in. prof. Ryszard Legutko, który w specjal-

Profesor Legutko zwrócił uwagę, że ideologia LGBT jest jednym z najważniejszych elementów politycznych w Parlamencie Europejskim. – Niemal każdy dokument zawiera odniesienia do ideologii LGBT. Ostatnio zostało przygotowane sprawozdanie na temat szkodliwości azbestu i proszę sobie wyobrazić, że tam również znaleziono jakiś związek między szkodliwością azbestu a LGBT. Proszę nie pytać jaki, bo nie wiem, ale jakiś z pewnością jest, bo inaczej odwołania do LGBT by nie było – powiedział.

W swoim wystąpieniu europoseł PiS zauważył również, że ideologia LGBT to



Panel pt. „LGBT – Ideologia? Ludzie? Nauka? ...?”

Od lewej: Karol Gac, redaktor naczelny DoRzeczy.pl; Paweł Lisicki, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy”; Jerzy Kwaśniewski, prezes Instytutu Ordo Iuris; Barbara Nowak, małopolska kurator oświaty; Kaja Godek, Fundacja Życie i Rodzina. FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

międzynarodowe. Mecenas Kwaśniewski podkreślił, że w XXI w. w systemie źródeł prawa międzynarodowego dominują przede wszystkim „standardy ustanawiane przez międzynarodowe gremia eksperckie, które nie mają żadnej legitymacji, żeby takie standardy ustanawiać”.

– Zaglądamy zatem do takich standardów WHO w zakresie edukacji seksualnej i czytamy tam hasło, które jest hasłem rewolucji seksualnej od co najmniej 1968 r.: „Rozwój seksualności dziecka rozpoczyna się w momencie urodzenia”. To hasło znajdują Państwo zawsze i wszędzie, ale w momencie, kiedy znajduje się ono w standardach WHO, możemy być z niego rozliczani w przestrzeni międzynarodowej, ponieważ staje się ono prawem – tłumaczył mec. Kwaśniewski. I dodawał: – Dalej czytamy tylko jeden z tych standardów, bardzo kluczowy, dla dzieci w wieku 9–12 lat: „Mają one posiadać wiedzę o prawach seksualnych zdefiniowanych przez International Planned Parenthood Federation (IPPF)”. Niedługo później autorzy dodają, żeby przypadkiem nie było tutaj żadnych wątpliwości: „IPPF, wiodąca, międzynarodowa, pozarządowa organizacja

zajmująca się zdrowiem seksualnym i reprodukcyjnym, przyjęła deklarację praw seksualnych”. A zatem wiemy już, że IPPF – organizacja znana nam wszystkim jako fundator milionów aborcyjnych mordów na całym świecie, fundator wulgarnej edukacji seksualnej w Afryce, czyli innymi słowy – kolonizator ideologiczny Afryki – zamieszcza w czwartym punkcie swojej deklaracji praw seksualnych taką zasadę: „Seksualność i przyjemność z niej wynikająca jest centralnym aspektem bycia człowiekiem”. A zatem centralnym aspektem bycia człowiekiem od urodzenia jest seksualność i przyjemność z niej wynikająca.

Co oznacza to w praktyce? Według mec. Kwaśniewskiego niedługo okaże się, że jeżeli ktokolwiek spróbuje dziecku, które ma dwa, trzy, pięć, sześć lat zakazać czerpania przyjemności albo wyjaśnić mu, że nieograniczone czerpanie przyjemności z jego seksualności jest niewłaściwe, to naruszy „podstawowe prawa człowieka” tego dziecka. – Jeżeli zakazujemy dorosłemu pomagać temu dziecku w odkrywaniu esencji jego człowieczeństwa, którą jest seksualność i przyjemność z tego wynikająca, to

naruszamy prawa tego dziecka. I to jest współczesne prawo międzynarodowe – alarmował.

– My jako Polska, my jako państwo, które jest bliskie tradycyjnej perspektywy prawa międzynarodowego, w którym standardy nie mają nic do rzeczy, ponieważ prawo międzynarodowe tradycyjnie tworzone jest poprzez zgodę suwerennych państw, a nie przez samowolne grupy eksperckie, musimy przeciwko temu protestować – oznajmił prezes Instytutu Ordo Iuris. Dodał jednak, że jest to walka Dawida z Goliatem, ponieważ po drugiej stronie są wielki kapitał oraz ci, którzy zaczynają kontrolować środki komunikacji. – Musimy przeciwko temu działać. Jeżeli mówimy o ochronie prawnej, to mówimy o niej na poziomie zupełnie podstawowym, czyli wspieraniu praw rodziców, wspieraniu praw dziecka, ale musimy mówić o tym również w poziomie globalnym, czyli o powstrzymaniu tej ofensywy, która całkowicie przeobraziła system prawa międzynarodowego tego typu niehumanitarnymi normami, które prowadzą do ideologicznego wywrócenia antropologii człowieka. Bo czymże innym jest teza, że konstytucyjne dla



Panel pt. „Ku polskiemu Stonewall... Historia ruchu LGBT”. Od lewej: Jakub Zgierski, bloger – Młot na marksizm; Rafał A. Ziemkiewicz, publicysta „Do Rzeczy”; Arkadiusz Stelmach, wiceprezes Stowarzyszenia Kultury Chrześcijańskiej im. ks. Piotra Skargi; Karolina Pawłowska, dyrektor Centrum Prawa Międzynarodowego Instytutu Ordo Iuris

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

człowieczeństwa są wyłącznie seksualność i przyjemność z niej wynikająca? Nie rozum, nie nieśmiertelna dusza, nie odrębność bytu od reszty stworzenia, ale właśnie seksualność i przyjemność z niej wynikająca. To jest przewrót antropologiczny, czyli to, co cechuje każdą potężną ideologię – podsumował mec. Jerzy Kwaśniewski.

NIE MARUDZIĆ, DZIAŁAĆ

Podczas konferencji „Ideologia LGBT – ochrona prawna rodziny” niezwykle interesującej i ważnej analizy aktualnego stanu rzeczy dokonał marszałek Sejmu V kadencji Marek Jurek, który kilkakrotnie podkreślił, że na obecnym etapie musimy wszelkimi dostępnymi środkami przede wszystkim „bronić tego, co już mamy”. Jako przykład podał on polskie prawo oświatowe. – Ustawa ta mówi we wstępie, że edukacja publiczna w Polsce jest oparta na zasadach kultury chrześcijańskiej – podkreślił. Po czym jednak do beczki miodu dodał łyżkę dziegciu: – Zadam przykre pytanie: Jak ma być dobrze, skoro w roku 2016, miał miejsce pierwszy „czarny piątek”, czyli weszła do szkół propaganda wymierzona

przeciwko życiu, wychowaniu i rodzinie, ówczesny szef MSZ Witold Waszczykowski powiedział coś nieprzyjemnego na ten temat. I co się stało? Czy krytyka ministra polskiego rządu dotycząca wchodzenia aborcjonistów do szkół zyskała poparcie ówczesnej premier Beaty Szydło? Nie! Pani premier wezwała go na dywanik i wyjaśniła, żeby nie prowokował i nie drażnił demonstrantów.

Jurek przypomniał, że „prawo musi być prawem”, a my „po to je uchwaliliśmy, żeby działało” i jeśli ktoś je łamie, to musi ponieść konsekwencje, a tak się stało w roku 2016 i kolejnych latach, kiedy „czarny piątek” zastąpił „tęczowy piątek”. – Niech cała Europa uprawia swoją propagandę, a my po prostu brońmy prawa i z dumą prezentujemy na forum wewnętrznym i zewnętrznym zasady, na których oparty jest ład społeczny w Polsce, również zasady konstytucyjne, które potwierdzają, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny – tłumaczył.

Marszałek Sejmu V kadencji zwrócił również uwagę, że w tej chwili obowiązuje genderowa konwencja stambulska, która mówi m.in., że należy wprowadzać młodzież do niestereotypowych

ról płciowych itd. – Ta konwencja nie została ratyfikowana przez blisko jedną czwartą państw UE, w tym państwa dla nas bardzo ważne. Nie ratyfikowało jej żadne państwo Czworokąta Wyszehradzkiego oprócz Polski. Tej konwencji nie ratyfikowały dwa państwa, które obecnie razem z nami bronią swoich granic przed nielegalną imigracją, czyli Litwa i Łotwa. Trybunał Konstytucyjny Bułgarii stwierdził, że konwencja genderowa jest nie do pogodzenia z gwarancjami praw rodziny zawartymi w konstytucji bułgarskiej – wyjaśnił Jurek. I dodał: – My do tych państw powinniśmy jak najszybciej dołączyć. Kolejne rządy PiS powinny wypowiedzieć tę konwencję i zmienić decyzję rządu Ewy Kopacz. Dlaczego ta polityka jest kontynuowana? Dlaczego tam, gdzie miała być dobra zmiana, mamy do czynienia z niedobrą kontynuacją? Tę konwencję należy wypowiedzieć, a do tych państw, o których mówiłem, należy wyjść z inicjatywą zawarcia Międzynarodowej Konwencji Praw Rodziny.

Na koniec Marek Jurek mówił o ataku, który dwa lata temu Parlament Europejski skierował przeciwko ustawie „Stop pedofilii”, będącej inicjatywą



Panel pt. „Tylko dobrze albo wcale? Cenzura LGBT”. Od lewej: ks. prof. Dariusz Oiko, Uniwersytet Papieski w Krakowie; dr Bartosz Lewandowski, dyrektor Centrum Interwencji Procesowej Instytutu Ordo Iuris; Łukasz Karpiel, portal PCh24.pl, Zuzanna Dąbrowska, DoRzeczy.pl oraz Radio Maryja

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

■ społeczną. – W rezolucji potępiającej tę ustawę znalazły się zapisy atakujące polskie prawo i życie społeczne. Są takie ciekawe sylogizmy: Dlaczego 15-latkowie w Polsce potrzebują zgody opiekuna na wydanie im zgody na środki antykoncepcyjne? Dalej napisano, że kompleksowa edukacja seksualna ma umożliwiać dzieciom rozwijanie relacji seksualnych, a jednocześnie nauczyć je rozważać, w jaki sposób ich wybory wpłyną na ich samopoczucie. Na te zarzuty odpowiedziała w imieniu polskiego Sejmu pani poseł Dominika Chorościńska. Odpowiedź nie była moralistyczna, tylko afirmująca z dumą zasady polskiego prawa, że my uważamy je za dobre i na pewno od nich nie odstępimy, dlatego że to nie jest kwestia subiektywnych przekonań, ale obrony dobra wspólnego, obrony rodziny, która jest fundamentem społeczeństwa – relacjonował.

Marek Jurek zaznaczał, że jeśli będziemy w Polsce tylko opowiadać, czym jest gender, i przestrzegać przed tym, co dzieje się na Zachodzie, a nie będziemy działać, to nie będziemy kształtować opinii polskiej i europejskiej. – Jeśli nie będziemy współpracować z państwami, które czekają na tę współpracę, jeśli nie

będziemy wykorzystywali koniunkturę do tworzenia silnej opinii za życiem i rodziną, do pokazania, że istnieje alternatywa moralna do tego, co istnieje, to nigdzie nie dojdziemy – podsumował Marek Jurek.

MIMO WSZYSTKO WYGRAMY?

Warto na koniec tej relacji zacytować jeszcze trzy krótkie wypowiedzi, które z jednej strony dają nadzieję na obronę polskich rodzin i dzieci przed tym wszystkim, co lansują ideolodzy LGBT, ale z drugiej – podobnie jak Marek Jurek – wzywają nas do działania.

Profesor Ryszard Legutko: – Prędzej czy później ideologia LGBT upadnie. Problemem jest, jakie spustoszenia zostawi za sobą. Nie mam odpowiedzi, czy Polska wygra. Wiem, że trzeba z tym walczyć, trzeba się starać, trzeba włożyć wielką energię w to, bo stawka nie jest błaha, to jest stawka najwyższa.

Doktor Gabriele Kuby (socjolog): – Skutki rewolucji seksualnej to rozpad rodziny, wykorzenienie jednostki, chaos społeczny, coraz głębszy podział społeczeństwa. Ideologia gender i ruch LGBT są symptomami umierającej kultury. Czy jesteśmy już u kresu rozwoju tej sytuacji? Nie! Koniec nadejdzie wówczas, gdy ludzie

dotknie ekonomiczna bieda. Wówczas będzie chodzić o przetrwanie, a nie o „orientację seksualną”. Wtedy każdy doceni, że może liczyć na solidarność swojej rodziny i znaleźć oparcie w wierze chrześcijańskiej.

Łukasz Karpiel (zastępca redaktora naczelnego portalu PCh24.pl): – Pętla się zaciska i nikt nie może czuć się bezpieczny. To nie jest tak, że można przyjąć jakieś stanowisko, można się jakoś sprytnie w tym wszystkim odnaleźć. NIE! Prędzej czy później ktoś zapuka do drzwi. [...] Dużo tutaj było mówione o Antonio Gramscim, padały terminy „rewolucja”, „marsz przez instytucje”, „neomarksizm” etc. Moim zdaniem skupiając się na tym, uspokajamy sumienie, że odkryliśmy, jak ONI działają, a skoro to wiemy, to jakoś jesteśmy w stanie przeciwdziałać. [...] Powtórzę: nie uspokajamy sumienia, bo ideolodzy LGBT na tym się nie zatrzymają. To im nie wystarczy, bo taka jest oczywista logika rewolucji. Musimy to dostrzec i temu przeciwdziałać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Całość konferencji można obejrzeć na portalu DoRzeczy.pl oraz w serwisie YouTube na kanale Tygodnik „Do Rzeczy”



Filip Furman

Jak w Polsce finansuje się gender studies

Bieżący rok może stać się dla polskiej nauki rokiem przełomowym. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zapowiedziano, następnie wdrożono i z sukcesem prowadzi się wiele inicjatyw mających nie tylko rozwinąć polską naukę, jej poziom i swobodę prowadzenia badań, lecz także odbudować jej pozycję na arenie międzynarodowej. Wspomnieć tu należy przede wszystkim o działaniach Ministerstwa Edukacji i Nauki związanych chociażby z generalnymi zapewnieniami dotyczącymi swobody badań naukowych w Polsce i wolności ich prezentowania. Nawet samo tworzenie klimatu sprzyjającego upodmiotowieniu naukowców należy potraktować jako pozytywny ewenement

lat z sukcesami pracujące w akademii, mogą już stykać się z objawami cancel culture – wystarczy przypomnieć chociażby sprawę prof. Ewy Budzyńskiej. Jak jednak wcześniej wspomniałem, generalny klimat instytucjonalny jest w Polsce wciąż odmienny niż w wielu innych krajach Zachodu. Powstaje więc wiele inicjatyw zorientowanych na kształcenie wyższe w duchu wartości klasycznych i chrześcijańskich, poszanowania prawdy, dobra i piękna. Jestem szczególnie wdzięczny, że mogę wśród nich wymienić także inicjatywę, którą sam reprezentuję, to jest Collegium Intermarium.

Należy jednak zauważyć, że istnieje już od wielu lat wiele inicjatyw, które wydają się wpisywać w odmienny nurt filozoficzny, a jako takie często budzą zaniepokojenie szeroko pojętych środowisk chrześcijańskich, tradycyjnych czy konserwatywnych. Wśród nich poczesne miejsce zajmują gender studies.

W Polsce gender studies prowadzone są przede wszystkim jako studia podyplomowe. Takie studia funkcjo-

Warto przypomnieć, że w 2018 r. rząd Węgier zdecydował o zakończeniu finansowania gender studies z budżetu państwa. Co mogło być przyczyną tej decyzji? Jakiego rodzaju badania z tego nurtu wykonywane były do tej pory w Polsce? Czy ich sponsorowanie można uznać za problem?

Przyjrzyjmy się więc badaniom, które poruszały zagadnienia gender lub wpisywały się w nurt gender studies, które w ostatnich latach były finansowane przez Narodowe Centrum Nauki. Badania te wiążą się z różnymi innymi dziedzinami – historią, psychologią czy badaniami nad literaturą. Od 2015 r. Narodowe Centrum Nauki wsparło m.in. takie projekty jak: „Historia gender jako przedmiot wiedzy: teoretyczne ramy i praktyka badawcza polskich studiów nad przeszłością kobiet na tle międzynarodowym”, „Międzynarodowe i polskie teorie gender i queer oraz ich wpływ na polską literaturę XX i XXI w. w kontekście literatury i kultury światowej” – były to większe projekty wsparte kwotami rzędu setek tysięcy złotych, a także takie, które uzyskały wsparcie o rząd wielkości mniejsze, jak np. „Poetyka kina queer”.

Należy zauważyć, że niezależnie od oceny społecznego wymiaru i skutków polityki zakorzenionej w nurcie gender, a także jego naukowych i nienaukowych założeń nurt jako taki może być przedmiotem badań naukowych. Kwerenda projektów wpisujących się w ten nurt, finansowanych do tej pory przez Narodowe Centrum Nauki, nie pozwala na odmówienie im kryteriów naukowości czy odpowiedniego warsztatu. Tak więc problem finansowania ideologii gender jako takiej przez państwo polskie nie zachodzi. Dlaczego więc rząd Węgier w sposób tak jednoznaczny podszedł do sprawy? Myślę, że mogło to wynikać nie tyle z tematyki czy zakresu

w skali europejskiego i amerykańskiego świata nauki, w którym od lat dominuje tylko jedna strona dyskursu społeczno-politycznego, a w ostatnim czasie tę dominację próbuje się ugruntować poprzez sekowanie i ostatecznie rugowanie z uczelni wykladowców i myślicieli, którzy nie chcą poddać się dyktatowi poprawności politycznej.

Przybiera to formę, która w dyskursie anglojęzycznym określana jest mianem cancel culture, to jest kulturą anulowania – neutralizowania niewygodnych poglądów poprzez początkowo przemilczanie, następnie zastraszanie, a jeśli to nie przynosi skutku, to także fizyczne próby utrudniania wykładów i wystąpień publicznych, jak miało to wielokrotnie miejsce w przypadku spotkań z wybitnym myślicielem i psychologiem prof. Jordanem Petersonem. W Polsce również osoby, nawet wiele

nują między innymi na Uniwersytecie Warszawskim, w Polskiej Akademii Nauk czy Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. Gender studies i wchodzące w ich skład zagadnienia pojawiają się także w wielu pojedynczych kursach na innych kierunkach studiów. Poza działalnością dydaktyczną w nurcie gender studies prowadzi się także działalność badawczą. Projekty obejmujące zagadnienia gender znajdujemy wśród badań finansowanych przez Narodowe Centrum Nauki. Tak więc są to studia i badania przynajmniej częściowo finansowane przez polskiego podatnika, choć zaznaczyć należy, że w przypadku odpłatnych studiów podyplomowych ich koszty pokrywane są tylko przez uczestników lub inne zainteresowane osoby – jednak wciąż kontrowersje może budzić afiliowanie tego typu programów przy państwowych uniwersytetach i instytucjach.

Tęczowe granty

■ podejmowanych badań naukowych, ile raczej z obserwacji skutków, które w dłuższym terminie niesie ze sobą kwestionowanie podstawowych ról społecznych, wzorów zachowań czy stosunków społecznych, które wywodzą się przecież także z ugruntowanego w biologii podziału na kobiety i mężczyzn. A skutki te możemy już powszechnie zaobserwować w Stanach Zjednoczonych i wielu krajach Europy Zachodniej.

WARTOŚCIOWANIE

Krytycy teorii gender zarzucają im wiele postulatów politycznych, które miałyby dążyć do daleko posuniętej zmiany społecznej. Dla osób pracujących w naukach społecznych oczywiste jest, że sam dobór tematu badania stanowi wartościowanie. Oceniamy bowiem, jaki temat jest społecznie istotny, doniosły, poznanie jakich zagadnień przyniesie nam największe korzyści.

W nurcie gender to wartościowanie wydaje się być często celem samym w sobie, to jest celem nie jest poznanie, a przekonanie społeczeństwa co do słuszności i naukowości stricte ideowych postulatów. Widać to przede wszystkim w wątkach skrajnego feminizmu, który każe traktować każdą relację międzyludzką jako stosunek władzy (w domyśle jako władzę mężczyzn nad kobietami). Takie podejście traktuje stosunki międzyludzkie jako gry o sumie zerowej – czyli takie, których czyjaś wygrana zawsze musi się wiązać z czyjąś przegraną. W rzeczywistości tak nie jest. To właśnie życie w społeczeństwie, podział ról, specjalizacja pozwalają na rozwój i wymianę ekonomiczną oraz społeczną korzystną dla wszystkich uczestników wymiany. Jednak współczesny skrajny feminizm, będący składową nurtu gender, twierdzi, że w relacji kobiet z mężczyznami korzyść jednych zawsze musi pochodzić z niekorzyści innych. Jest to bardzo niebezpieczna wizja świata, jej przyjęcie legitymizuje przemoc – jeśli bowiem każda relacja jest sytuacją quasi-wojenną, to uzasadnione moralnie stają się wojenne działania.

Drugim postulatem gender, który wymaga krytyki, jest ignorowanie czynników biologicznych, determinujących ludzką płciowość. Przyjęcie fałszywego założenia o całkowicie społecznym i kulturowym pochodzeniu ludzkiej

płciowości wymaga autorytarnego odrzucenia kategorii prawdy. W ten sposób oddalamy się od uprawiania nauki w kierunku uprawiania dyskursu, który jednak nie służy już poszerzaniu wiedzy, a władzy. Przyjmowane są nowe dogmaty. Dogmaty znacznie mniej uczciwie intelektualnie niż dogmaty religijne. Abstrahując od tego, że za dogmatami religijnymi stoją często setki lub tysiące lat refleksji teologicznej, wiara w nie pozostaje właśnie w gestii wiary. Dużym osiągnięciem cywilizacji europejskiej, okupionym wieloma wojnami i jednostkowymi tragediami, jest swoboda wyznawania lub niewyznawania określonych dogmatów

religijnych. Te ponowoczesne dogmaty, których dostarcza teoria gender, ubierane są w pozory naukowości. Stają się przez to niebezpieczne, ponieważ jako takie przestają podlegać publicznej dyskusji. W następnym kroku ich dyskusowanie staje się zakazane. I tak odrzucenie prawdy prowadzi do nienawiści wobec prawdy. Prawda staje się „mową nienawiści”.

PANIDEOLOGIA

Wreszcie gender stara się zbudować panideologię. Wychodząc od sfery tak intymnej jak seksualność, przełamując pewnego rodzaju bariery, z łatwością rozszerza się na inne aspekty życia



FOT. ANDRZEJ STOK



zmian w strukturze społecznej, które odbijają się na relacjach pomiędzy kobietami i mężczyznami, a w konsekwencji także na kondycji małżeństwa i rodziny.

Tak więc za decyzją rządu Węgier o wycofaniu jakiegokolwiek rządowego wsparcia dla gender studies najprawdopodobniej stała właśnie dogłębna obserwacja i analiza procesów, które już w wielu krajach zaszły, i zastosowanie działań im zapobiegających. W istocie bowiem gender studies mogą stać się miejscem kształcenia elit nowego ruchu społecznego, nastawionego na radykalną zmianę wartości i tradycyjnego ładu społecznego. Pewną niekonsekwencją dla konserwatywnego rządu byłoby więc wspieranie ideologii sprzecznej z kanonem wartości, dla ochrony których demokratyczna większość dała legitymację takiemu rządowi.

WSPARCIE KLASYCZNYCH NURTÓW

Jaki z tego płynie wniosek dla Polski? Przede wszystkim należy stwierdzić, że w warunkach Polski trudno mówić o systemowym problemie sponsorowania badań i prac naukowych stanowiących jednoznacznie emanację ideologii – choć nie można wykluczyć, że wśród wielu badań prowadzonych na polskich uniwersytetach i takie się znajdują. Jednak swoboda prowadzenia badań naukowych, która jest wartością nadrzędną, znacznie ucierpiałaby, gdyby próbowano stworzyć enumeratywny katalog tematów, które miałyby być wykluczone. Co więcej, tworzyłoby to niebezpieczny precedens na przyszłość – w zależności od uznania można by dalej zawężyć swobodę badań, nawet w zakresach zdecydowanie pożytecznych. Symboliczne komunikaty są jednak ważne na przyszłość. Tworzą określone otoczenie społeczne i ideowe.

Działania, które zatem należy podjąć, to wsparcie badań i studiów poświęconych wartościom klasycznym, tożsamości, historii i rodzinie.

A jeśli chodzi o tzw. tęczową naukę, to nie będzie ona dla nas zagrożeniem, jeśli prawdziwa nauka nie ustąpi jej pola. Jeśli na naszych uniwersytetach przetrwa dążenie do prawdy jako naczelną zasadą rządzącą uprawianiem nauki – czego sobie i wszystkim pracownikom naukowym szczerze życzę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dyrektorem Centrum Nauk Społecznych i Bioetyki.

człowieka, docelowo kolonizując je wszystkie. Poprzez poddawanie w wątpliwość podstawowych identyfikacji tożsamościowych, takich jak identyfikacja płciowa, utwierdza się ludzi w niepewności – a zagubionymi łatwiej rządzić. Skutki tej ideologii widoczne już są w badaniach.

Widzimy, jak wielu młodych ludzi na Zachodzie ulega presji mody i autorytetu. Pokazują nam to np. odsetki osób identyfikujących się jako tzw. transseksualiści. Według metaanaliz, które w 2015 r. opublikowali naukowcy z Cambridge, transseksualizm, jako kondycja medyczna, to jest zaburzenie o charakterze psychicznym, dotyczyć może jedynie 0,005 proc.

populacji świata. Tymczasem w krajach i regionach, gdzie doktryna gender staje się oficjalnie uznana, odsetek ten jest znacznie wyższy. W badaniach deklaratywnych, mówiących o samoidentyfikacji, na terenie poszczególnych stanów Stanów Zjednoczonych Ameryki odsetek ten wynosi ok. 1 proc., a w stolicy kraju, w Waszyngtonie, sięga niemal 3 proc. Tak duża różnica względem badań dotyczących realnej kondycji medycznej może być wyjaśniona tylko czynnikami kulturowymi.

Nurt gender jako całość obejmująca badania naukowe, badania pozorowane na naukowe, postulaty społeczne i polityczne, dość szybko może więc dokonać

Jak organizacje LGBT są finansowane w Polsce



Marta Kowalczyk

W ostatnich latach obserwujemy wzrost aktywności ruchu LGBT, a tym samym coraz silniejszy wpływ na debatę publiczną w Polsce. Widzimy to nie tylko w powtarzających się motywach produkcji popkultury, lecz także w oddziaływaniu na politykę czy w zaangażowaniu społecznym. Jak wygląda kwestia finansowania ruchów promujących tę ideologię?

Rok 2019 został określony jako rekordowy pod względem zorganizowanych manifestacji LGBT, przemarsze odbyły się w 29 miastach. W latach 2020–2021, z uwagi na ograniczenia wprowadzone w związku z pandemią, skala wydarzeń była znacząco niższa, obejmując głównie większe miasta. Co ciekawe jednak, mimo zauważalnego rozszerzenia zainteresowania również na Polskę powiatową, często dochodziło do sytuacji, kiedy głównym organizatorem był podmiot z miasta wojewódzkiego (niekiedy odpowiedzialny nie tylko za dopełnienie formalności, lecz także dowieszenie części uczestników), a nie grupy lokalnych mieszkańców, jak jest to często przedstawiane.

Przestało już dziwić zaangażowanie poszczególnych włodarzy miast, którzy nie tylko chętnie obejmują takie wydarzenia honorowym patronatem, lecz także uczestniczą w nich osobiście.

Zostało to zapoczątkowane przez prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka w 2015 r. Był to pierwszy marsz równości po objęciu przez niego stanowiska. Nawet jeśli zdarzy się, że nie może być fizycznie obecny, to urząd jest reprezentowany przez inną wydelegowaną osobę.

Od 2017 r. w trójmiejskich marszach równości uczestniczył Paweł Adamowicz, podobnie jak jego następczyni, Aleksandra Dulciewicz. Mimo że obecna prezydent Gdańska post factum skrytykowała profanację procesji Bożego Ciała, dokonaną przez grupę uczestników marszu równości w 2019 r., wciąż angażuje się w tego rodzaju wydarzenia. Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski zobowiązał się do nadania paradzie honorowego patronatu już w Deklaracji LGBT+, a więc w dokumencie, który powstał na długo przed oficjalnym zgłoszeniem manifestacji, co stawiało pod znakiem zapytania legalność tych działań. Była to zauważalna odmiana po oddaniu władzy przez Hannę Gronkiewicz-Waltz, która mimo wniosków wpływających do ratusza nie zdecydowała się na taką formę poparcia.

ZADECLAROWANE WSPARCIE SAMORZĄDU

18 lutego 2019 r. Rafał Trzaskowski podpisał Deklarację LGBT+, dokument opracowany przez stowarzyszenie Miłość Nie Wyklucza, którego jednym z celów jest m.in. wprowadzenie do polskiego prawa możliwości formalizacji związków osób tej samej płci. O ile Deklaracji



FOT. ADAM STOK



■ **LGBT+** nie można uznać za akt prawa miejscowego (m.in. z uwagi na to, że prezydent miasta nie miałby kompetencji go wydać), o tyle jednak stanowi prezentację programu politycznego. Zawarte tam postulaty dotyczą m.in. przywrócenia funkcjonowania tzw. hostelu interwencyjnego dla osób **LGBT+**, stworzenia systemu monitorowania zbrodni z nienawiści, wprowadzenia „latarników” do szkół (których zadaniem byłoby „monitorowanie sytuacji uczniów **LGBT+** w warszawskich szkołach podstawowych i średnich”) czy wprowadzenie we wszystkich szkołach „edukacji antydyskryminacyjnej i seksualnej, uwzględniającej kwestię tożsamości psychoseksualnej i identyfikacji płciowej”, połączonej z silniejszą współpracą z trzecim sektorem.

Dodatkowo Deklaracja **LGBT+** zawiera także wspomniane zobowiązanie do objęcia honorowym patronatem Parady Różnorodności czy utworzenie specjalnych ośrodków kulturalnych albo sportowych skierowanych do osób **LGBT** czy zobowiązanie instytucji miejskich do podpisania Karty Różnorodności i podejmowania współpracy z „pracodawcami przyjaznymi dla osób **LGBT+**”.

Oczywiście z wymienionymi propozycjami wiąże się konkretne problemy, np. brak kompetencji organu do działania w niektórych kwestiach czy konieczność przetwarzania wrażliwych danych osobowych przez wiele podmiotów (np. klub sportowy, który przed przyjęciem nowego członka powinien dokonać weryfikacji jego orientacji seksualnej).

Po upływie ponad dwóch lat od ogłoszenia tych postulatów nastąpiła realizacja jednego z nich, dotyczącego reaktywacji hostelu **LGBT**. Jest prowadzony przez jedną ze stołecznych organizacji **LGBT**. Nie udostępniono nam informacji dotyczących kosztów tego przedsięwzięcia.

GRANTY, ZADANIA PUBLICZNE, FINANSOWANIE

Jak wynika z raportu Instytutu Ordo Iuris, powstałego niecały rok po objęciu urzędu przez Rafała Trzaskowskiego, w wyniku konkursów grantowych poszczególnym podmiotom przekazano (lub zobowiązano się przekazać) 876,5 tys. zł. Kwota ta dotyczy jedynie konkursów grantowych, nie zawierają się w niej więc umowy na realizację zadań publicznych itp. Jednak jest to kwota wyższa niż przekazana podczas rządów

poprzedniczki Rafała Trzaskowskiego. Do udzielanego wsparcia należałoby również doliczyć korzystanie przez część organizacji z lokali miejskich, które są udostępniane na preferencyjnych warunkach, według cen znacząco niższych niż rynkowe.

W 2020 r. w wyniku kontroli poselskiej ministra Sebastiana Kalety powstał audyt umów na realizację zadań publicznych zawartych między Warszawą a kilkunastoma organizacjami **LGBT**. Wyniki świadczyły nie tylko o dość zażyłej współpracy, lecz także ukazywały sporo nieprawidłowości, dotyczących zarówno kwestii formalnych (jak np. braki dotyczące miejsca realizacji umowy czy dopisywanie ołówkiem na tekście umowy zmienionego numeru konta czy przekazanej kwoty), jak i umawiania się na zakres przeprowadzanych kontroli, opóźnienia przy złożeniu sprawozdań czy nawet zatwierdzania projektów bez wymaganych informacji sprawozdawczych.

Nie były to błędy dotyczące pojedynczych umów, ale można było odnaleźć tu pewną stałą praktykę, realizowaną przez kilka lat. Same zadania publiczne były zaś realizowane m.in. poprzez programy dla uzależnionych – rozdawanie igieł (90 tys.), strzykawek (60 tys.), testów „jakości” narkotyków czy też organizowanie specjalnych stoisk w akademikach czy klubach, gdzie dystrybuowano prezerwatywy i lubrykanty. W wyniku zawieranych umów miasto przekazywało od kilkudziesięciu do kilkuset tysięcy złotych dla każdej organizacji.

DOFINANSOWANIE OD INSTYTUCJI ZAGRANICZNYCH

Środkami publicznymi są również granty pochodzące z budżetu Unii Europejskiej. Udało się ustalić, że według danych na 2019 r. warszawskie organizacje **LGBT** otrzymały łącznie ok. 2 mln zł. Środki te były przeznaczane na prowadzenie szkoleń zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych, zajmujących się tematami orientacji seksualnej, tożsamości płciowej, na kampanie społeczne, działania promocyjne czy wreszcie projekty na rzecz walki z przestępstwami z nienawiści. Większość projektów była realizowana przy współpracy z podmiotami zagranicznymi.

Nie można również zapomnieć o funduszach norweskich, czyli środkach publicznych, które trafiają do Polski na podstawie umowy międzynarodowej na zasadach

podobnych do funduszy strukturalnych Unii Europejskiej. Jest to forma ekwiwalentu Norwegii (a więc państwa nienależącego do UE) za możliwość swobodnego przepływu towarów, usług, osób czy kapitału. Podmiotem odpowiedzialnym za dysponowanie środkami jest Fundacja im. Stefana Batorego. Według przeprowadzonej analizy w latach 2013–2017 w ramach programu „Obywatele dla Demokracji” rozdysponowano kwotę prawie 131 mln zł, z czego niemal połowa dofinansowanych projektów była realizowana przez organizacje z większych miast, gdzie prym wiodła Warszawa (do której trafiło ponad 50 proc. funduszu). Ponad 43 proc. z puli środków trafiło wtedy do organizacji o lewicowym profilu. Większość dofinansowanych projektów dotyczyła „walki z dyskryminacją” czy „przeciwdziałania wykluczeniu”, realizowanych w praktyce poprzez działania niejednokrotnie wątpliwe prawnie, takie jak ograniczenie nauki religii w szkole czy elementów związanych z religią w ogóle (symbole, uroczystości), wsparcie organizacji proaborcyjnych, wprowadzanie ideologii gender do programów edukacyjnych skierowanych do dzieci czy też zwiększenie obecności organizacji **LGBT** w przestrzeni publicznej, wpływ na instytucje publiczne, które miałyby być bardziej przychylne wobec postulatów środowiska, czy wreszcie wypracowanie wieloletnich strategii zmierzających do tzw. równości małżeńskiej, a więc po prostu możliwości sformalizowania związków osób tej samej płci i zrównaniu ich prawnie z małżeństwami, łącznie z możliwością adopcji dzieci.

TAKA POLITYKA FIRMY

Obok zaangażowania instytucji publicznych równie aktywne jest wsparcie kierowane przez prywatne przedsiębiorstwa czy korporacje. Chodzi nie tylko o ustalanie wewnętrznych polityk firmy, zobowiązujących pracowników do wzajemnego zainteresowania sferami życia uznawanymi za prywatne i wyciąganie konsekwencji wobec osób, które nie zgadzają się na takie działania, lecz także o poczynania zewnętrzne.

W czerwcu, tzw. miesiącu dumy, ogromna liczba znanych marek barwi swoje logo na tęczowo, w trakcie marszów równości również pojawiają się uczestnicy z bannerami sygnalizującymi ich obecność. Znany serwis streamingowy nie tylko umieszcza wątki **LGBT** prawdopodobnie we wszystkich swoich produk-

cjach, lecz także zaplanował dedykowaną poznańskiej manifestacji akcję sojuszniczopromocyjną. Wiele firm wydaje specjalne edycje swoich produktów ze wzorem sześciobarwnej tęczy. Dzieje się tak niezależnie od specjalności (tekstylia, ubrania, przybory papierniczne, produkty spożywcze, moda, uroda, dom i ogród).

Niektóre z firm (np. znana marka napojów gazowanych) przygotowały nawet granty pieniężne skierowane do organizacji LGBT. W ten sposób można było ubiegać się m.in. o dofinansowanie (w wysokości 5 tys. zł) pierwszego marszu równości, który miał odbywać się w mieście. Z uwagi na to, że organizatorami marszy były głównie doświadczone podmioty z większych miast, prawdopodobnie to one ubiegały się o dotację. Ta sama marka zresztą była wskazana jako jeden ze sponsorów serii szkoleń skierowanych do społeczności mniejszych miast, prowadzonych przez działaczy dużego stowarzyszenia z Poznania. Tak zwana Akademia Równości odbyła się w miejscach, gdzie nie było wcześniej żadnej manifestacji zorganizowanej przez środowiska LGBT. Tematykę szkoleń można określić jako autoprezentację zaangażowanych działaczy.

O ile dotacje i wsparcie finansowe udzielone przez organy władzy są informacją publiczną, a więc możemy wnioskować o jej udostępnienie, o tyle środki prywatnych firm są oczywiście ich prywatną sprawą, gospodarowaną w sposób przez nich uznany za stosowny. Nie ma zatem możliwości stworzenia nawet przybliżonych szacunków, jakie kwoty są przekazywane ubiegającym się o nie organizacjom LGBT.

KIERUNEK: SZKOŁA

Na przestrzeni kilku lat widać wyraźne zainteresowanie organizacji LGBT systemem oświaty i próbami wnikięcia do szkół. Początkowo starano się to osiągnąć poprzez prowadzenie zajęć dla uczniów. Przepisy prawa oświatowego dopuszczają współpracę między szkołą a trzecim sektorem, jednak wymaga to przede wszystkim dopełnienia określonych procedur, zwłaszcza otrzymania wcześniejszej zgody rady rodziców.

Przeprowadzona kilka lat temu inicjatywa „Chrońmy Dzieci”, a więc akcja monitorująca prawidłowość zawierania takich umów, wykazała, że w ogromnej liczbie szkół ustawowe obowiązki nie zostały dopełnione i zajęcia odbywały

się z naruszeniem prawa. Podobnie było z forsowaną akcją Tęczowy Piątek, która w ostatnich edycjach miała być już oddolną inicjatywą uczniów, jednak wciąż korzystających z pełnego zestawu materiałów znakowanych logiem Kampanii przeciw Homofobii – jednej z największych i najstarszych organizacji LGBT (w takim wypadku również możemy mówić o pewnej formie współpracy).

Ponieważ jednak w ostatnich latach wyraźnie wzrosła społeczna świadomość i zaczęto przykładać większą wagę do organizacji zajęć skierowanych do uczniów, obecnie widzimy już inny trend – szkolenia dla nauczycieli.

Przykładem takich działań są np. odbywające się w Poznaniu warsztaty „Szkoła wolna od homofobii i transfobii”, prowadzone przez jedną z organizacji LGBT oraz dofinansowane przez urząd miasta. Podzielone na kilka spotkań, podczas których nauczyciele mają być uwrażliwieni na specjalne potrzeby uczniów oraz sposoby, w jakie mogą im udzielić wychowawczego wsparcia. Jedną z części warsztatów są wykłady prowadzone przez prawniczkę współpracującą z Polskim Towarzystwem Prawa Antydyskryminacyjnego (jednym z jego założycieli był poseł Krzysztof Śmiszek, obecnie honorowy przewodniczący) oraz działacza LGBT. Nagrania z tych sesji są dostępne w Internecie, można je natomiast skrócić do kilku kluczowych punktów: jeśli uczniowie czy uczennice nie czują się komfortowo ze swoją własną płcią, to należy umożliwić im jej społeczną zmianę, np. poprzez zgodę czy wręcz zachęcanie do ubierania się według sposobu płci przeciwnej, zwracanie się do nich wybranymi imionami oraz dostosowanie do tego dokumentów szkolnych (np. przygotowanie nieoficjalnej kopii świadectwa szkolnego, w którym będą widniały zmienione dane).

Najbardziej jednak szokujące były odpowiedzi na pytania uczestników, co robić, jeśli rodzice danego dziecka nie wyrażają na to wszystko zgody i powstaje wyraźny dysonans między nimi a uczniem. Według opinii prowadzących zdanie rodziców nie ma tutaj żadnego znaczenia, co więcej – jeśli dziecko nie chce ich informować, to nauczyciel ma podejmować omawiane kroki w tajemnicy przed nimi. Co w takim razie z konstytucyjnym prawem do wychowania dziecka w zgodzie z własnymi przekonaniem?

Oczywiście te zabiegi nie mają podstaw w przepisach, takie poczynania należy raczej uznać za daleko wysuniętą inicjatywę z możliwością naruszenia prawa, jeśli faktycznie cały proceder jest ukrywany przed rodzicami. Jednak wykładowcy zapewniają nauczycieli o możliwości odpowiedzialności cywilnej, jeśli dorosły uczeń uzna, że jego dobra osobiste zostały naruszone przez brak zgody na takie działania. Jaki efekt wywoła to u nauczycieli, możemy się domyślać.

Podobne szkolenia są prowadzone także w innych miastach, m.in. w Gdańsku, gdzie również odbywają się przy współpracy z organami miasta.

FINANSOWANIE ODDOLNE

Nie ma wątpliwości, że zdarzają się także przypadki finansowania oddolnego. Zbiórki są organizowane np. przed manifestacjami, znane są także przypadki bardziej lub mniej prywatnych zrutek zakładanych przez poszczególnych działaczy. Jednak porównując ze skalą dotacji pochodzących ze źródeł publicznych, są to przypadki marginalne, urządzone raczej ad hoc.

Potwierdzeniem tego jest fala oburzenia po powstaniu Samorządowej Karty Praw Rodzin. Reakcją na uchwały poszczególnych gmin, powiatów czy województw wprowadzających SKPR jest umieszczenie ich w „Atlasie Nie-nawiści”, interaktywnej mapie – liście stworzonej przez grupę działaczy LGBT, prezentowanej m.in. w Parlamencie Europejskim.

Głównym punktem zapalnym jest umieszczenie w SKPR sformułowania o „wyłączeniu możliwości przeznaczania środków publicznych i mienia publicznego na projekty podważające konstytucyjną tożsamość małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny lub autonomię rodziny”. Wprowadzenie takiej zasady do polityk samorządowych mogłoby oznaczać zaprzestanie finansowania większości omawianych wyżej projektów. Przede wszystkim jednak świadczy o niskiej oddolności tych działań oraz perspektywie poważnych problemów w przypadku odcięcia dopłat. Nasuwa się zatem pytanie: Czy jeśli większość z tych projektów nie utrzymałaby się bez wsparcia instytucjonalnego, to czy rzeczywiście są one konieczne, jak twierdzą zgodnie działacze LGBT?



Rafał A. Ziemkiewicz

Tworzenie nowego stylu życia jest korzystne dla korporacji. Chodzi o bezdzietne pary żyjące w luźnych związkach, wydające dochód obojga na bieżącą konsumpcję

Trudno byłoby znaleźć przykład większego fałszu propagandowego niż przedstawianie ruchów LGBT jako „społeczności LGBT”, będącej rzekomą „społecznością prześladowaną”. W istocie żaden z istniejących we współczesnym świecie ruchów politycznych nie cieszy się tak ogromnym wsparciem finansowym i politycznym ze strony rządzących światem potęg. Skala tego wsparcia każe wręcz mówić o LGBT jako o ideologii panującej ery nadchodzącego „neofeudalizmu” wrózonej przez amerykańskiego badacza Joela Kotkina. Jaką korzyść znalazły dla siebie w tej ideologii rządy światowych mocarstw? Jaki zysk obiecują sobie wyciągnąć z niej hojni sponsorzy z Wall Street, Doliny Krzemowej i londyńskiego City?

KOALICJA NA RZECZ LGBT

Oficjalnie zarejestrowana przy Senacie USA „Koalicja biznesu na rzecz praw LGBT” według danych z początku 2021 r. liczy sobie 416 uczestników. Na tej liście są praktycznie wszystkie największe światowe koncerny, nie tylko te wywodzące się z Ameryki. Internetowe giganty – Facebook i Google, Microsoft IBM, Apple i Intel, a także liderzy tradycyjnego biznesu – Coca-Cola, Pepsi, Phillip Morris, Toyota, Sony, Tesla, koncerny medyczne, takie jak bijący ostatnio wszelkie rekordy dochodów Pfizer, największe banki i instytucje finansowe, Visa Mastercard, PayPal, koncerny popkulturowe – Warner Bros., Walt Disney, Netflix, koncerny żywnościowe – Starbucks i McDonald’s... Zbyt wiele miejsca zajęłoby wyliczenie wszystkich. Firmy, tworzące koalicję, zatrudniają łącznie ponad 14 mln pracowników i dysponują rocznym przychodem – licząc tylko to, co deklarują władzom amerykańskim – ponad 6,8 bln dol. (nie ma mowy o częstej translatorskiej pomyłce, jaką jest mieszanie znaczenia słowa „bilion” w angielszczyźnie

Wielkie koncerny w służbie LGBT

FOT. ADDBS/STOCK



■ i naszym języku: mowa o „polskich” bilionach, o liczbie zapisywanej jedynką z 12 zerami).

Poparcie wielkich korporacji dla „praw LGBT” wyraża się na wiele sposobów. W każdej z nich, w pionach „zarządzania zasobami ludzkimi”, powstają wydziały „ds. inkluzywności i równości”, których zadaniem jest z jednej strony indoktrynowanie pracowników w duchu obowiązującej ideologii, z drugiej – pilnowanie ich ideologicznej prawomyślności. W wewnętrznych punktacjach, które decydują o awansach i zarobkach, „zachowania równościowe” i poparcie dla działań na rzecz LGBT pełnią istotną rolę, choć oficjalnie zasady oceniania pracowników są tajemnicą firmy, nieujawnianą im samym. Podczas manifestacji ulicznych na rzecz LGBT i parad „dyskryminowanej mniejszości”, szczególnie w tych miejscach świata, gdzie nie przyciągają one spontanicznego poparcia, jak w Warszawie, pracownicy korporacji maszerujący wraz z rodzinami stanowią istotną część frekwencji. Działa mechanizm znany Polakom z czasów „spontanicznego” udziału zakładów pracy w pochodach pierwszomajowych. Nikt do udziału w paradach równości nie zmusza, nikt nawet nie mówi, że ewentualna odmowa będzie miała wpływ na ocenę za „inkluzywność”, ale na wszelki wypadek...

A przecież Pfizer, Tesla czy Goldman Sachs nie są jedynymi sponsorami i protektorami ruchów LGBT. Nie do przecenienia jest wsparcie polityków i zarządzanych przez nich funduszy publicznych. Samo tylko miasto Nowy Jork pod rządami demokratów przekazało na działalność ruchów LGBT i organizowane przez nie wydarzenia co najmniej 25 mld dol. w ciągu kilku ostatnich lat – i to według danych częściowych. Ogromne pieniądze płyną z różnego rodzaju funduszy i organizacji międzynarodowych, agend ONZ, Unii Europejskiej i organizacji przez nie tworzonych. Do tego należałoby dodać fundusze na propagowanie nowej panującej ideologii Zachodu, poukrywane w wydatkach na edukację, kulturę czy szkolnictwo wyższe. Doktor Tomasz Teluk w rozmowie z portalem PCh24.pl powołał się na szacunki amerykańskich organizacji katolickich, zgodnie z którymi „światowy rynek LGBT” wart jest ok. 4 bln dol. rocznie, ale z konieczności są to szacunki bardzo przybliżone.

Duża część tych pieniędzy idzie na swoisty „eksport rewolucji LGBT” do krajów uważanych przez rządy zachodnich mocarstw za zacofane i wymagające „ucywilizowania”. Zewnętrznym wyrazem tego eksportu jest np. dekorowanie ambasad USA i innych państw w takich krajach sześciokolorowymi bannerami ruchu LGBT czy doroczny wspólny list przedstawicieli dyplomatycznych, mających swe siedziby w Warszawie, utrzymany w duchu pouczania Polaków i władz Polski co do oczekiwań Zachodu na „respektowanie praw LGBT” w naszym kraju.

NOWE OBLCZE KOLONIZACJI

Ta polityka mieści się w imperialnej tradycji byłych mocarstw kolonialnych jako nowe wcielenie polityki „misji białego człowieka”. Zarazem jest kopią ocierającą się o parodię polityki „obrony praw człowieka”, która okazała się w latach zimnej wojny skuteczna w walce Zachodu z blokiem sowieckim. Jest jednak zasadnicza różnica – domagając się respektowania praw obywatelskich w krajach poddanych sowieckiej okupacji, mocarstwa zachodnie wychodziły naprzeciw postulatowi, które formułowały społeczeństwa tych krajów, postulatowi i dążeniom, które w Polsce stały się podstawą masowego ruchu społecznego Solidarności.

W przypadku „praw osób LGBT”, przedstawianych przez polityków zachodnich jako logiczna kontynuacja rozpoczętego w czasach zimnej wojny procesu „promowania praw obywatelskich”, mamy do czynienia z postulatami zupełnie społeczeństwom poddanym tej polityce obcych.

Widąc to szczególnie mocno w naszym kraju, mającym – czego zachodni promotorzy ruchu nie chcą wiedzieć – zupełnie inną tradycję traktowania odmienności seksualnych. W przeciwieństwie do krajów anglosaskich, gdzie dziedzictwo purytyzmu i protestanckiej surowości kazało uważać seksualność człowieka za sprawę publiczną i polityczną, poddaną ocenie i karze władz, tradycja polska zawsze uważała tę sferę za intymną, prywatną sprawę każdego obywatela, a moralność katolicka nakazywała ewentualne grzechy popełniane w tej sferze pozostawić sumieniu człowieka i jego spowiednikowi (o ile oczywiście nie wiązały się one z krzywdzeniem innych osób). Nie było nigdy w Polsce

zdarzeń porównywalnych z procesami Oskara Wilde’a czy Paula Verlaina, aferą Eulenburga czy zamieszkami Stonewall. Homoseksualizm, w przeciwieństwie do krajów zachodnich, nie był nigdy deliktem prawa karnego, a już 30 lat przedtem, jak Wielka Brytania zaszczuła na śmierć mimo wszystkich jego zasług Alana Turinga, w katolickiej Polsce niekryjący swego homoseksualizmu (ale i nie obnoszący się z nim) Karol Szymanowski mógł w uznaniu swego geniuszu muzycznego, bez przeszkód z czykolwiek strony, pełnić funkcję rektora Państwowej Akademii Muzycznej.

Nawet para lewicowych socjologów – Maciej Gdula, obecnie polityk lewicy, oraz Przemysław Sadura – stwierdzili w swych pracach, że Polaków, bez względu na ich status społeczny, cechuje w podejściu do odmienności seksualnych postawa „konserwatywnej tolerancji”, wyrażająca się zasadą: „Nie oceniam prywatnego życia innego człowieka i nie wtrącam się w nie”. Dlatego żyjący w Polsce homoseksualiści – a sądząc z najbardziej miarodajnych seksuologicznych badań Uniwersytetu Chicago, jest ich ok. pół miliona – nie mają porównywalnej z krajami zachodnimi traumy i nie udaje się ich sprowokować do pełnienia roli „nowego proletariatu”. Działalność oficie sponsorowanych z Zachodu ruchów LGBT spotyka się z ich obojętnością, „walkę” o „prawa”, których się wcale nie domagają, prowadzą w ich imieniu zawodowi działacze – często w istocie heteroseksualni wyznawcy ideologii lewicowej.

Nadaje to rzekomej „obronie praw LGBT” charakter jednoznacznej, kolonialnej inwazji ze strony mocarstw zachodnich. Kolonizując nas kulturowo i wymuszając pod pretekstem „standardów ochrony praw obywatelskich” zmiany polityczne, podporządkowujące polski system prawny i polskie władze państwowe zwierzchnictwu „organów międzynarodowych” (w istocie kontrolowanych przez polityków państw zachodnich), próbują osiągnąć typowe, niezmiennie od lat kolonialne cele: otwarcie Polski i innych wziętych na cel krajów na ekspansję i eksplorację państw bogatych.

PO CO TO WSZYSTKO?

Tutaj znaleźć można część odpowiedzi na pytanie, po co międzynarodowy ruch LGBT wielkiemu biznesowi i dla-

czego wydaje on nań tak wielkie pieniądze. Poddanie krajów biedniejszych bogatszym generuje zyski, których wielkie koncerny będą, a właściwie już są, głównym beneficjentem. Bez trudu znaleźć można zresztą w mediach wiele wypowiedzi ludzi reprezentujących wielkie koncerny, zachęcających Polskę do uznania „praw LGBT” rozumianych na sposób zachodni obietnicą wielkich zysków, które się z tym mają wiązać.

Oczywiście upowszechnienie stylu życia promowanego przez ideologię LGBT – bo w istocie LGBT to nie „ludzie”, jak twierdzą promotorzy tego ruchu, a właśnie style życia, samo kluczowe dla ruchu słowo „gej” nie zostało wszak utworzone od nazwy żadnej z odmienności seksualnych, a od „wesołego” czy raczej „rozrywkowego” trybu życia – jest korzystne dla korporacji, które można by nazwać koncernami „nowej generacji”, oraz oferowanych przez nie produktów. Bez wątpienia u zarania zainteresowania się strategów tych koncernów homoseksualistami i wytworzoną przez nich subkulturą legła wizja „konsumenta idealnego”, określonego akronimem „DINK’s” – od „double incomes, no kids”. Pary żyjące w luźnych związkach, bezdzietne, wydające dochód obojga na bieżącą konsumpcję, na rozrywki, towary luksusowe etc. nie muszą oczywiście być parami homoseksualnymi – ale te ostatnie w propagowaniu „wesołego”, a więc i generującego konsumpcję, napędzającego popyt stylu życia wydały się najbardziej użyteczne.

Nie bez znaczenia jest też fakt, wskazywany przez ekonomistów, że wszystkie „równościowe” polityki, zarządzane przez władze pod naciskiem ruchów sponsorowanych przez wielkie koncerny, pozwalają im uwolnić się od potencjalnej konkurencji. Wymogi dotyczące „polityki równościowej”, jak również „polityki klimatycznych”, narzucane przez prawo, a wymagające zatrudniania dodatkowych pracowników i wydawania dodatkowych pieniędzy, dla wielkich firm nie są problemem – koszty i tak zostaną przerzucone na konsumentów. Paraliżują natomiast powstawanie i rozwój firm nowych, wysoko podnosząc próg niezbędnych do zaistnienia inwestycji i wydłużenia czasu ich zwrotu.

Zainteresowanie wielkiego biznesu sponsoringiem ruchów LGBT nie od razu miało wielkie rozmiary. Prze-

łom w narastaniu liczby koncernów uczestniczących we wspomnianej na wstępie koalicji oraz skala widocznego zaangażowania w promowanie symboli ruchu w reklamach, na opakowaniach oferowanych produktów etc., wyraźnie zbiegły się w czasie z rozplynięciem się ruchu antyglobalistycznego i zniknięciem z debaty publicznej tradycyjnych, antykorporacyjnych postulatów lewicy.

Jest to część określającego dzisiejszą rzeczywistość zjawiska, które nazwałbym „strollowaniem rewolucji”. W podobny sposób, w jaki tradycyjne postulaty ekologiczne zostały całkowicie wyparte przez ruchy skupione na emisji CO₂, postulaty antyglobalistyczne wypchnięto na rzecz żądań „trzecich ubikacji”, „uzgadniania płci” i „inkluzywności społecznej”.

UCIĘCIE KRYTYKI

Jednym ze skutków ogromnych pieniędzy, wydanych na nadanie ideologii LGBT rangi czegoś w rodzaju „wyznania państwowego”, oficjalnego kultu świata zdominowanego przez działające globalnie wielkie korporacje postkapitalizmu, nazwanego w przenikliwej pracy Joela Kotkina „neofeudalizmem”, jest ustanie wszelkiej krytyki korporacji. Nikt już od lat nie mówi o „podatku Tobina”, który miał ograniczyć szaleństwo światowej spekulacji, które doprowadziło do krachu bankowego i gospodarczego w 2008 r., na którym najbardziej winni kryzysu doskonale zarobili. Nikt już nie chce „okupować Wall Street”. Nikt nie wszczyna kampanii przeciwko bezwzględności i wyzyskowi, z jakimi działają światowe korporacje w biednych krajach, przeciwko niszczeniu przez nie środowiska, wysiedlaniu i pozbawianiu własności lokalnych społeczności, nieludzkim warunkom, w jakich pozyskiwane są rzadkie surowce, niezbędne koncernom do rozwijania nowych, posiadanych tylko przez nie technologii. Wystarczy, że wielka firma odzieżowa doda do swych kreacji tęczową pętelkę, wypuści serię T-shirtów z hasłem „Pro-LGBT” albo kolekcję dla „osób transpłciowych”, aby nikt już nie pytał, kto, w jakich warunkach i za jakie wynagrodzenie szyje jej wyroby. Wystarczy, że koncern raz na jakiś czas wrzuci swe logo w barwy LGBT i zadeklaruje „inkluzywne” działania, a zyskuje w mediach całkowity immunitet wobec wszelkiej krytyki.

Częścią odpowiedzi na pytanie, jakie korzyści mają magnaci neofeudalnego świata korporacji z wykreowania nowej religii panującej, jest stary, klasyczny eksperyment psychologiczny z gorylem – badaniem pokazywano film z piłkarzami i kazano liczyć, ile razy która z drużyn jest przy piłce; jednocześnie na filmie pokazywał się człowiek w stroju goryla, wykonujący najdziwniejsze i najbardziej prowokujące gesty. Sto procent poddanych badaniom, wskutek skupienia uwagi na liczeniu, nie dostrzegano goryla dopóty, dopóki nie zasłonił im piłki. Postulaty LGBT i pokrewnych ruchów są właśnie takim sposobem skupiania uwagi współczesnego Zachodu na zupełnie nieistotnym odbijaniu piłki, dzięki któremu, gdy goryl może robić, co chce, w ogóle go nie dostrzegamy.

UŚWIĘCENIE SEKSUALNOŚCI

Ale korzyścią jeszcze większą jest wspomniane wyżej kulturowe kolonizowanie i podporządkowywanie sobie coraz większych rynków. Ideologia LGBT jest bowiem bardzo skutecznym taranem niszczącym więzi społeczne, tkankę wspólnot opartych na rodzinie, więzach kulturowych. Wszystko to niszczy w świecie zdominowanym przez uświęcenie seksualności i pogoni za łatwą, szybką przyjemnością czerpaną z seksu (w istocie można by sobie wyobrazić ruch LGBT czysto heteroseksualny i nie różniłby się on niczym istotnym – fakt, że ruch ten wykreowano na Zachodzie w oparciu o traumy homoseksualizmu, wynikał jedynie z chęci wykorzystania w nim poczucia winy Zachodu za wyżej wspomniane działania, związane z traktowaniem tam przez wieki ludzi o odmiennych preferencjach seksualnych). Realizacja postulatów LGBT prowadzi do społeczeństwa „zglajchszaltowanego”, społeczeństwa „częstek elementarnych”, które jest doskonałym plebsem konsumenckim i roboczym dla świata „nadchodzącego neofeudalizmu”.

W budowie neofeudalnego świata, by raz jeszcze sięgnąć po rozpoznanie Joela Kotkina, interesy wielkich koncernów, czołowych światowych mocarstw i ich przywódców oraz ideologicznych fanatyków są doskonale zgodne, a ideologiczna sankcja, którą jest w stanie dać im postulat „pełni praw LGBT”, okazuje się najbardziej skuteczną z tych, jakie były dostępne na ideologicznej giełdzie przeżywającej swój zmierzch liberalnej demokracji.

Alaksandr Łukaszenka jest księciem lennym Rosji.
Na zdjęciu: z prezydentem Federacji Rosyjskiej
Władimirem Putinem. FOT. SHAMIL ZHUMATOV/POOL PHOTO/AP/EAST NEWS

Białoruski rachunek



Wojciech Golonka

Nie dogadując się z Łukaszenką, zwiększamy jego zależność od Moskwy. A jeśli decydenci UE rozwiążą kryzys nad naszymi głowami, to coś na tym zyskają oni, nie my

Zważywszy na powagę bieżącej sytuacji, zabieranie obecnie głosu w związku z kryzysem białoruskim wymaga na wstępie podkreślenia potrzeby jedności narodowej w rzeczach zasadniczych, a przede wszystkim w kwestii bezwzględного poparcia dla służb strzegących naszej wschodniej granicy, poddawanych wiel-

kiej presji w związku z ciągłym agresywnym naporem „migrantów”. Owa konieczna jedność nie powinna jednak oznaczać bezkrytycznego podejścia do całego kryzysu ani przesłania nam istotnych pytań co do naszej polityki zagranicznej i wynikającego z niej bilansu korzyści i kosztów. Zresztą jakkolwiek byśmy patrzyli na obecną sytuację i jej przyczyny, nie jest tajemnicą, że prędzej czy później i tak pojawi się pytanie o dyplomatyczne rozwiązanie wspomnianego kryzysu, wraz z jego ceną.

Cena tymczasem już jest wysoka. Na podstawie specustawy na granicy polsko-białoruskiej powstanie mur. Wprawdzie nie na całej, ale na przeszło 180 km długości naszej granicy z Białorusią. Z jednej strony jest się z czego cieszyć: budowa muru uzyskała aprobatę większości politycznej wychodzącej poza obóz Prawa i Sprawiedliwości, czyli potrafimy się mobilizować i jednoczyć w obliczu re-

alnego zagrożenia, i to mimo zmasowanej kampanii w kraju na rzecz sabotażu tej obrony. Z drugiej strony wiadomo już, że będziemy go finansować w zasadzie sami, bez znaczącego wsparcia Unii. Przede wszystkim nie popadajmy w marzycielstwo: niespełna 200-kilometrowy mur, a więc nieobejmujący nawet połowy długości ponad 400-kilometrowej granicy polsko-białoruskiej, przypomina trochę Linie Maginota. Jej fortyfikacje miały być nie do zdobycia, i być może rzeczywiście były, ale Niemcy w 1940 r. zaatakowały Francję przez Belgię, obchodząc tę powstałą w międzywojniu fenomenalną sieć bunkrów i fortów, która obejmowała tylko odcinek granicy Francji z III Rzeszą. Patrząc na obecną determinację i zupełny brak skrupułów ze strony służb białoruskich, możemy się spodziewać powstawania nowych szlaków omijających mur, przez Bug włącznie. Poza tym mur murem, ale Linia Maginota, czyli forteca



z prawdziwego zdarzenia, on nie będzie. Zresztą polskie władze nie chcą na razie eskalacji starć ze szturmującymi granicę nachodźcami, stąd należy się liczyć z ich dalszymi aktami wandalizmu i destrukcji naszych zapór granicznych we współpracy z białoruskimi mundurowymi. W każdym razie – gdy już mur powstanie – nietrudno sobie wyobrazić regularne niszczenie samego muru oraz sprzętu, który ma być na nim zainstalowany. Choćby w celu zrobienia Polakom na złość, czyli dalszego napędzania toczącej się rozgrywki politycznej. Bo przecież Alaksandrowi Łukaszenko nie chodzi o zarabianie na przerzucie migrantów do Polski, przynajmniej nie w pierwszym rzędzie, a o coś z jego punktu widzenia o wiele cenniejszego.

WALKA LENNIKA

W kwietniu Łukaszenka zapowiedział, że „Polacy dostaną po mordzie”

za ich działania wymierzone w jego reżim latem 2020 r. Rzeczywiście, nie uznając wówczas wyniku wyborów prezydenckich na Białorusi oraz stosując politykę sankcji, Polska wraz z Unią Europejską wypowiedziała osobistą wojnę Alaksandrowi Łukaszenko. Określenie jest mocne, więc nieco je zniuansujemy: ma się rozumieć, nie wypowiedzieliśmy wojny ani Białorusi, ani Białorusinom, którzy masowo wyszli na ulice, protestując przeciw wynikom wyborów, oczekując od Zachodu minimum solidarności. Niemniej w praktyce wypowiedzieliśmy wówczas wojnę „reżimowi” Alaksandra Łukaszenki, w której nieważne jest, czy jest on legalnie wybranym prezydentem czy uzurpatorem czy dyktatorem, gdyż w praktyce jest on rzeczywistym władcą Białorusi, w dodatku wasalem Rosji, a tylko te dwie rzeczy się w tej rozgrywce naprawdę liczą.

Nie tyle dla uproszczenia, ile właśnie przybliżenia sedna problemu można by powiedzieć, że Łukaszenka jest księciem lennym Rosji. Ma się rozumieć, jest to człowiek z ambicjami, żądny zapewnienia swym rządowi dynastycznej kontynuacji w osobie swych synów, ale przede wszystkim jest on realistą. W obecnych warunkach nie ma on co marzyć o pełnej niezależności właściwej koronowanym monarchom; może jednak jak najbardziej – i dotychczas robił to skutecznie – wykorzystywać pozostawioną mu autonomię i władać na swoim poziomie jako zupełnie autonomiczny „książę” w strefie wpływów swego moskiewskiego suzerena. Stąd zagrażając pozycji lennika, de facto uruchamia się o wiele bardziej złożony proces reakcji, niż by się to mogło na pierwszy rzut oka wydawać. Zagrożony wasal bowiem nie tylko musi obronić swoją pozycję władcy, na której rzecz jasna mu osobiście zależy, lecz także, w niemińszym stopniu, musi wykazać suzerenowi, że jest w stanie zapewnić bezpieczeństwo jego interesów w regionie. Inaczej suzeren odda jego lenno w inne, pewniejsze ręce lub po prostu, w razie potrzeby, przejmie je osobiście. I dokładnie ten schemat zachodzi na naszych oczach: Łukaszenka będzie walczył wszelkimi możliwymi dlań sposobami, w tym wypadku szantażem migracyjnym, naciskając na Unię celem doprowadzenia jej do ponownego uznania swej władzy, wycofania sankcji oraz do zaprzestania wspierania z jej strony antyreżimowych nastrojów w jego kraju.

Mowa zatem o naciskach na Unię, a nie tylko na samą Polskę, gdyż Polska nie jest głównym celem operacji „Śluza”, a głównym pasem transmisyjnym nacisku, docelową autostradą dla przybywających przez Białoruś nowych gąsienic, o choćby zmierzających jeśli nie na sylwestra do Kolonii, to przynajmniej do lepszego ekonomicznie życia za Odrą. Niemcom zaś już nie spieszy się z przyjmowaniem kolejnych fal przybyszów opornych na zasymilowanie, a których trzeba wyżywić i zapewnić im dach nad głową; przede wszystkim ich służby i tak są już przeciążone prewencją antyterrorystyczną i nadzorem napływających wśród migrantów co bardziej porywczych „allahagbarowców”, oficjalnie zwanych islamistami. Zachodzi więc z jednej strony rzeczywista białoruska presja na Unię, głównie Niemcy, a z drugiej

■ strony również realna presja Moskwy na Mińsk, aby nie dopuścić na Białorusi do żadnej pomarańczowej czy majdanowej rewolucji. Rosjanie bowiem są niezmiernie wyczuleni na wszelkie próby ingerencji w ich strefę wpływów, co doskonale uwydatnił przykład Syrii, która gości ich jedyną bazę marynarki wojennej na Morzu Śródziemnym. Rosjanie woleli ponieść ogromne koszty, finansowe i ludzkie, niż utracić swój punkt zaczepienia w Syrii; nie oddali tym bardziej strefy wschodniej Ukrainy i Krymu. Kto zatem chciałby zrobić powtórkę Majdanu na Białorusi, ten miałby także i powtórkę Krymu, Donbasu i Doniecka, a tym samym pchnąłby Białoruś na drogę wojny suzerena o utrzymanie swego buforowego lenna, o strategicznym dlań znaczeniu. Na razie suzeren przygląda się pobłażliwie rozgrywce pozabawionego skrupułów wasala i daje do zrozumienia, że rozwiązanie rzekomego kryzysu humanitarnego leży w rozmach z Mińskiem.

CZY BYŁO WARTO?

Oczywiście zachodzi pytanie, czy rzeczywiście nie byłoby operacji „Śluza”, gdybyśmy nie podważyli latem 2020 r. pozycji Alaksandra Łukaszenki. Trudno udzielić tu jednoznacznej odpowiedzi, dlatego że wykorzystywanie migrantów do szantażowania krajów Unii przez Turcję okazało się już w przeszłości skuteczne. Niemniej sam minister Mariusz Kamiński w czasie ostatniej sejmowej debaty poświęconej kryzysowi na granicy przyznał, że jednym z głównych powodów działania białoruskiego reżimu jest zemsta, czyli rachunek wystawiony za wcześniejsze działania polskiego rządu. Stąd należy zadać pytanie, jakie korzyści osiągnęliśmy, angażując się po stronie białoruskiej opozycji przeciw Łukaszence, które uzasadniają wszystkie dotychczas poniesione koszty tego kryzysu i te, które jeszcze zostaną w nim niewątpliwie poniesione.

Niektórzy na to niezręcznie, ale przecież zasadnicze pytanie przytaczają argument słuszności moralnej, który w realiach polityki zagranicznej jest jednak chybiony. Ma się rozumieć, mogą się podjąć powody do ingerencji w sprawę cudzego państwa, choćby w przypadku zbrodni popełnianych na jego populacji, ale doświadczenie aż za dużo pokazuje, tak jak w przypadku regularnych pogromów chrześcijan w północnej

Nigerii, że w zasadzie nikt podobnych interwencji współcześnie nie podejmuje, nie mając w nich jednocześnie własnego interesu. Oczywiście można przyjąć postawę jedyne sprawiedliwego wśród narodów. Ale w takim razie, czy nie należałoby w Warszawie, oprócz Domu Białoruskiego, postawić także Domu Francuskich Żółtych Kamizelek, które przecież także były nielitościwie gazowane, pałowane, a nawet okaleczane podczas demonstracji we Francji?

Brnąć dalej w tę nieco obrazoburczą analizę: Czy porażki cywilizacyjne Amerykanów na Bliskim Wschodzie, zwieńczone niedawno katastrofą w Afganistanie, niewyobrażalną wręcz klęską, nie świadczą o tym, że bawienie się w misjonarzy demokracji i wybawców ludów spod rządów dyktatorów często kończy się fiaskiem? Ba, choć nie jest mi do śmiechu, kiedy piszę te słowa w dobie obecnej, to przecież zagraniczne interwencje USA okazywały się najsukcesowniej wtedy, kiedy w czasie zimnej wojny doprowadzały właśnie do powstawania dyktatur, najczęściej wojskowych junt... Ostatni, niebłahy argument, dla którego podobna interwencja jest ryzykowna, to jej działanie niczym miecz obosieczny. Chcieliśmy ingerować w sytuację na Białorusi mniej więcej z tych samych powodów, dla których nasza rodzima opozycja organizuje manifestacje oraz domaga się wobec Unii sankcji dla naszego kraju, czytaj „reżimu PiS”. Mimo absurdalności podobnego porównania ze strony totalnej opozycji akceptowanie podobnej reguły gry jest po prostu niebezpieczne.

Cóż, stało się, kryzys mamy tak czy siak, z całą jego złożonością. Spójrzmy zatem na inne punkty naszej polityki zagranicznej, które mogłyby nam pomóc ten kryzys zneutralizować, a których jednak brakuje. Zgodziliśmy się np., aby Amerykanie zorganizowali w Warszawie konferencję bliskowschodnią w 2019 r., na którą zjechali się przedstawiciele krajów arabskich trwających w mniej lub bardziej sformalizowanych sojuszach z USA. Można by powiedzieć: „W sam raz!”, bo przecież loty migrantów z Bliskiego Wschodu na Białoruś odbywają się właśnie za pośrednictwem lotniczych hubów tych wszystkich arabskich partnerów USA i wystarczyłaby ich chęć współpracy, aby uniemożliwić większości migrantów dotarcie na Białoruś drogą lotniczą. Tymczasem naciski

w tej kwestii pojawiły się dopiero po dobrych kilku miesiącach kryzysu, kiedy mleko zdążyło się już rozlać, a inicjatywa w tej kwestii wyszła, zdaje się, ze strony Komisji Europejskiej grożącej sankcjami liniom lotniczym. Trudno więc powiedzieć, że dzięki wspomnianej konferencji bliskowschodniej nawiązaliśmy partnerskie stosunki ze światem arabskim, a przecież ceną za jej zorganizowanie w naszym kraju było z kolei pogorszenie stosunków z Iranem. Tymczasem Iran ma również duże wpływy na Bliskim Wschodzie, a zwłaszcza w Iraku, i jego władze mogłyby znacząco wpłynąć na powstrzymanie napływu lotniczego migrantów na Białoruś. Być może zresztą dlatego zaczęliśmy ocieplać stosunki z Iranem i przekazaliśmy mu ostatnio spore zasoby szczepionki AstraZeneca przeciw koronawirusowi. Niedługo potem zamknięto bowiem konsulatory białoruskie w Iraku – jeśli jest to owoc naszej dyplomacji, to lepiej późno niż wcale, choć szkoda, że tak późno.

Publicysta poruszający kwestię kryzysu białoruskiego oczywiście nie ma wglądu w wiele informacji wywiadowczych i analiz, które – mam nadzieję – poniekąd współkształtują naszą politykę zagraniczną, w tym wobec Białorusi, tj. służą także kalkulacjom opłacalności. Jest jednak pewna pospolita umiejętność, którą dość łatwo mogą zatracić politycy i analitycy wywiadu, tj. kojarzenie podstawowych operacji arytmetycznych. Za mur obejmujący niecałą połowę naszej granicy z Białorusią zapłacimy ponad 1,6 mld zł. Za inne koszty kryzysu na granicy – być może jeszcze więcej. Nie dogadując się z Alaksandrem Łukaszenką, zwiększamy jego zależność od Moskwy, a także ryzykujemy, że ostatecznie to unijni decydenci, czyli Berlin i Paryż, dogadają się z Moskwą celem rozwiązania konfliktu. Za jaką cenę ustępstw i co my, nie będąc stroną tychże rozmów, będziemy z tego mieli lub nie mieli? Oto sporo już wierszy w kolumnie po stronie kosztów – a jakie są rzeczywiste osiągnięcia przez nas korzyści lub do osiągnięcia w niedalekiej przyszłości? Nie jest sianiem defetyzmu przypomnienie podstawowych praw arytmetyki, bez których polityka zagraniczna po prostu nie ma sensu, i warto nawet narazić się na kalumnie o ruskiej onucy, aby przypomnieć dla dobra kraju tę podstawową prawdę.



Maciej Pieczyński



Warto pamiętać, że hybrydowa wojna polsko-białoruska toczy się pod flagą czerwoną. Łukaszenka nigdy nie był geopolitycznym symetrystą. Był, jest i będzie człowiekiem sowieckim.

Czyli ideowym wrogiem Polski

Przez wiele lat w debacie na temat Białorusi dość często pojawiała się diagnoza, w myśl której Łukaszenka prowadzi politykę wielowektorową. Z tej oceny wyprowadzano wnioski, że Warszawa może – i powinna! – poszukać taktycznego, a może i nawet strategicznego porozumienia z Mińskiem. Choćby po to, aby Łukaszenka, odrzucony przez Zachód, nie wpadł w ramiona Putina. Zwolennicy tego

szrenką to również szansa na poprawę relacji z Zachodem. Stawiając tę tezę, nie kieruję się mrzonkami o szlachetnych sojusznikach. Przeciwnie – kryzys migracyjny sprawił, że po raz pierwszy od dawna „kolektywny Zachód” i Polska mają wspólny interes, którym jest obrona wspólnej przeciw granicy. Po drugie, jeśli Warszawa chce być podmiotem, a nie przedmiotem polityki międzynarodowej, to nie może bać się własnego cienia. Musi być aktywna na Wschodzie.

Biało-czerwono-biali rewolucjoniści to nasz kapitał – nie zdobyli władzy, ale się nie poddają, walczą dalej, a w obecnym konflikcie stoją murem za Polską. Cichanouska, Łatuszka, NEXTA itd. pomagają nam w informacyjnej wojnie z Łukaszenką – w swoim własnym interesie, ale na tym właśnie polega realna polityka. Wpływać na sąsiednie państwo trzeba nie tylko poprzez władzę, lecz także opozycję – i to nam się udaje. Białoruś to nie Ukraina. Euromajdan był radykalnie prozachodni, antyrosyjski i w znacznej mierze banderowski. Z kolei jedynym

w którym mogliśmy mieć niepozabawioną podstaw nadzieję na trwałe porozumienie z „ostatnim dyktatorem Europy”.

MIĘDZYNARODÓWKA AUTOKRATÓW

Dla Łukaszenki realnie od zawsze liczył się tylko jeden wektor – rosyjski. Wszelkie umizgi dyktatora do szeroko rozumianego Zachodu służyły jedynie lewarowaniu swojej pozycji w relacji do Kremla. Widać to było szczególnie dobitnie po szesznorocznych wyborach prezydenckich. Łukaszenka nie miał zamiaru rozmawiać ani z Polską, ani z Litwą. Nie potrzebował dialogu, mediacji, porozumienia. Potrzebował bezwarunkowej akceptacji swojego zwycięstwa. I dostał to od Putina, który jako jeden z pierwszych pospieszył z gratulacjami. Mając do wyboru Zachód i Rosję, Łukaszenka zawsze wybierze Rosję. Jak trwoga, to do Putina. Nic dziwnego – porozumienie z Zachodem wymagałoby dostosowania się do standardów zachodnich. A Łukaszenka potrzebuje pieniędzy i akceptacji swojej despotycznej władzy. Od Brukseli, Warszawy, Wilna czy Waszyngtonu dostać może tylko to pierwsze. Od Moskwy – jedno i drugie. Łukaszenka i Putin należą do nieformalnej „międzynarodówki autokratów”. Ich wspólnym interesem jest obrona dyktatorskich rządów przed „kolorowymi rewolucjami”. Obalenie Łukaszenki przez zbuntowane społeczeństwo dałoby nadzieję rosyjskim opozycjonistom, że to samo mogą zrobić z Putinem.

Nawet gdybyśmy uznali wynik wyborów z sierpnia 2020 r. i pogratulowali dyktatorowi „zwycięstwa”, nie sprawiłoby to, że nagle wdzięczny „Baćka” postanowiłby związać się z Zachodem. Nawet gdyby nie wybuchła wojna hybrydowa, Łukaszenka i tak pozostałby bliskim sojusznikiem Putina. W zasadzie sytuacja byłaby dla nas nawet bardziej niekorzystna niż obecnie. Po pierwsze, pełną akceptację swoich metod dyktator uznałby za objaw słabości Zachodu (podobnie jak obecnie ewentualne ustępstwa w zamian za zatrzymanie fali migracyjnej) – rozumie on tylko język siły. Po drugie, pozorny spokój we wzajemnych relacjach sprawiłby, że dalej byśmy ulegali urokowi „ciepłego człowieka”, który może bije opozycję, ale przecież raz na jakiś czas uśmiechnie się do nas (a nieszczerzość tego uśmiechu, obliczonego na wywołanie „zazdrości”

Ostatni kołchoźnik Europy

poglądu często nazywali – i nazywają – siebie „realistami”, przypisując naiwny idealizm krytykom zbliżenia z „Baćką”. Tymczasem prawdziwy realizm wymaga pogodzenia się z prawdziwym obliczem Łukaszenki. „Ostatni dyktator Europy” jest doktrynalnym polonofobem, dla którego zawsze Moskwa będzie ważniejsza od Warszawy. Naiwnością jest zaś sądzić, że „zachodni wektor” miał kiedykolwiek szansę stać się dla niego najważniejszy.

Pojawiają się głosy, że Polska sama jest sobie winna, bo gdyby nie poparła rok temu biało-czerwono-białej rewolucji, dziś nie byłoby wojny hybrydowej. Jednak, paradoksalnie, wojna z Łuka-

wrogiem białoruskich rewolucjonistów był – i jest – Łukaszenka. Ich stosunek do Rosji, Zachodu i Polski pozbawiony był – i jest – doktrynerstwa, co od razu stworzyło pole do dialogu i współpracy.

Od razu zaznaczę: od samego początku powinniśmy wspierać Cichanouską, ale rozmawiać powinniśmy również z Łukaszenką. Po to, aby zachować jakiegokolwiek kanały kontaktów z Mińskiem. Po to również, aby rewolucjoniści wiedzieli, że choć stanęliśmy za nimi murem, to jednak nie jesteśmy skazani na rozmowy wyłącznie z nimi. Ale tylko z tych dwóch powodów. Bo generalnie rzecz biorąc, nigdy nie było momentu,

■ władcy Kremla, znów nam umknie). Atak hybrydowy powinien nam uświadomić, że Łukaszenka nie jest otwartym na wielowektorowość sprytnym graczem, tylko niewiarygodnym, nieobliczalnym, niebezpiecznym despotą, który nie cofnie się przed niczym w realizacji swoich celów. Możemy, ile chcemy, symetryzować, dowodząc, że demokratyczne kraje Zachodu też walczą o swoje interesy, to prawda, ale trudno sobie wyobrazić, by robiły to w taki sposób jak białoruski dyktator. Trudno sobie wyobrazić, aby np. Niemcy prowokowały konflikt zbrojny na granicy, zasłaniając się żywymi tarczami migrantów, jednocześnie w swojej medialnej propagandzie grożąc nam bombardowaniem. Siadanie do poważnych, długofalowych rozmów z tak niepoważnym partnerem jak Łukaszenkowska Białoruś to co najmniej naiwność. Kontaktować się można i trzeba, poważnie traktować – nie sposób.

JAK RAMZAN KADYROW

Wreszcie, gdyby nie atak hybrydowy, dalej byśmy się łudzili, że Łukaszenka, choć suk..syn, może być jednak „naszym suk..synem”. On zaś by grał na tych złudzeniach, negocjując kolejne profity przy stole z Putinem – jedynym partnerem, którego traktuje poważnie i z respektiem. I tu dochodzimy do kluczowej kwestii. Łukaszenkę z Putinem łączy nie tylko solidarność despotów. „Bačka” jest w pewnym sensie gorącym patriotą. Tyle że nie białoruskim, ale po pierwsze rosyjskim, po drugie – sowieckim. Oczywiście nieraz stawiał się Moskwie. Tyle że to tak naprawdę tylko pozory. Łukaszenka, jako niesamowicie ambitny polityk, woli być dyktatorem formalnie niezależnego państwa niż gubernatorem obwodu Federacji Rosyjskiej. Taki trochę Ramzan Kadyrow, tylko bardziej samodzielny. Ten sam Łukaszenka, który dwa lata temu stawiał opór pogłębieniu integracji Białorusi z Rosją, w latach 90. był tejże integracji wielkim orędownikiem. Tyle że wtedy liczył na to, że wobec słabości Borysa Jelcyna sam stanie na czele państwa związkowego i zasiądzie na Kremlu.

Jego celem nie była silna Białoruś, tylko własna kariera polityczna i odbudowa imperialnej potęgi Moskwy, tyle że pod swoją wodzą. Najlepiej imperialnej potęgi czerwonej Moskwy, bo tę najlepiej zna i do niej najchętniej się odwołuje. Wiele razy otwarcie przyznawał, że nie widzi zasadniczej różnicy pomiędzy



Białorusinami a Rosjanami. Od samego początku swojej prezydentury zajęł się ponowną russyfikacją i sowietyzacją kraju, który dopiero co uzyskał niepodległość. Przywrócił język rosyjski jako drugi urzędowy. Stwierdził kiedyś, że Białorusin to „Rosjanin ze znakiem jakości”. Wielokrotnie przyznawał otwarcie, że nie widzi zasadniczej różnicy pomiędzy tymi dwoma narodami. Sam zaś czuł się zawsze przedstawicielem „narodu sowieckiego”. Tradycja Rzeczypospolitej w jego świadomości istnieje wyłącznie jako okres polskiej okupacji, spod której uciśnionej Białoruś wyzwoliły dopiero bagnety Armii Czerwonej. Dlatego też tak łatwo i chętnie jego propaganda weszła w buty rosyjskiej narracji o konfrontacji Wschodu z Zachodem. Już na długo przed białoczerwono-białą rewolucją Łukaszence zdarzało się publicznie oskarżać Polskę o chęć odzyskania Grodna czy Brześcia. I nikt go nie przekona, że to Moskwa, a nie Warszawa chce odebrać Białorusi podmiotowość. A to dlatego, że on sam, dobrowolnie, odwołując się

do spuścizny ZSRS, tej podmiotowości się pozbawił. Białoruś jest w jego optyce możliwie samodzielną, ale jednak częścią „ruskiego miru”. Z Rosją łączy ją przecież język, kultura, religia, (sowiecka) tradycja.

HOMO SOVIETICUS

Łukaszenka to homo sovieticus z krwi i kości. Nie tylko ostatni dyktator Europy, lecz także ostatni kołchoźnik Europy. Jeśli dla Putina rozpad ZSRS był katastrofą geopolityczną, to dla Łukaszenki była to po prostu katastrofa na każdym polu. W wielu sprawach „Bačka” kluczył, zmieniał zdanie, ale zawsze był apologetą sowieckiej przeszłości. Nie zmieniał poglądów na gospodarkę czy państwo od czasów, gdy był dyrektorem kołchozu. Białoruś pod jego rządami to bodaj ostatni sowiecki skansen w Europie. Przy Łukaszence Putin to niemal antykomunista. W polityce historycznej Moskwy kult zwycięstwa nad faszyzmem łączy się z kultem Rosji carów. Kreml traktuje komunistyczną spuściznę instrumental-



FOT. SERGEY SHARIGANOV / LASHI DIFFUSION/EAST NEWS

nie – czci ZSRS nie za to, że był czerwony, ale za to, że był imperium. Łukaszenka przeciwnie – bierze sowieckość z całym złodziejstwem inwentarza. Przecież to on sam, przez nikogo niezmuszany, zamienił historyczną, biało-czerwono-białą flagę swojego kraju na lekko zmodyfikowaną flagę dawnej Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Podczas gdy Rosja święto rewolucji październikowej zastąpiła nawiązującym do czasów carskich Dniem Jedności Narodowej, Łukaszenka ustanowił święto państwowe w rocznicę „wyzwolenia” Mińska przez Armię Czerwoną. Nie trzeba dodawać, że 9 maja jest dla „Bački” niemal równie ważny, a nawet ważniejszy niż dla jego rosyjskiego kolegi – w 75. rocznicę zwycięstwa w Moskwie defiladę odwołano z powodu koronawirusa, w stolicy Białorusi – nie.

Dla Łukaszenki Armia Czerwona to świętość. Dlatego też nie może dziwić, że na pamiątkę napaści ZSRS na Polskę ustanowił narodowe święto. Oczywiście ustanowił dopiero w tym roku. Nieporozumieniem jednak jest stwierdzenie, że to

tylko kolejny akt zemsty na Polakach za popieranie opozycji. Już wcześniej na Białorusi czczono sowieckich „wyzwoliciele”, więc zadekretowanie święta to była tylko formalność. W białoruskiej historiografii i przestrzeni symbolicznej od dawna agresja sowiecka jest postrzegana i przedstawiana jako „wyzwoleńczy pochód Armii Czerwonej”, którego efektem było „przywroćcie sprawiedliwości dziejowej”. Co istotne, 17 września to Dzień Jedności Narodowej. A konkretniej – zjednoczenia Zachodniej Białorusi i Białoruskiej SRS pod czerwonym berłem Moskwy.

Ostatni kołchoźnik Europy od dawna więc prowadzi symboliczną wojnę z Polską pod flagą czerwoną. Na polu polityki historycznej już wcześniej właściwie nie mieliśmy o czym z nim rozmawiać. Armia Krajowa, a już tym bardziej żołnierze wyklęci, to dla Mińska „faszyści”, „naziści”, „bandyci”, a w najlepszym przypadku – „imperialiści”, którzy dążyli do odwrócenia „sprawiedliwości dziejowej” i ponownej „okupacji” białoruskich ziem. Polska polityka historyczna opiera

się na antykomunizmie. Białoruska – na bezwzględnej rehabilitacji komunizmu. Nie sposób tego pogodzić. O polskiej mniejszości na Białorusi Łukaszenka mówi – „moi Polacy”. Dlatego też już dawno stworzył własny, prorządowy Związek Polaków na Białorusi, a tych, którzy nie chcieli się podporządkować – represjonował. Nie toleruje niezależnych organizacji, a już szczególnie takich, które się z jego dyktaturą nie utożsamiają. O czym tu dyskutować?

NIEPRZEWIDYWALNOŚĆ „BAČKI”

Było już wiele prób wciągnięcia Mińska w orbitę Zachodu. Za każdym razem Łukaszenka miał swoich partnerów, by uzyskać od nich jak najwięcej korzyści, a potem i tak łamał postanowienia, rozprawiał się z opozycją i odwracał się przodem do Wschodu, który zawsze oferował więcej. Wspieranie jego rzekomej emancypacji od Rosji też na niewiele by się kiedykolwiek zdało. Łukaszenka poudawałby niepodległościowca, a i tak w ostatecznym rozrachunku pozostałby w orbicie Moskwy. Prowadzić w pełni samodzielnej polityki nie jest w stanie, integracja z Europą zbyt wiele kosztowałaby go wyrzeczeń, zaś u stóp kremlowskiego tronu jest mu wygodnie i – do czasu! – bezpiecznie. Do czasu, gdy przestanie być dla Putina wygodny. Oczywiście zawsze można powiedzieć: trzeba wspierać przynajmniej teoretyczną niezależność Łukaszenki, bo to co prawda nie nasz „suk.syn”, ale przynajmniej znany i przewidywalny, a strach powiedzieć, co będzie, gdy Rosja albo go kimś zastąpi, albo wchłonie Białoruś! Tyle że, po pierwsze, ostatnie miesiące pokazują, że przewidywalność „Bački” należy między bajki włożyć, a po drugie – Białoruś jest i tak w zasadzie w pełni zależna od Moskwy. Co z tego, że na granicy z Polską stoją wciąż jeszcze białoruscy, a nie rosyjscy żołnierze?! Efekt jest ten sam – agresja.

Bo Łukaszenka jest człowiekiem sowieckim i rosyjskim zarazem. Zgodnie z tą ideową orientacją traktuje Zachód albo jak naiwniaka, z którego można wyciągnąć konkretne, wymierne korzyści, albo jak wroga. Rosja to co innego. Z Rosji też ciągnie, co się da, ale nigdy nie potraktowałby jej jak wroga, bo czuje się jej częścią. W końcu niewiele brakowało, a zasiadłby na kremlowskim tronie. Dziś bardzo chętnie wchodzi w buty obrońcy Moskwy, czyniąc z Białorusi przedmurze „ruskiego miru”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Witold Repetowicz

Polskie relacje z Turcją budowane są na bajkach dotyczących przeszłości i na niebezpiecznych iluzjach dotyczących przyszłości. Tymczasem Turcja nie ma żadnych oporów przed wrogimi wobec Polski działaniami, jeśli ma w tym akurat swój interes

Symbolem polsko-tureckiego sojuszu mógłby być samolot linii Turkish Airlines. Czemu nie? Wszak do niedawna większości Polaków kojarzył się z wakacjami all-inclusive, gdzieś w słonecznej Antalyi czy innym śródziemnomorskim kurorcie. To, że obecnie samoloty te zwożą migrantów na Białoruś, by szturmowali naszą granicę w ramach ataku demograficznego Łukaszenki na Polskę, też nie powinno być problemem. Wpisywałoby się to bowiem w tradycję absurdalnych pomysłów, wśród których był przecież plan, by symbolem „600-letniej przyjaźni polsko-tureckiej” stał się pokój chocimski zawarty w 1621 r. Scena z obrazu Bacciarellego, przedstawiająca to wydarzenie, miała być motywem pomnika, który ambasada Turcji, za zgodą stołecznych radnych, planowała postawić tuż obok pomnika Sobieskiego w warszawskich Łazienkach. Odsłonięcie miało nastąpić w ubiegłym roku, który Sejm ogłosił Rokiem Żółkiewskiego. Ten nasz wielki hetman zginął rok wcześniej w bitwie z Turkami pod Cecorą i jego głowa, zatknięta na pice przed pałacem sułtańskim w Konstantynopolu, długo jeszcze sterczała jako „symbol przyjaźni” po podpisaniu owego chocimskiego pokoju. W 1672 r. staliśmy się na krótko wasalem Turcji. Na szczęście nasi przodkowie mieli wówczas inne spojrzenie na tę przyjaźń i w odpowiedzi na zagrożoną niepodległość pogonili Turczyzna w drugiej bitwie chocimskiej, a następnie pod Wiedniem i pod Parkanami.

POLITYKA NA ILUZJI

Fałszowanie historii stosunków polsko-tureckich stało się tak popularne, że propagatorzy bajek o wielowiekowej



Turkofilia nam szkodzi



przyjaźni nie tylko uwierzyli w ten przekaz, lecz także postanowili budować na jego podstawie strategię bezpieczeństwa Polski. A to jest już niebezpieczne, gdyż nawet jeśli byłaby to prawda, to historia pokazuje, że zmienność sojuszy zbyt często występuje w stosunkach międzynarodowych. A ta rzekoma, wielowiekowa przyjaźń polsko-turecka to śmierć króla Władysława Warneńczyka w wojnie z sułtanem Muradem II, to walki z Turcją o Mołdawię i setki tysięcy Polaków porywanych w jasyr i sprzedawanych na targach niewolników lub szkolonych na fanatycznych żołnierzy – janczarów. W XIX w. nasz wieszcz Adam Mickiewicz

wymyślił sobie bajkę o tym, jakoby Turcja jako jedyna nie uznała rozbiorów, bo chciał budować polskie legiony w Turcji, marząc o tym, że ten kraj odegra taką rolę, jak kilkadziesiąt lat wcześniej Francja pod rządami Napoleona. Nic z tego nie wyszło, a Turcja zmusiła naszych dowódców, którzy wstąpili na jej służbę, takich jak np. Michał Czajkowski czy Józef Bem, by przeszli na islam. Wojna krymska nie tylko nie przyniosła Polsce wolności, lecz także brani do niewoli Polacy, służący w armii rosyjskiej, zamiast do polskiego legionu trafiali na targ niewolników. Nawiasem mówiąc, w wojnie tej odznaczył się Romuald Traugutt,

tyle że po stronie rosyjskiej. Awansował wówczas do stopnia sztabkapitana.

Trudno znaleźć inne uzasadnienie wiary w to, że Turcja może być sojusznikiem Polski przeciwko Rosji, niż opowiadana na wszystkich spotkaniach polsko-tureckich legenda o „sułtanie oczekującym na posła z Lechistanu”. Niestety, tę klechdę powtarzał nawet prezydent Andrzej Duda w czasie wizyty Erdoğan w Polsce. Towarzyszyły temu też opowieści o tym, jakoby Turcja była „odwiecznym” wrogiem Rosji, a co za tym idzie – idealnym sojusznikiem przeciwko niej. Takie fakty jak to, że po pierwszej wojnie światowej Turcja zawarła z bolszewicką Rosją sojusz przeciwko Zachodowi, który miał decydujące znaczenie dla ukształtowania obecnych granic na Kaukazie, są oczywiście ignorowane, gdyż nie pasują do teorii.

Życzeniowe myślenie nie zmienia rzeczywistości, tylko tworzy iluzję, która usypia czujność. Przebudzenie może być wówczas równie bolesne jak to, którego doświadczyli twórcy Konstytucji 3 maja, liczący na antyrosyjski sojusz z Prusami. Stosunki rosyjsko-tureckie mają naturę sinusoidalną, z cyklicznymi eskalacjami, zawsze jednak poprzedzającymi kolejny układ, a nie prowadzącymi do bezpośredniej konfrontacji. Oba kraje wykazują się też wyraźną niechęcią do Zachodu, którego wpływy chcą wspólnie rugować z terenów, gdzie między sobą rywalizują. Tak jest m.in. w Syrii, gdzie Turcja wspiera dżihadystów marzących o kolejnych zamachach, takich jak te z 11 września, i nadających dzieciom imiona typu Osama, na cześć twórcy Al-Kaidy. Na ich terenach chrześcijan już nie ma, bo albo uciekli, albo zostali zabici. Przez lata europejskiej opinii publicznej wciskano, że to nasi sojusznicy, pragnący demokracji „umiarkowani rebelianci”, tylko dlatego, że drugą stroną – Al-Asada – wspierała Rosja. Do dziś przy tym niektórzy zachwycają się incydentem z 2015 r., gdy Turcja zestrzeliła na pograniczu turecko-syryjskim rosyjski SU-24. To, że kilka miesięcy później Erdoğan pokajał się za to przed Putinem, a Rosjanie w rewanżu ostrzegli go przed puczem, znów umyka uwadze turkofilów znad Wisły. A oficerowie tureccy odpowiedzialni za zestrzelenie tego samolotu odsiadują kilkudziesięciokrotne dożywocie za zdradę.

Podobny zachwyt towarzyszył walkom w Idlibie w lutym 2020 r., gdy Turcja wysłała w świat propagandowe komunikaty

o „anihilacji” syryjskiej armii. Miały tego dokonać tureckie drony, słynne bayraktary, i ich rzekoma skuteczność w walce z Rosjanami w Syrii była jednym z argumentów za decyzją o ich niedawnym zakupie przez Polskę. Tyle że znów ignorowano fakty. Konfrontacja zaczęła się wówczas od zajęcia przez armię syryjską strategicznego miasta Sarakib, co Turcja uznała za przekroczenie „czerwonej linii”. Wysłała zatem kolumnę swoich wojsk, by odbiła miasto, ale uderzyli w nią Rosjanie, zabijając ponad 30 Turków. Erdoğan, by uniknąć konfrontacji z Rosją, ogłosił jednak, że zrobili to nie Rosjanie, ale Syryjczycy, i zaczął trzydniowy show pt. „Anihilacja”. W jego trakcie odbito Sarakib, ale na krótko, bo gdy Rosjanie podciągnęli posiłki spod Damaszku, to Turcy uciekli przed „zanihilowaną” armią, a Erdoğan poleciał na Kreml, gdzie wraz z całą swoją świtą był upokarzająco przetrzymany pod zamkniętymi drzwiami pod portretami XVIII-wiecznych pogromców Turków, takich jak Suworow czy Katarzyna Wielka. Cały kryzys w Idlibie został jednak wykorzystany wówczas przez Turcję do ataku strumieniem migracyjnym na Grecję, co było korzystne i dla Rosji, i dla Turcji, bo uderzało we wspólnego wroga: Europę.

TURECKA WDZIĘCZNOŚĆ

Kilka lat temu wymyślony został „trójkąt bezpieczeństwa” Warszawa – Białoruś – Ankara, który jakoby miał być trzonem przeciwstawiania się agresywnym działaniom Rosji. Do niedawna jedynym realnym efektem tego formatu było blokowanie przez Turcję planów obronnych NATO na flance wschodniej. Nie zmąciło to jednak dobrego samopoczucia turkofików znad Wisły. Gdy po wielu miesiącach Turcja w końcu wycofała się z tego kroku, okazało się, że musieliśmy zapłacić za to, by nie była koniem trojańskim. Polska nie zgodziła się więc na nałożenie przez Unię Europejską sankcji na Turcję w związku z jej działaniami na Morzu Śródziemnym przeciwko Cypru i Grecji, choć sami oczekiwaliśmy solidarności UE w sprawie sankcji na Rosję. Później postanowiliśmy wysłać nasz kontyngent wojskowy do Turcji i do dziś nie wiadomo, co on tam robi. Pytany o to przeze mnie szef Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych Sławomir Dębski odmówił udzielenia wyjaśnień, odsyłając do enigmatycznego komunikatu, z którego wynikało m.in. „wsparcie działań we wschodniej części Morza Śródziemnego”. Tyle że jedyne działania, które Turcja tam prowadzi, to

Należałoby wycofać naszych żołnierzy z Turcji i bliżej współpracować z Grecją, która boryka się z takimi samymi problemami jak my

wysyłanie swoich okrętów na greckie i cypryjskie wody, próby nielegalnych odwiertów i prowokowanie okrętów innych państw NATO, np. francuskich. Można mieć tylko nadzieję, że nikt nie wpadnie na pomysł, by w odpowiedzi na kolejny szantaż Turcji nasi żołnierze wsparli kolejny turecko-dżihadystyczny atak na Kurdów w Syrii. Tych Kurdów, którzy wspólnie z USA pokonali Państwo Islamskie. Nie są to przy tym ci sami Kurdowie, których obecnie Turkish Airlines transportuje do Mińska, by szturmowali naszą granicę. Ci pochodzą z Iraku i na zamieszanych przez nich terenach wojny nie było od 30 lat, a Irak jest obecnie uznawany za jedyne demokratyczne państwo na Bliskim Wschodzie. Mimo to niektórzy uparcie nazywają tych ludzi „uchodźcami” i jeszcze sugerują, że powinniśmy im pomóc, bo obaliliśmy Saddama. Tyle że to właśnie po obaleniu Saddama zakończyło się ludobójstwo irackich Kurdów i zdołali oni faktyczną autonomię. Oczywiście Turcja chciałaby się pozbyć wszystkich Kurdów i to jest jeden z powodów tego, że transportuje ich na Białoruś.

Turcja, „odwdzięczając się” nam za ów kontyngent, za popieranie jej w sporze z Grecją i Cyprem, wysłanie strażaków, by gasili lasy, za zakup dronów, co było ogromnym zastrzykiem gotówki dla upadającej tureckiej gospodarki, odgrywa obecnie kluczową rolę w zabezpieczeniu logistycznej strony ataku demograficznego dokonywanego na Polskę przez reżim Łukaszenki. Nie ma w tym oczywiście nic zaskakującego, bo kilka miesięcy temu ta sama Turcja blokowała oświadczenie NATO potępiające Łukaszenkę za porwanie samolotu Ryanair. Znamienne było też to, że po wyborach prezydenckich, gdy pojawiały się, niestety nieprawdziwe, plotki o ucieczce Łukaszenki z Białorusi, to wskazywano właśnie na Turcję jako miejsce, gdzie miałby się schronić. Obecnie, po tym, jak Irak zamknął białoruskie placówki i zawiesił połączenia lotnicze z Mińskiem, to właśnie w Turcji wydawane są wizy białoruskie. Miesiąc temu

goszczący wówczas w Warszawie szef tureckiej dyplomacji Mevlüt Çavuşoğlu obiecał współpracę w związku z kryzysem na naszej granicy. Jedynym przejawem owej „współpracy” było zwiększenie liczby połączeń tureckich na linii z Mińskiem.

DÉJÀ VU

Ankara oczywiście nerwowo zareagowała na słowa premiera Morawieckiego o tym, że ma miejsce synchronizacja działań Turcji, Rosji i Białorusi w ramach ataku demograficznego na nasz kraj. Następnego dnia doszło do rozmowy telefonicznej polskiego i tureckiego ministra spraw zagranicznych, z inicjatywy Turków, po której wydano komunikat, że oba kraje będą współpracować w zwalczaniu nielegalnej imigracji. Déjà vu. To samo ogłoszono miesiąc wcześniej. Szybko okazało się również, że Turcja nie ma zamiaru zawieszać lotów do Mińska. Wręcz przeciwnie, celem rozmowy było odrzucenie oskarżeń Polski. Ankara ma też świadomość, że postulat sankcji na linie lotnicze pomagające Łukaszence w zwożeniu migrantów wreszcie zaczął być traktowany poważnie, i postanowiła go zneutralizować u źródła, czyli naciskając na Polskę, by się z tego wycofała. W zamian zaferowano „inspekcję procedur”, co jest kpina, zważywszy na to, że część migrantów leci na Białoruś tranzytem. Poza tym, skoro mają wizy białoruskie, to jakie niby procedury można weryfikować? Turcja z całą pewnością jest też świadoma tego, że w Polsce pojawiły się głosy wzywające do rezygnacji z zakupu bayraktarów. I to wywołało w Ankarze taką panikę, że od razu turecka lira zaczęła znów lecieć na łeb na szyję.

Premier Morawiecki powiedział w Sejmie prawdę, że nasze działania wobec Turcji miały charakter pomocy i że była ona jednostronna. Należałoby jednak z tego wyciągnąć wnioski, wycofać naszych żołnierzy z Turcji i bliżej współpracować z Grecją, która wszak boryka się z takimi samymi problemami co my, broniąc zewnętrznej granicy Unii Europejskiej przed atakami demograficznymi dokonywanymi przez Turcję. Niestety, lobby turkofilskie jest w Polsce zbyt silne i wątpliwe, by osoby z nim związane straciły swoje posady za promowanie błędnej polityki. Polacy powinni jednak przemyśleć kierunek wakacji w przyszłym roku i to, czy chcą zostawiać swoje pieniądze w kraju, który prowadzi wrogą wobec Polski politykę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

NAJCIEKAWSZE WYWIADY, NAJMOCNIEJSZE TEMATY

TERLIKOWSKI • SALAK TEJCHMAN • MIKOŁAJEWSKA BALINOWSKI

POPOŁUDNIOWA ROZMOWA W RMF FM O **18:02**



radio nr **1** *w Polsce*

RMF
FM

Cchodzi o postać (ambasadora) Rzeczypospolitej Polskiej w Bernie okresu drugiej wojny światowej oraz pracowników polskiego poselstwa w Szwajcarii z nieformalnej grupy, kierowanej przez niego i dlatego zwanej w publikacjach „grupą Ładosia” lub „grupą berneńską”. W jej skład wchodził jeszcze: zastępca ambasadora Stefan Ryniewicz, konsul Konstanty Rokicki oraz attaché poselstwa Juliusz Kühl. Grupa fabrykowała w latach 1940–1944 fałszywe paszporty kilku południowo- i środkowoamerykańskich państw – głównie Paragwaju, ale też Peru i Boliwii, Hondurasu, Salwadoru i Haiti – aby zostały dostarczone konkretnym Żydom zagrożonym śmiercią z rąk niemieckich w gettach, obozach koncentracyjnych bądź w ukryciu pod okupacją III Rzeszy. Posiadaczy paszportów Niemcy kierowali zazwyczaj do obozów dla internowanych, gdzie szansa przeżycia wojny zwiększała się wielokrotnie.

Polacy ściśle współdziałali z przedstawicielami organizacji żydowskich – Abrahamem Silberscheinem i Chaimem Eisselem – którzy zajmowali się ustaleniem nazwisk i położenia zagrożonych, przemycał im zbawczych dokumentów oraz częściowo finansowali przedsięwzięcie. Gros wydatków związanych z pomocą Żydom ponosił jednak rząd RP na uchodźstwie.

Jak piszą Jan Żaryn i Tomasz Sudół w książce „Polacy ratujący Żydów. Historie niezwykłe”, „sumy asygnowane na ratowanie Żydów – procentowo i kwotowo – nie odbiegały od kwot przeznaczanych na pomoc dla ludności polskiej – nie-Żydów, a były znacznie większe niż dla polskich partii podziemnych. Łącznie w latach 1943–1944 wsparcie dla RPŻ (Rada Pomocy Żydom „Żegota”) wynosiło około miliona złotych miesięcznie (czyli 860 tys. franków szwajcarskich). Trzeba także zaznaczyć, że pieniądze rządu RP skierowane na pomoc Żydom nie obejmowały jedynie RPŻ. Jak relacjonował pod koniec grudnia 1943 r. poseł RP z Berna Aleksander Ładoś, aż 90 proc. środków budżetowych tamtejszego przedstawicielstwa polskiego było przeznaczonych dla uciekinierów przybyłych do Szwajcarii. W tej kategorii obywateli polskich 90 proc. stanowili Żydzi...”.

Warto przy okazji przypomnieć, że RPŻ „Żegota” – jako jedyna konspiracyjna organizacja państwowa w okupowanej Europie – zorganizowała wszechstron-

Yad Vashem i sprawiedliwi Polacy



Maciej Rosalak

W tych dniach instytut Yad Vashem ostatecznie oświadczył, że nie przyzna tytułu Sprawiedliwego wśród Narodów Świata polskiemu dyplomacie Aleksandrowi Ładosiowi, który podczas wojny uratował życie setkom Żydów



Aleksander Ładoś FOT. NAC

Rostox

na, stałą pomoc dla uciekinierów z gett, zapewniając kilku tysiącom mieszkanie, jedzenie, pomoc lekarską i ochronę w razie zmiany lokalu. Kościół rzymskokatolicki – w świętej sprawie ratowania życia ludzkiego – wystawił ok. 50 tys. fałszywych świadectw chrztu, a franciszkanki z s. Matyldą Getter objęły opieką 2,5 tys. dzieci żydowskich, które umieszczały w sierocińcach i klasztorach. Z kolei władze polskie w Londynie – dzięki alarmującemu notom, raportom Witolda Pileckiego z KL Auschwitz i kurierskiej misji Jana Karskiego – uświadomiły świat o tragedii narodu żydowskiego.

Instytut Pileckiego opublikował w 2020 r. „Listę Ładosia” – spis nazwisk 796 osób na pewno uratowanych z grupy 3262 Żydów, którym wydano paszporty. Dziewięćset pięćdziesiąt siedem z nich nie przeżyło Holocaustu, a losu pozostałych jeszcze nie udało się ustalić. Nie udało się też ustalić nazwisk łącznie prawdopodobnie ok. 10 tys. Żydów objętych tą polsko-żydowską akcją ratunkową – obywateli Polski, Holandii, Niemiec i kilkunastu innych europejskich krajów.

MEDAL NIE DLA AMBASADORA

Informacje o „Liście Ładosia” stawały się wydarzeniem światowym, porównywanym z bestsellerem kinowym Spielberga „Lista Schindlera”, ale Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu Yad Vashem w Jerozolimie w 2019 r. przyznał Tytuł i Medal Sprawiedliwego wśród Narodów Świata tylko konsulowi Rokickiemu, a ambasadorów Ładosia i Ryniewicza uznał za godnych jedynie podziękowań. Instytut poinformował też PAP, że Konstanty Rokicki był kluczową postacią wśród polskich dyplomatów w szwajcarskim Bernie i dlatego jako jedyny z nich zostanie uhonorowany tytułem Sprawiedliwego, a pozostali dyplomaci z grupy – nie. Instytut podkreślił przy tym, że działająca w instytucie Yad Vashem Komisja ds. Wyznaczania Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, która o tym zdecydowała, jest całkowicie niezależna od wpływów politycznych i medialnych. Czyżby?

Dlaczego jeden tytuł Sprawiedliwego, a nie trzy lub cztery, i dlaczego to konsula, a nie ambasadora uznano za postać kluczową – nie wyjaśniono. Piękną postawę zajęła rodzina Konstantego Rokickiego i godnie odmówiła przyjęcia medalu na znak protestu przeciw

niewuwzględnieniu kierującego całą akcją Ładosia. Ponad 30 Żydów ocalonych przez grupę Ładosia wystosowało do Yad Vashem list protestacyjny. Zaprotestował również jeden z odkrywców grupy, polski konsul honorowy w Zurychu Markus Blechner. Wszystko na próżno.

Wniosek polskiej dyplomacji został ponowiony, do Jerozolimy wysłano dodatkowe materiały, ale ze skutkiem takim, jak dowiedzieliśmy się w przededniu naszego tegorocznego Święta Niepodległości. Szef Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta RP Jakub Kumoch, wcześniej pełniący funkcję ambasadora w Szwajcarii – którego pracę nad dotarciem do prawdy i rozpropagowaniem czynu grupy Ładosia trudno przecenić – tak komentował to wydarzenie: „Bezprecedensowa decyzja o nieuznaniu osoby, która była jedną z tych, która uratowała życie największej liczby ludzi podczas Holocaustu, tworzy paradoks: Aleksander

ukończeniu lwowskiego IV Gimnazjum Klasycznego studiował historię na Uniwersytecie Franciszkańskim (od 1918 r. – Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie). Przed pierwszą wojną światową przystąpił do PSL „Piast”, a po wybuchu wojny współorganizował z ramienia Naczelnego Komitetu Narodowego złożony z ochotników Legion Wschodni, a potem wyjechał do Lozanny, gdzie kontynuował studia. Po powrocie do kraju w 1919 r. wstąpił do służby dyplomatycznej. Był m.in. delegatem ds. plebiscytu na Spiszu i Orawie, a jako sekretarz delegacji polskiej w Rydze uczestniczył w rozmowie Jana Dąbskiego z wysłannikiem bolszewików Adolfem Joffem. Kierował Wydziałem Środkowoeuropejskim w Departamencie Politycznym MSZ, był posłem RP w Rydze, a po przewrocie majowym – konsulem generalnym w Monachium. Kiedy w 1931 r. Józef Beck zwolnił go

Piękną postawę zajęła rodzina Konstantego Rokickiego i godnie odmówiła przyjęcia medalu na znak protestu przeciw niewuwzględnieniu kierującego całą akcją Ładosia.

Ponad 30 Żydów ocalonych przez grupę Ładosia wystosowało do Yad Vashem list protestacyjny

Ładoś został nazwany Sprawiedliwym przez swoich żydowskich kolegów podczas Holocaustu, ale tego tytułu odmówili mu Izraelczycy, niektórzy z nich urodzeni wiele lat po wojnie”.

Dodał też, że „w piśmie instytutu, kierowanym do honorowego konsula Polski w Zurychu Markusa Blechnera, nie podano powodów odmowy przyznania tytułów polskim dyplomatom. Zaznaczono w nim za to, że Aleksander Ładoś i Stefan Ryniewicz nieśli pomoc Żydom podczas Holocaustu, a Yad Vashem niezmiennie pozytywnie ocenia ich postawę”. Trudno nie zrozumieć i nie podzielić rozczarowania Jakuba Kumocha, gdy komentował owo pismo: „Obawiam się, że będzie mi bardzo trudno kiedykolwiek pojawić się w tym miejscu lub podać rękę komukolwiek, kto brał udział w tym niebывалым zafałszowaniu historii”.

DZIAŁANIA BOHATERÓW

Aleksander Ładoś przyszedł na świat (1891 r.) w rodzinie starszego radcy dyrekcji poczty we Lwowie. Po

z MSZ, Ładoś został publicystą prasy związanej z opozycją, krytykującym politykę Becka, a sympatyzującym z Frontem Morges.

Na początku drugiej wojny światowej premier Władysław Sikorski uczynił go ministrem bez teki z ramienia SL, a wkrótce posłem polskim w Bernie. Po wojnie pozostał na emigracji – rok w Szwajcarii i 14 lat we Francji. W 1960 r. powrócił do Polski. Zmarł w Warszawie (1963 r.) i spoczywa na Starych Powązkach (kwatery 77-5-30). Pozostawił pamiętniki, ale nie zdążył opisać sprawy paszportów. 28 grudnia 2018 r., w 55. rocznicę jego śmierci, odprawiono na Powązkach nabożeństwo. Byli szef polskiego MSZ, wiceminister kultury, grono weteranów, rabin z warszawskiej gminy wyznaniowej oraz przedstawiciele American Jewish Committee. Z zaproszonych ambasadorów przybył tylko chargé d'affaires ambasady Szwajcarii. Z dyplomatów Izraela – nikt.

Również z Galicji, bo z Tarnopola, pochodził Stefan Jan Ryniewicz

■ (1903–1988), także absolwent gimnazjum lwowskiego. W służbie dyplomatycznej od 1928 r., kierował wydziałem konsularnym w Bernie, a w latach 1935–1938 – w Rydze, ale w międzyczasie (1933–1935) pracował też w gabinecie szefa MSZ Józefa Becka. Od 1938 r. do końca wojny znów w poselstwie w Bernie, jako I sekretarz, a od 1940 r. jako zastępca Ładosia. Po wojnie pozostał na obczyźnie, w Argentynie, gdzie umarł.

Wojny RELICO Abrahama Silberscheina oraz szwajcarska sekcja ortodoksyjnej organizacji żydowskiej Agudat Chaima Eissa (warto zauważyć, że jako działacz syjonistyczny Silberschein był przed wojną posłem na I kadencję Sejmu II RP). Ambasador Ładoś oraz Ryniewicz jako jego zastępcy koordynowali i zapewniali ochronę dyplomatyczną całej akcji.

Gdy w styczniu 1943 r. na trop grupy wpadła szwajcarska policja ds. cudzo-

żydowskich znajdowali się pojedynczy posiadacze paszportów. Osoby takie w części przypadków zostały zwolnione z obowiązku mieszkania w gettach i noszenia opaski z gwiazdą Dawida. Po konferencji w Wannsee i rozpoczęciu masowego mordu na narodzie żydowskim paszporty latynoamerykańskie zasadniczo chroniły przed wywózką do obozów zagłady. Początkowo operacja prowadzona była chaotycznie, co zwiększało możliwość dekonspiracji. Prawdopodobnie dlatego poselstwo wtajemniczyło w 1942 r. w operację Abrahama Silberscheina”.

Przesłuchiwany przez policję Silberschein mówił: „Miałem spotkanie w Poselstwie RP w Bernie z panem I sekretarzem Ryniewiczem oraz panem Rokickim, który zarządza sekcją konsularną. Obaj panowie zwrócili moją uwagę na fakt, że pewne osoby w Szwajcarii zajmują się dostarczaniem paszportów [państw] Ameryki Południowej dla Polaków znajdujących się w państwach okupowanych przez Niemcy. Paszporty te umożliwiają ich posiadaczom poprawę ich położenia. Mielśmy do czynienia z prawdziwym »czarnym rynkiem« paszportowym. Panowie z Poselstwa wyrazili życzenie, żebym to ja wziął odpowiedzialność za tę sprawę, co też uczyniłem w imieniu RELICO”.

PASZPORTY W WIERSZACH

Na zakończenie przypomnijmy, że wieści o zbawczych latynoamerykańskich paszportach rozchodziły się wśród Żydów dogorywającego getta warszawskiego. Ślad tego znajdujemy w wierszach znanego poety, autora piosenek i tekstów kabaretowych Władysława Szlengela. Do jego „Paszportów” muzykę napisał kompozytor Max Kowalski, a grupa muzyczna Sholem nagrała utwór w 2018 r. Natomiast we wstrząsającym utworze „Obrachunek z Bogiem”, napisanym w 1943 r., znajdujemy taki urywek: „Bóg był starszym panem / O spojrzeniu pełnym łaski / Miał siwą długą brodę / I chodził bez opaski... Kenkarty wprowadzić nie miał / Bo przybył prosto z raj / Lecz miał obywatelstwo / Podobno... – Urugwaju...”.

Na początku mijającego roku Sejm Rzeczypospolitej Polskiej dla upamiętnienia skuteczności i poświęceń polskich dyplomatów oraz ich żydowskich i polskich współpracowników ustanowił rok 2021 Rokiem Grupy Ładosia. Rok się kończy, ale pamięć – nie powinna.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Według Kühla pomysł tworzenia fałszywych paszportów latynoamerykańskich powstał na przełomie lat 1939 i 1940, gdy kilkadziesiąt dokumentów paragwajskich wyprodukowano po to, by wpływowi Żydzi z terenów zajmowanych przez Związek Sowiecki mogli go opuścić przez Japonię

Z Warszawy pochodził natomiast urodzony w 1899 r. Konstanty Rokicki (zmarł w szwajcarskiej Lucernie w 1958 r.), oficer kawalerii odznaczany za odwagę podczas wojny bolszewickiej, który do służby konsularnej trafił w 1931 r. Służył także w polskim wywiadzie. Już w konsulatach okresu międzywojennego w Rydze oraz w Bernie współpracował z Ryniewiczem i stąd ich przyjaźń. W latach 1941–1944 wypisał ręcznie, przy pomocy Juliusza Kühla, do kilku tysięcy paszportów Republiki Paragwaju, które następnie szmuglowane były do gett okupowanej Polski i ratowały ich żydowskich posiadaczy przed wywózką do obozów zagłady. Paszporty Paragwaju, w odróżnieniu od paszportów innych państw Ameryki Łacińskiej, miały szczególną wartość, ponieważ kraj ten – pod naciskiem Polski i Watykanu – tymczasowo uznał ich ważność.

Na przykładzie paszportów paragwajskich możemy prześledzić, jak działała grupa. Blankiety kupowano za łapówki od konsula honorowego Paragwaju, berneńskiego notariusza Rudolfa Hüglego. Następnie żydowski pracownik poselstwa, niespełna 30-letni wtedy dr Juliusz Kühl (ur. w Sanoku w 1913 r., zm. w 1985 r. na Florydzie), przynosił je do siedziby sekcji konsularnej przy ulicy Thunstrasse 21. Tam wypełniał je konsul Rokicki. Przemycem list z nazwiskami i zdjęciami zajmowały się dwie współpracujące z poselstwem organizacje żydowskie: założony w Genewie Komitet Pomocy Żydowskim Ofiarom

ziemców, przesłuchiwała Hüglego (przyznał się do winy) i Kühla, w maju Eissa, a jesienią 1943 r. Silberscheina. Z zeznań całej czwórki pochodzi większość wiedzy na temat sposobu działania grupy Ładosia.

Według Kühla pomysł tworzenia fałszywych paszportów latynoamerykańskich powstał na przełomie lat 1939 i 1940, gdy kilkadziesiąt dokumentów paragwajskich wyprodukowano po to, by wpływowi Żydzi z terenów zajmowanych przez Związek Sowiecki mogli go opuścić przez Japonię. „Poselstwo – mówił Kühl – zidentyfikowało honorowego konsula Paragwaju, berneńskiego notariusza Rudolfa Hüglego, który gotów był sprzedawać paszporty in blanco. Nie wiadomo, kto je wypełnił i w jaki sposób wysłano je do Związku Sowieckiego. Na przełomie lat 1939 i 1940 między Bernem a granicą sowiecką wciąż istniał jeszcze pas neutralnych państw, a przekroczenie granicy ZSRS formalnie było możliwe. Początkowo uznawano, że tego typu działania mogą mieć charakter wyłącznie jednostkowy, ponieważ sprawie grozi dekonspiracja. W późniejszych latach trwała jednak okazjonalna produkcja podobnych dokumentów”.

Najbardziej znany jest przykład uzyskania paszportu przez Eli Sternbucha dla swojej przyszłej żony Guty Eisenzweig i jej matki Giny w listopadzie 1941 r. Rodzina Sternbuch uzyskała go, kontaktując się z Juliuszem Kühlem. Zeznał on: „Nie wiadomo, kto wypełnił ten dokument. Podczas niemieckiej napaści na Związek Sowiecki i po utworzeniu gett



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Ukraińska lekcja dla Polski

Wszystko, co wydarzyło się wczoraj, jest już historią. A co dopiero siedem lat temu! Muszę jednak przyznać, że to wyjątkowe uczucie, gdy o wydarzeniach, które jeszcze niedawno śledziłem na łamach prasy i oglądałem w telewizji, teraz czytam w książce historycznej.

Mowa o świetnej pracy prof. Michała Klimeckiego poświęconej konfliktowi zbrojnemu na południowo-wschodniej Ukrainie w latach 2014–2015. Znakomity znawca problematyki ukraińskiej przedstawił genezę, skutki i sam przebieg walk.

Zatem: kijowski Majdan, ucieczka Janukowycza, przejęcie władzy na Ukrainie przez obóz prozachodni. „Zielone ludziki” na Krymie, dramat ukraińskiej floty, utworzenie dwóch separatystycznych republik w Doniecku i Ługańsku. Zacięte walki między armią Ukrainy a oddziałami rebeliantów wspieranymi przez Rosjan.

Profesor Klimecki opisuje te zmagania zarówno z perspektywy sztabów i gabinetów, jak i z perspektywy okopów. Przedstawia wielkie operacje i poszczególne epizody. Choćby takie jak heroiczna

obrona lotniska w Doniecku przez ukraińskich żołnierzy-cyborgów. Albo zestrzelenie przez separatystów samolotu pasażerskiego malezyjskich linii lotniczych.

Z książki wypływają cztery niewesołe wnioski:

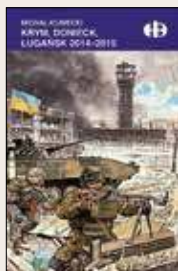
1) Wojna hybrydowa jest niezwykle groźnym instrumentem w rękach Moskwy. Ukraińcy na początku byli zdezorientowani, nie potrafili zachować się w nowej sytuacji;

2) Staroświecka, post-sowiecka, wyposażona w przestarzały sprzęt armia Ukrainy nie była gotowa na zmierzenie się z wyzwaniami nowoczesnego pola walki;

3) Rosja jest piekielnie groźna. Potrafi zdestabilizować nieprzyjacielskie państwo i nie cofa się przed działaniami siłowymi;

4) Gwarancje Anglosasów są iluzoryczne. Gdy Ukraina w latach 90. oddała odziedziczone po ZSRS pociski nuklearne, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania w zamian za to zagwarantowały jej integralność terytorialną. W 2014 r. gwarancje te okazały się martwe.

Książka prof. Michała Klimeckiego jest pasjonująca. A jedną z jej największych zalet jest obiektywizm. ©©



★★★★★
MICHAŁ KLIMECKI
„KRYM, DONIECK,
ŁUGAŃSK
2014–2015”
BELLONA



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Jeszcze jedno zapomniane powstanie

Kanon polskich zrywów narodowych został ustalony nie przez historyków, lecz przez urzędników. Miało to miejsce w 1919 r., gdy odradzające się państwo polskie chciało zadbać o weteranów powstań, których żyło jeszcze ponad 3,5 tys. Z tego powodu w dokumentach wymieniono trzy zrywy narodowowyzwoleńcze: styczniowy (1863), Wiosnę Ludów (1848) oraz listopadowy (1831), gdyż podobno żyli jeszcze wówczas nieliczni weterani tego ostatniego. Natomiast nie nazwano powstaniami wcześniejszych walk z zaborcami, skoro ich uczestników nie było już wśród żywych, a weterani z lat 1914–1918 mieli dostać prawa kombatanckie na mocy innych ustaw.

Warto jednak pamiętać, że w 1806 r. miało miejsce wydarzenie, które rzadko się nazywa powstaniem, a które na tę nazwę wyjątkowo zasługuje. W gruncie rzeczy to wydarzenie jest niemal nieznane, gdyż zaborcy, okupanci i rodzimi kolaboranci rozmyślnie skazali je na zapomnienie. Powstanie 1806 r. zakończyło się bowiem olbrzymim polskim sukcesem; nie tylko odbudową państwa, lecz także przekreśleniem traktatów rozbiorowych.

Polska nie istniała już od 11 lat, gdy jeden z zaborców, Królestwo Prus, popełnił fatalny błąd i zaatakował Francję. Wojna nie trwała

długo, po zwycięstwach pod Jeną i Auerstedt w połowie października armia Napoleona błyskawicznie przetończyła się przez całe państwo pruskie, zajmując Berlin. Zapewne szybko podpisano by pokój, jednak na szczęście dla Polaków do gry włączyli się Moskale. Wojna zatem trwała dalej i dała szansę Polakom.

Pod koniec października z Napoleonem spotkał się gen. Jan Henryk Dąbrowski, który zaproponował cesarzowi wystawienie polskiej armii w zamian za odbudowę państwa. Napoleon niczego nie obiecywał, stwierdził także, że „na niepodległość trzeba sobie zasłużyć” i „zobaczmy, czy Polacy są godni być narodem”.

Dąbrowski rozpoczął nabór, wydając 14 listopada 1806 r. stosowne rozkazy, natomiast władze cywilne organizował autor późniejszego hymnu polskiego – Józef Wybicki. Ruch błyskawicznie objął opuszczoną przez Prusaków Wielkopolskę, dlatego czasem wydarzenie te nazywane są „pierwszym powstaniem wielkopolskim”. Prawdziwy sprawdzian nastąpił jednak na Kujawach, gdzie trzeba było zmierzyć się z silnymi załogami Bydgoszczy i Torunia oraz na ziemi kaliskiej. W południowej części departamentu kaliskiego szczególnie odniesiono wielki sukces propagandowy – wyzwolono Jasną Górę. Polacy okazali się godni bycia narodem. ©©



Z hiszpańskim eurodeputowanym Jorgem Buxadé rozmawia w Madrycie Małgorzata Wołczyk

Pójdziemy polskim śladem

MAŁGORZATA WOŁCZYK: Reprezentuję kraj, który według KE i prasy europejskiej ma problemy z praworządnością i nie uwzględnia tzw. wartości europejskich. Tymczasem Hiszpania pod rządami socjalistów i komunistów wydaje się krajem modelowym i dlatego wasi eurodeputowani, tacy jak González Pons, Borrell, López Aguilar, Iratxe García, ciągle nas pouczają. Co się stało z projektem europejskim, że dwie konserwatywne partie takie jak PiS i VOX oskarżane są o „eurosceptycyzm”, mimo że w głębi duszy jesteśmy eurofilami w duchu Schumana?

JORGE BUXADÉ: Począwszy od traktatu lizbońskiego, najsilniejsza w europarlamentie Partia Ludowa obrała szaleńczy kurs w kierunku federalizacji Europy i podporządkowania państw członkowskich. Zresztą zrobiła to, wzorując się na socjalistach. Myślę, że PiS, Fidesz czy VOX, które są obrońcami Europy, ale też obrońcami prawa do samostanowienia, stały się dla ludowców największym wrogiem. O dziwo, nie komuniści, tylko konserwatyści, patrioci traktowani są przez ludowców jak największe zło. To dlatego von der Leyen, Sassoli, González Pons prawią wam kazania, bo w istocie wyznają nową quasi-religię „europeistów”. W myśl nowych dogmatów należy skończyć z niepodległymi narodami. Ale ja jestem przekonany, że przyszłość należy do nas, do takich obrońców demokracji jak PiS, VOX, Fratelli d’Italia. To, co zdarzyło się wcześniej w Polsce, w której umieliście pokonać tyranie, wciąż jest punktem odniesienia. My też pójdziemy tym śladem, broniąc praw i demokracji.

Dla przeciętnego Polaka UE zaczyna przypominać Moskwę z czasów komunizmu. Mamy wrażenie, że nie możemy decydować o własnym losie. Czy projekt federalny nie wydaje się absolutną utopią nawet dla Hiszpanów?

Oczywiście. Europa to narody! A być Europejczykiem to bronić Europy narodów! Europa, której chcemy, to np. taka, która zwłaszcza teraz, w czasie ataku na waszą granicę, pomaga wam we wszystkim: militarnie, logistycznie. Tak właśnie było, gdy nas zaatakował reżim marokański w Ceucie, wypychając na nasze terytorium 10 tys. osób i Polska od razu zaoferowała nam pomoc. I to jest model Europy, którego chcemy! Narody, które współpracują, oferują sobie pomoc i są ze sobą solidarne w potrzebie nawet bez odgórnych rozkazów. Ale to musi być Europa, która broni chrześcijańskich korzeni i swojej tożsamości.

FOT. FRED MARAUX/EP/BU

A nie ta absurdalna utopia, którą nam narzucają.

Myśli pan, że technokraci z KE naprawdę wierzą w ten utopijny projekt czy rozgrywa się tam też po prostu ukryta gra wpływów, lobby, o których nie mówi się na głos, ale których wpływ materializuje się w bardzo widocznych przepisach, rezolucjach?

Ależ oczywiście! My w VOX bez przerwy mówimy o tym monopolu elit globalistów, których interesy są bardzo widoczne np. w tzw. Agendzie 2030, lansowanej przez Forum Davos, Fundację Gatesa, Sorosa i inne ośrodki lewicowych wpływów. Unia Europejska stała się po prostu wykonawcą tej strategii, dlatego promuje ideologię gender i dlatego atakuje konserwatystów, chcąc zniszczyć filary społeczne takie jak rodzina i wspólnota. Odrzucamy w zupełności tę lewicową agendę.

A jaki jest rachunek zysków i strat z przystąpienia Hiszpanii do UE po wielu latach? Jak to widzą Hiszpanie? Tylko zyskaliście czy też coś straciliście?

Hiszpania przyłączyła się do UE w 1985 r. i od tamtej pory musiała wiele poświęcić. Musieliśmy naprawdę zrujnować część naszego przemysłu, przekształcić całe sektory rolnictwa, aby przystosować się do wymagań wspólnego rynku. Owszem, nie można zapominać, że UE dała coś niebywale ważnego: wolny przepływ osób, kapitału, towarów, usług. Ale teraz jest już inna Unia, bo narzuca nowe restrykcje w poruszaniu się, narzuca beztłonie ograniczenia, mówi nam, jak mamy organizować kluczowe sektory, np. energetyki, każe zamykać kopalnie, narzuca energię ze źródeł odnawialnych etc. Nie mogą urzędnicy unijni narzucać decyzji w żywotnych czy strategicznych kwestiach dla interesów każdego narodu. UE przez wiele lat rozdawała pieniądze, więc zdołała niejako kupić narody, za to teraz chce szantażować za pomocą swoich organów TSUE czy KE i wymuszać posłuszeństwo w kwestiach, w których nie ma żadnych kompetencji. Mamy zatem prawo przeciwstawiać się centralistycznym i federacyjnym zakusom i żądać powrotu do projektu europejskiego, który był na służbie narodów. Bo to Unia ma służyć narodom, a nie na odwrót.

Przejdźmy od ataków i szantażu ze strony Brukseli na Polskę do szantażu ataków ze strony Mińska na nasz kraj. W rzeczywistości Polacy nie dostrzegają dużej różnicy – w obu przypadkach

mamy pistolet przystawiony do głowy. Co musi się stać, aby Bruksela wreszcie zdała sobie sprawę, że jej polityka uległości wobec nielegalnej migracji działa przeciwko europejskiej cywilizacji, i podjęła bardziej stanowcze kroki?

Uważam, że oni to wiedzą i jest im wszystko jedno, co się stanie. Dlatego odpowiedź musi przyjść ze strony narodów, a nie elit europejskich. Dlatego musicie w Polsce głosować na rząd, który będzie strzegł swojej suwerenności jak zrenicy oka, tak jak teraz broni granicy. To samo Węgry, Hiszpanie, Włosi. Tylko w ten sposób zmienimy ten dryf w UE, w której swoje miejsce mają też komuniści ze swoimi zgubnymi projektami. Przecież von der Leyen musi wiedzieć, że obecna polityka azyłowa to katastrofa, a jednak nic się nie zmienia. Dlaczego nie ma polityki prorodzinnej w UE? Dlaczego nie przeciwdziała się wymieraniu Europejczyków, nie wspiera rodzin, tylko uważa się, że rozwiązanie problemu demografii przyniosą mułomscy imigranci? Przecież to absurd!

Czyli nie będzie przegrupowania sił w PE? Niemożliwa jest w tej legislaturze zmiana tego lewicowego dryfu? Trzeba czekać do wyborów?

W tej chwili jedyne, co możemy zrobić, to nieustannie punktować tę złą politykę, ten terroryzm dezinformacji, brak rzetelności w informowaniu Europejczyków o tym, ku czemu zmierzamy. W tym układzie sił nie można liczyć na zmianę polityki, bo EPP – partia także Donalda Tuska – zawsze wzoruje się na lewicy i głośnie tak jak oni.

Jestem w Hiszpanii co trzy miesiące i znam dobrze stopień dezinformacji waszych mediów. Ofiarą tych praktyk jest wasza partia, ale też mój kraj. Wydaje się, że media na równi z politykami pchają ten lewicowy walec do przodu.

Tak, ja nazwałbym ten stan rzeczy „terroryzmem dezinformacji”, bo widzimy na co dzień, że obraz w głównych mediach jest zmanipulowany, i bardzo łatwo tego dowiedzieć. Brak rzetelnej informacji dezorientuje ludzi, powoduje strach, niepewność, stąd używam słowa „terroryzm” do opisu niecznych praktyk mediów. To również z powodu mediów cała Europa mówi o rzekomym braku niezależności sądów w Polsce, ale nic się nie mówi o tym, że Trybunał Konstytucyjny Hiszpanii już dwa razy wydał oświadczenie o niekonstytucyjności postanowień rządu Sáncheza. Bruksela zresztą też milczy w tej sprawie.

W Hiszpanii większość mediów została kupiona przez rząd i to ze środków publicznych. Chodzi o utrwalony system subwencji, kosztowną publikację reklam i kampanii społecznych, które dają mediom przetrwanie i solidny byt, a rządowi przychylność. Nam pozostaje zabierać głos w małych mediach konserwatywnych, które jednak mają coraz większą publiczność i odbiór społeczny. Owszem, są jeszcze sieci społecznościowe, niezwykle ważne, ale tu niestety konserwatyści są cenzurowani, blokowani.

Niektórzy geopolityczni specjaliści mówią, że my – konserwatyści, Polacy – używamy „przestarzałych map mentalnych”. Świat się zmienił, na naszych oczach tworzy się nowy porządek, dzielą się nowe strefy wpływów. Mówią więc, że nasza walka o cywilizację europejską i chrześcijańską nie ma znaczenia, bo walka rozegra się pomiędzy mocarstwami, za pomocą nowych technologii, wojen innego typu, i bynajmniej nie wartości będą decydować o żywotności poszczególnych narodów. Jakie jest pana zdanie?

Odrzucam to myślenie. Owszem, zmieniła się geopolityka, Europa słabnie, Chiny stały się potęgą, USA Bidena też są inne, ale przyszłość Europy zależy wciąż od nas. „Być to znaczy bronić się” – jak napisał nasz intelektualista Ramiro de Maeztu. Nie bronisź się – to giniesz. I dlatego wciąż wiele od nas zależy pomimo rozmachu mocarstw, geopolityki, na którą nie mamy wpływu. Trzeba też powiedzieć, że budzi się w końcu Europa, bo Włosi, Francuzi, Hiszpanie głosują już inaczej. Ja jestem optymistą. Nasza kultura, tradycja, rodzina, wspólnota to filary, których trzeba bronić i które nas obronią przed innymi zagrożeniami, czy to będzie Komunistyczna Partia Chin czy imperializm Putina, czy islam.

Czterech eurodeputowanych VOX robi mnóstwo szumu w PE i podejmuje mnóstwo inicjatyw także w obronie Polski, za co dziękujemy, bo dzięki wam czujemy się mniej samotni. Dziękujemy za lansowanie akcji „#GraciasPolonia” (Dziękujemy Ci, Polsko, za obronę wschodniej granicy Europy). Pytanie, kiedy VOX, tak maltretowany przez oponentów z partii socjalistycznej i komunistycznej, zmęczy się i podda?

Nigdy! Bo mamy ten sam impet i energię, którą wy mieliście w latach Solidarności. Będzie nas jeszcze więcej z tego prostego powodu, że my po prostu jesteśmy po stronie prawdy i zdrowego rozsądku.



Piotr Włoczyk

Według demokratów krytyczna teoria rasy to nieistniejący w rzeczywistości potwór, którego prawica wymyśliła, by straszyć białych Amerykanów i wygrywać wybory. Republikanie przekonują jednak, że to jak najbardziej realne zagrożenie, na które narażone są przede wszystkim dzieci

W tej sprawie obie największe amerykańskie partie mówią jednym głosem: w ostatnich wyborach w Wirginii krytyczna teoria rasy (CRT) odegrała decydującą rolę. „Republikanie cały czas opowiadają o tej tzw. Krytycznej Teorii Rasy. Tak jak mówiłem wcześniej, to nigdy nie było nauczane w Wirginii. Nie cierpię tego, bo to trąbka sygnałowa dla wszystkich rasistów. To nic innego jak napuszczanie jednych rodziców na drugich, a także rodziców na nauczycieli” – mówił na antenie NBC Terry McAuliffe, polityk Partii Demokratycznej, który na początku listopada w sensacyjny sposób przegrał z republikaninem Glennem Youngkinem wyścig o fotel gubernatora Wirginii. Dla republikanów było to pierwsze zwycięstwo w tym stanie (mowa o wyborach ogólnostanowych) od 2009 r.

„Mamy niesamowitą historię. Mamy też straszne, ciemne rozdziały. Musimy uczyć tego wszystkiego, ponieważ jeżeli nie wiemy, skąd przyszliśmy, nie będziemy wiedzieć, dokąd zmierzamy – przekonywał w trakcie kampanii swoich zwolenników Glenn Youngkin. – Jednego nie zrobimy na pewno – nie będziemy uczyć naszych dzieci, by oceniały wszystko przez pryzmat rasy”.

Właśnie wokół tego tematu republikanom udało się zogniskować spór polityczny w Wirginii i wszystko wskazuje na to, że strategia ta utrzymana będzie w kolejnych wyborach. Ewidentnie bowiem kwestia ta wyjątkowo zajmuje wyborców i dodaje republikanom wiatru w żagle. Jak pokazał sondaż „The Washington Post”, dla 24 proc. wyborców w Wirginii najważniejsza w tych wyborach była właśnie edukacja. Dwa kolejne tematy na liście najważniejszych to gospodarka (23 proc.) i koronawirus (10 proc.).



Nauka przez

W serwisie YouTube roi się od filmików pokazujących burzliwe szkolne spotkania, podczas których rodzice dopytują nauczycieli, jak to możliwe, że w publicznych szkołach uczy się dzieci, by wszystko oceniały przez pryzmat rasy. Nie brakuje też wystąpień wściekłych czarnych rodziców, którzy dostrzegają, że co bardziej postępowi nauczyciele w gruncie rzeczy dążą do tego, by wykopać głęboki rów między ich pociechami a białymi dziećmi. (Na jednym z nagrań czarny mężczyzna krzyczy na spotkaniu rodziców: „Jakim cudem zdobyłem dobre wykształcenie medyczne, jeżeli należę do prześladowanej grupy?!”).

RASIZM W CZYSTEJ POSTACI

Czym w istocie jest krytyczna teoria rasy (Critical Race Theory – CRT), której tyle uwagi poświęca się w USA od kilku miesięcy? Profesor Carol M. Swain, czarnoskóra badaczka kwestii rasowych z Vanderbilt University, tłumaczy to w trzech krótkich zdaniach: „Krytyczna Teoria Rasy to rasizm w najczystszej formie. To odwrócona supremacja. Według tej ideologii wszyscy biali to prześladowcy, których trzeba siłą zmusić do stania się antyrasistami”.

Im bardziej demokraci przekonywali w czasie kampanii w Wirginii, że nic

takiego nie wkłada się do głów amerykańskich dzieci, tym więcej dowodów znajdowali republikanie, pokazując, że lewica powoli zaczyna sączyć w szkołach jadowitą ideologię.

Argumentem koronnym w tej dyskusji jest to, że na stronie internetowej Departamentu Edukacji Stanu Wirginia zupełnie wprost zaleca się nauczycielom „przyjęcie krytycznej teorii rasy”. Demokraci mają oczywiście rację, mówiąc, że CRT nie ma oficjalnie w programie i nikt nie zmusza nauczycieli, by opowiadali uczniom o świecie przez pryzmat soczewki rasowej, ale jednak pod rządami demokratów było to zalecane. Ostrzegając przed tym zagrożeniem, republikanie zdobyli wśród wyborców dodatkowe punkty, które zadecydowały o zwycięstwie ich kandydata na stanowisko gubernatora Wirginii. „Youngkin sprawił, że GOP stała się Partią Rodziców” – ogłosił w tytule swojego artykułu dziennik „The Wall Street Journal”.

Przenikanie CRT do szkół to problem, który można zauważyć niemal w całym kraju. Nigdzie nie jest on jednak tak widoczny jak w twierdzeniach demokratów: w największych amerykańskich miastach. – Nawet ludzie, którzy są twardym elektoratem demokratów i nienawidzą prawicy, rozumieją, że ich dzieciom sączy się do głów coraz bardziej nieprawdopodobne



FOT. ADRIAN STOK

pryzmat rasy

rzeczy – powiedział „Do Rzeczy” Sohrab Ahmari, mieszkający w Nowym Jorku amerykański publicysta katolicki. – Dziś to już nie tylko wypaczona wizja tolerancji i ludzkiej natury, lecz także sprawy rasowe, które uderzają w nich samych. Biali mają się wstydzić swojego koloru skóry. Ta indoktrynacja dotyczy nie tylko dzieci, lecz także rodziców. W najbardziej elitarnych szkołach również rodzice zapraszani są do szkół na „pogadanki”. Siedząc w kółkach, dyskutują przy takich okazjach o „białych przywilejach”. Najwięksi zwolennicy rewolucji społecznej przyklaskują temu, ale już ludzie o odrobinę mniej radykalnych poglądach zaczynają się drapać po głowie i zastanawiać, do czego to tak właściwie prowadzi...

Aby zrozumieć, dokąd zamierzają zaprowadzić amerykańskie społeczeństwo antyrasistowskie aktywiści, należy zajrzeć do prac guru tego środowiska – dr Robin DiAngelo. To właśnie ta badaczka rasizmu zaproponowała dekadę temu określenie „biała kruchość”, mające ponoć najlepiej tłumaczyć rzekomy problem, na który cierpią ludzie o białym kolorze skóry (sama DiAngelo jest białą). W jednym ze swoich artykułów naukowych tak tłumaczyła tę koncepcję:

„Biali ludzie w USA oraz inne białe społeczeństwa zbudowane przez białych

osadników żyją w środowiskach odizolowanych pod względem rasowym. Ta izolacja napędza nasze oczekiwania, by żyć w komforcie rasowym, równolegle zmniejszając naszą odporność na różnego rodzaju kwestionowanie stosunków rasowych. Nazywam ten brak rasowej odporności »białą kruchością«. »Biała kruchość« to stan, w którym nawet najmniejsze zakwestionowanie pozycji białych staje się czymś niemożliwym do tolerowania i wywołuje cały wachlarz reakcji obronnych, takich jak m.in. spieranie się, unieważnianie, uciskanie, zamykanie się w sobie, a także zarzucanie innym na pałci i niezrozumienia. Te środki obronne służą przywracaniu rasowej nierówności i utrzymywaniu kontroli”.

ŁATKA POGRAŻA CZŁOWIEKA

Jest to genialny w swojej prostocie mechanizm, dzięki któremu każdemu białemu można przypiąć łatkę rasisty, choćby nieświadomego. Każda odpowiedź na pytanie: „Czy jesteś rasistą?” pogrąża człowieka. Wszelkie próby zaprzeczania mogą być łatwo zinterpretowane jako wypieranie. DiAngelo, jedna z głównych amerykańskich propagatorek CRT, ma na tyle mocną reputację specjalistki od rasizmu, że Partia Demokratyczna zaprosiła ją w zeszłym roku,

by wytłumaczyć jej przedstawicielom zasiadającym w Kongresie, czym jest „biała kruchość” i dlaczego fundamentem Ameryki jest rasizm.

Ten sposób patrzenia na rasę coraz mocniej oddziałuje też na instytucje, które w ostatniej kolejności powinny zajmować się taką tematyką. Latem tego roku republikańscy kongresmeni nagłośnili, że w elitarnej akademii w West Point jeden z oferowanych kursów nosi tytuł: „Rozumienie białości i białej wściekłości”. Pytany o to przez republikanów podczas wysłuchania w Kongresie gen. Mark Milley, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, postanowił bronić decyzji o włączeniu CRT do nauczania w akademii, mówiąc: „Chcę zrozumieć białą wściekłość. A jestem biały”. Generał albo nie rozumie, albo nie chce zrozumieć, że „biała wściekłość” to skrajnie ideologiczny termin, który – będąc bliźniakiem „białej kruchości” – jest w istocie pałąk na białą część społeczeństwa.

Dużo łatwiej jest wystąpić przeciw CRT rodzicom chcącym zabezpieczyć swoje dzieci niż wojskowym, którzy z natury rzeczy muszą się wypowiadać bardzo powściągliwie na temat sytuacji w armii. Ale i w wojsku widać oznaki oporu wobec narzucania ideologii będącej w istocie odwróconym rasizmem. Podpułkownik Matthew Lohmeier z US Air Force w maju tego roku wydał książkę „Irresistible Revolution. Marxism’s Goal of Conquest & the Unmaking of the American Military” („Zniewalająca rewolucja. Marksistowski plan podboju i rozbrojenia amerykańskich sił zbrojnych”). Lohmeier bije w niej na alarm, przekonując, że młodzi żołnierze od samego początku służby zmuszani są do studiowania prac przesiąkniętych CRT.

„Celem dla marksizmu nie jest samo wojsko. Jego celem są cywilizacja zachodnia, kapitalizm, silne rodziny. Marksizm jest niezwykle efektywny w budowaniu narracji o uciskanych i uciskających. W istocie jest to zaszczepianie mentalności ofiar. Każdy musi wiedzieć, czym jest krytyczna teoria rasy, jak głęboko jej korzenie sięgają do marksizmu. Sprawia ona, że rasę traktujemy jak soczewkę, przez którą patrzymy na świat. Rasa używana jest jako broń, by siać podział, by ludzie rzucali się sobie do gardeł” – przestrzega Lohmeier, który w sierpniu tego roku został zmuszony przez swoich dowódców do przejścia do cywila.



TRANSPORTOWCY NA IGRZYSKACH

Igrzyska się zmieniają. Po dopuszczeniu na zawody podnoszenia ciężarów z kobietami transkobiety Laurel Hubbard z Australii Międzynarodowy Komitet Olimpijski ogłosił w ubiegłym tygodniu, że żaden sportowiec nie powinien być wykluczany z zawodów z powodu nieuczciwej przewagi ze względu na płeć. I ustalili „ramy” dotyczące włączania transpłciowych osób w zmagania na igrzyskach. To ogólne zasady, w których MKOl proponuje, że np. wcale nie trzeba odnosić się do poziomu testosteronu, by decydować, kto weźmie udział w zawodach. Dodatkowo każda federacja sportowa dla własnej kategorii będzie sobie sama wypracowywała własne zasady. Następne igrzyska będą więc bardzo ciekawe, choć już nie pod względem sportowym.

FOT. DAN MILLAN/GETTY IMAGES

MUZEA Z BANEM ZA SZTUKĘ

Konsorcjum wiedeńskich muzeów ma dość wielkich platform socialmediowych. Technologiczni giganci zawieszają ich konta za... publikowanie dzieł sztuki. Każdy akt malarstwa czy rzeźby spotykał się z cenzurą bez możliwości odwołania i wytłumaczenia, że to uznane dzieła nawet sprzed 100 lat. W lipcu na przykład TikTok zawiesił konto wiedeńskiego Muzeum Albertina za opublikowanie obrazu japońskiego artysty Nobuyoshiego Arakiego, na którym były przesłonięte piersi. Dlatego muzea zawiązały własną inicjatywę, porzuciły Facebooka, Instagrama czy TikToka i przeniosły się na portal OnlyFans. Tam będą pokazywać sztukę bez groźby cenzury.

ROSJANIE NA SWOIM

Kreml miał ambitny program gospodarczy – mniej towarów importować, więcej produkować własnych. Rządowy program ogłoszono w 2014 r. w odpowiedzi na sankcje nałożone na Rosję przez Zachód za zajęcie ukraińskiego Krymu. Wynik? Kompletnie fiasko. Jak oszacowało Centrum Ekspertyz Gospodarczych Instytutu Administracji Państwowej i Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Moskwie, wśród artykułów codziennego użytku (od odzieży do AGD) udział importowanych towarów wynosi 75 proc. i w zasadzie od ostatnich pięciu lat się to nie zmienia.

KSIĄŻKI DO PRZEGLĄDU

Okręgowy Zarząd Szkół Regionu Waterloo w Kanadzie, który sprawuje nadzór edukacyjny nad kilkudziesięcioma tysiącami uczniów w ponad stu placówkach, zarządził przegląd książek w szkolnych bibliotekach. Sprawdzana ma być treść książek – czy odpowiada osiągnięciu celów związanych z przestrzeganiem praw człowieka i „równością”. Przedstawiciele Zarządu już zapowiedzieli, że książki, które dawniej nie wydawały się szkodliwe, ale teraz już takimi są, zostaną usunięte ze zbiorów.

KLIENCI PRZESKANOWANI

Australijska sieć sklepów wielobranżowych 7-Eleven dała do wypełnienia klientom ankiety. Na tabletach. A każdy z tabletów robił klientom zdjęcie twarzy przed wypełnieniem ankiety i po nim, po czym specjalne algorytm rozpoznawania twarzy katalogowały zeskanowanych klientów na serwerach. Sklep tłumaczył, że zebrał dane biometryczne klientów, aby uniemożliwić np. nierzetelnym pracownikom wypełnianie wielu ankiet fikcyjnie. Po wybuchu afery firma tłumaczyła, że technologia rozpoznawania twarzy to nie jest zbieranie „danych osobowych”. © ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Ceny pod kontrolą?

Rządy Chorwacji i Węgier, walcząc z szybko rosnącą inflacją, podjęły decyzję o nietypowej interwencji na rynku paliw. Zgodnie z decyzją władz w Zagrzebiu ceny paliw zostały zamrożone na 30 dni. Jeszcze dalej poszedł szef rządu w Budapeszcie. Viktor Orbán ogłosił, że od 15 listopada przez kolejne trzy miesiące ceny benzyny i oleju napędowego nie będą mogły przekraczać na stacjach benzynowych 480 forintów (równowartość 6,09 zł).

I co? Wbrew obawom lokalnej opozycji Węgrzy nadal mają gdzie tankować. Ceny na większość

węgierskich stacji spadły do 479,99 forintów, a na niektórych nawet bardziej. Ze względu na niską stawkę akcyzy koszty tej operacji finansują ze swojej marży właściciele stacji. Na potencjalnych oszustów czekają gigantyczne kary. Swoje zyski będą też zapewne musiały ograniczyć koncerny paliwowe. Ale i one mają z czego ciąć. Węgierski MOL opublikował w tym roku wyniki za drugi kwartał, które były najlepsze w całej historii firmy. I nie osiągnąłby tego, gdyby nie wcześniejsze rządowe pakiety antykrzysowe.

Oczywiście ręczne sterowanie to na dłuższą metę fatalny pomysł. Podczas trwającego

obecnie kryzysu to europejskie i amerykańskie władze sztucznie wykreowały odbicie gospodarcze i źle odczytując problem – tym razem kłopotem nie jest brak popytu, ale poprzerywane łańcuchy dostaw i za mała podaż – w wielu krajach świata wywołały rekordową inflację. Interwencje takie jak w Chorwacji czy na Węgrzech – i to dotyczące nie tylko rynku paliw, lecz także np. prądu czy żywności – mogą się więc okazać konieczne, aby rządy zachodniego świata nie musiały uczyć się od władz Zimbabwe, jak upchać na jednym banknocie po kilkanaście zer. © ©

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**TAJEMNICA WYROKU
NA DOWÓDCĘ
MUSZKIETERÓW**

Jacek Bartosiak – Trzecia wojna światowa

Jan Sadkiewicz – Koniec Pax Americana?

Mikołaj Iwanow – Mord w rodzinie Stalina

Jakub Polít – Chiny: z dna na szczyt

Piotr Zychowicz – Esesmani w niewoli

Jakub Ostromięcki – Prawda o czterech pancernych

Iain Ballantyne – Sekrety wojny podwodnej

Krzysztof Masłoń – Sylwetka Jana Himilsbacha

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

PZU poprawia historyczne wyniki i rośnie dalej

Grupa PZU ponownie zwiększa sprzedaż i zysk. Po trzech kwartałach 2021 r. wypracowany zysk netto przypisany akcjonariuszom jednostki dominującej wzrósł rok do roku ponad dwukrotnie – do 2,4 mld zł. To najwyższa od sześciu lat wartość osiągnięta po tej części roku. Największy polski ubezpieczyciel notuje też historycznie wysoki przypis składki brutto z ubezpieczeń, od początku roku w ujęciu narastającym wyniósł on 18,3 mld zł



dr hab. Beata Kozłowska-Chyła, prezes PZU

Od początku tego roku konsekwentnie prezentujemy bardzo dobre wyniki. Po trzech kwartałach wypracowaliśmy ponad dwukrotnie wyższy zysk rok do roku, osiągając już w tej części roku poziom 127 proc. wyniku za cały rok 2020. Wskaźnik ROE za ten okres wyniósł 17,9 proc., co oznacza poprawę rok do roku aż o 8,6 punktu procentowego i przekroczenie poziomu założonego w strategii. Pierwszy raz w historii PZU po trzecim kwartale roku przekroczyliśmy próg 18 mld zł przypisu składki – mówi dr hab. Beata Kozłowska-Chyła, prezes PZU.

Zysk netto Grupy PZU przypisany właścicielom jednostki dominującej wyniósł po trzech kwartałach 2021 r. 2,43 mld zł. Jest to wzrost o 104 proc. rok do roku i najwyższy wynik zanotowany za ten okres w ciągu ostatnich sześciu lat. Oznacza to zwrot na kapitale (ROE) po okresie styczeń-wrzesień br. na poziomie 17,9 proc. (wobec 9,3 proc. w tym samym okresie 2020 r.). – To rezultaty osiągnięte przede wszystkim dzięki rosnącej sprzedaży i dobrej rentowności produktów ubezpieczeniowych. Jest to efekt wielkiego zaufania, którym darzą nas klienci, oraz pracy i zaangażowania naszych pracowników, agentów, współpracujących z nami multiagencji, brokerów – dodaje prezes PZU.

Grupa PZU osiągnęła także dobry wynik inwestycyjny – przy bardzo niskich wówczas stopach procentowych zwrot na portfelu przekroczył stopę wolną od ryzyka o 3 punkty procentowe w samym trzecim kwartale i o 5 punktów procentowych po trzech kwartałach 2021 r. Działalność bankowa (Bank Pekao i Alior Bank) wniosła do wyniku netto Grupy w trzecim kwartale 177 mln zł.

WIĘKSZY POPYT NA UBEZPIECZENIA PZU

Składka przypisana brutto po trzech kwartałach 2021 r. wzrosła o 5,5 proc

rok do roku – do 18,3 mld zł, a w samym trzecim kwartale do 5,9 mld zł, co również oznacza wzrost o 5,5 proc. Rok do roku. To oznacza, że PZU osiągnął rekordową sprzedaż ubezpieczeń w tej części roku.

W samym trzecim kwartale br. składka w ubezpieczeniach majątkowych i pozostałych osobowych w Polsce wzrosła o 10 proc. rok do roku (do 3,16 mld zł), przy czym sprzedaż ubezpieczeń komunikacyjnych wzrosła o 4 proc. rok do roku, a w przypadku ubezpieczeń innych niż komunikacyjne aż o 20 proc. rok do roku (do 1,14 mld zł). – Dynamiczny rozwój oferty pozakomunikacyjnej jest tym bardziej istotny, że dywersyfikuje nasz segment majątkowy i zmniejsza wpływ na jego rentowność ubezpieczeń komunikacyjnych, które są pod presją m.in. niskich cen polis i rosnących kosztów napraw – wskazuje Tomasz Kulik, członek zarządu PZU i dyrektor finansowy.

W ubezpieczeniach na życie składka po trzech kwartałach 2021 r. wzrosła o 2,1 proc. rok do roku. Na wyniki w tym segmencie w trzecim kwartale znacznie mniejszy wpływ miała zwiększona przez COVID-19 śmiertelność, dlatego rentowność w ubezpieczeniach grupowych i indywidualnie kontynuowanych wzrosła do blisko 22 proc., czyli do poziomu sprzed pandemii. Zwiększone zainteresowanie Polaków ochroną życia i zdrowia sprawiło, że najszybciej rósł popyt na indywidualne ubezpieczenia ochronne (wzrost o 23,4 proc. rok do roku po trzech kwartałach br. i o 9,6 proc. w samym trzecim kwartale).

NOWE PRODUKTY, KANAŁY SPRZEDAŻY I OBSZARY BIZNESOWE

Grupa PZU, jedyny polski konglomerat finansowy wśród największych działających w Unii Europejskiej, to dziś znacznie więcej niż ubezpieczenia – również usługi medyczne i zdrowotne, zarządzanie aktywami, usługi bankowe i wiele innych. – Trzeci kwartał potwierdził, że bardzo szybko i skutecznie realizujemy przyjętą w końcu marca br. strategię na lata 2021–2024. Chodzi nie tylko o osiągnięte wyniki, lecz także o wdrażane nowe produkty, które budują spójne ekosystemy biznesowe, oraz o wejście w nowe dla nas segmenty rynku i konsekwentny rozwój kanałów sprzedaży, w tym zewnętrznych. Choć pandemia wciąż rzuca cień na

nasze życie i gospodarkę, PZU rozwija się dynamicznie – mówi prezes PZU dr hab. Beata Kozłowska-Chyła.

Wysoką dynamikę rozwoju pokazuje PZU Zdrowie. Przychody spółki po trzech kwartałach 2021 r. wyniosły bez mała 865 mln zł, rosnąc rok do roku o 26,3 proc. Szczególnie istotny był wzrost przychodów generowanych przez placówki – o 32,4 proc. rok do roku, a także wzrost sprzedaży ubezpieczeń zdrowotnych o ponad 21 proc. rok do roku. Liczba umów posiadanych przez PZU Zdrowie wzrosła do 2,9 mln.

Aktywa klientów zewnętrznych pod zarządzaniem (TFI PZU, Pekao TFI i Alior TFI) po trzech kwartałach tego roku wzrosły o 23 proc. rok do roku – do 37,5 mld zł. W tym aktywa TFI PZU zwiększyły się o 26 proc. – do 14,2 mld zł. W trzecim kwartale TFI PZU było w Polsce liderem pod względem napływu środków wśród „niebankowych” TFI. Wyróżnia je też korzystna struktura zgromadzonych aktywów, w której dominują te związane z trzecim filarem emerytalnym (PPE i PPK). Aktywa netto zgromadzone w PPK to już ponad 1,1 mld zł, czyli cztery razy więcej niż rok wcześniej i o 35 proc. więcej niż we wcześniejszym kwartale br.

PZU sukcesywnie poszerza ofertę i zagospodarowuje różne obszary rynku finansowego. W trzecim kwartale br. zaoferował m.in. unikalne, samodzielne ubezpieczenia instalacji OZE dla klientów indywidualnych, gospodarstw rolnych i małych firm (PZU Eko Energia) oraz dla dużych klientów korporacyjnych (PZU Energia Wiatru i PZU Energia Słońca), chroniące nie tylko urządzenia i infrastrukturę do produkcji odnawialnej energii, lecz także korzyści osiągane z tego tytułu przez ich właścicieli. Ubezpieczyciel wszedł też na nowy rynek, wprowadzając abonamenty PZU Sport, których operatorem jest PZU Pomoc. Dają one użytkownikom dostęp do 2750 siłowni, klubów fitness i innych obiektów sportowo-rekreacyjnych w całej Polsce. PZU Sport to zapowiedziane w strategii dopełnienie ekosystemu zapłaconych benefitów pracowniczych, oferowanych pracodawcom (ubezpieczenia majątkowe i na życie, abonamenty medyczne, pożyczki PZU Cash), które wkrótce zostanie zintegrowane na wspólnej platformie. Zaawansowane są też prace nad inną zaplanowaną w strategii platformą, która skupi cały ekosystem dotychczasowych

i nowych produktów i usług PZU dla kierowców.

Bardzo szybko rozwija się sprzedaż ubezpieczeń PZU poprzez banki. Na rynku bancassurance narodowy ubezpieczyciel jest niekwestionowanym liderem. Po trzech kwartałach 2021 r. składka ubezpieczeniowa uzyskana przez PZU we współpracy ze wszystkimi bankami wyniosła 1,5 mld zł (wzrosła rok do roku o 33,4 proc.). Jeszcze lepsze rezultaty przyniósł rozwój synergii z bankami z Grupy PZU. Składka pozyskana poprzez Bank Pekao i Alior Bank wzrosła rok do roku ponad dwukrotnie – do ponad 1 mld zł. Ta współpraca przynosi korzyści również bankom, np. na koniec sierpnia tego roku suma kredytów i depozytów pozyskanych przez PZU dla Pekao przekroczyła 860 mln zł.

DOBRE PERSPEKTYWY

– Oceniamy kompozycję wyników pozytywnie. Doceniamy znaczący spadek szkodowości w segmencie ubezpieczeń na życie, na uwagę zasługuje także bardzo wysoka dynamika sprzedaży ubezpieczeń majątkowych pozakomunikacyjnych oraz solidny wynik inwestycyjny na portfelu głównym. Niepokojący może wydawać się wzrost odszkodowań w ubezpieczeniach majątkowych, chociaż ich charakter w trzecim kwartale powinien być sezonowy. Na tle ubezpieczycieli europejskich PZU wyróżnia się bardzo wysoką rentownością i mocnymi wskaźnikami kapitałowymi, które powinny być gwarantem dalszych sowingich dywidend. Po dziewięciu miesiącach 2021 r. PZU zrealizowało 83 proc. prognozy rocznej rynku co do zysku, co oznacza, że można oczekiwać pozytywnej rewizji konsensusu – ocenia Michał Konarski, analityk BM mBanku.

W listopadzie agencja S&P Global Ratings podtrzymała dla Grupy PZU ocenę ratingową na poziomie A – z perspektywą stabilną. To jedna z najwyższych ocen w polskim sektorze finansowym. Siłę kapitałową PZU oszacowano na najwyższym poziomie AAA. Nawet po uwzględnieniu wypłacenia przez spółkę dywidendy w rekordowej w tym roku na warszawskiej giełdzie w wysokości ponad 3 mld zł, wskaźnik wypłacalności Solwency II pozostaje na poziomie znacznie przekraczającym 200 proc. To bufor bezpieczeństwa, dzięki któremu PZU jest dobrze przygotowany na każdy scenariusz gospodarczy.



Jacek Przybylski

Nadchodzi weekend wielkich wyprzedaży. „Czarny piątek”, święto amerykańskich konsumentów, przyjęł się w Polsce o wiele lepiej niż Halloween. Ponad połowa Polaków odkłada zakupy do „czarnego piątku”, licząc na przeceny. Jednocześnie niemal połowa z nas dostrzega w tym okresie cenowe manipulacje sprzedawców



Piątek 26 listopada. Tę datę w kalendarzach od tygodni ma wyraźnie zaznaczoną wiele milionów klientów na całym świecie. Tego dnia przypada bowiem w tym roku słynny Black Friday, czyli „czarny piątek”. Sklepy w Stanach Zjednoczonych, a za nimi również w Europie, od kilkadziesiąt lat otwierają wówczas lukratywny dla siebie sezon bożonarodzeniowych zakupów i ogłaszają promocje na elektronikę, odzież, kosmetyki, buty, walizki, książki, zabawki, biżuterię, a także telewizory, lodówki, pralki etc. Zwyczaj czarnopiątkowych wyprzedaży przyjęł się również nad Wisłą. W Polsce – podobnie jak w wielu zachodnich krajach – święto sprzedawców i kupujących szybko wydłużyło się o nadchodzący po Black Friday „cyber monday”, „cyfrowy poniedziałek”, a w wie-

produktów, tak by nie paść ofiarą legendarnego majstrowania przy rabatach. Wielu z nich przy okazji włącza różnego rodzaju powiadomienia i subskrybuje profile marek w mediach społecznościowych, aby od razu dowiedzieć się, że akcje promocyjne ruszyły – zauważa Maja Wiśniewska, marketing manager SMSAPI. Analiza agencji badań rynku SW Research i Allegro pokazała zaś, że 54 proc. deklaruje, iż właśnie do „czarnego piątku” wstrzymuje się z dokonywaniem świątecznych zakupów. Co trzeci kupujący rodak nie zamierza jednak biegać po sklepach i wszystkie wymarzone produkty nabyć wyłącznie przez Internet. Z tego samego badania wynika, że cztery Polki na dziesięć zamierzają w najbliższy weekend polować na okazyste ceny ubrań i kosmetyków. Z kolei panowie poszukują elektroniki oraz sprzętu RTV i AGD.

Wielkie święto konsumpcjonizmu

lu sklepach już od kilku tygodni w gazetkach pełno jest informacji o promocjach w ramach „czarnych tygodni”.

Marketing na globalną skalę przynosi nieźle rezultaty. W serwisie YouTube wiele jest filmików ukazujących tłum szturmujący supermarkety z powodu promocji markowych butów. Wiele incydentów kończyło się interwencją ochrony lub policji, a w niektórych przypadkach dochodziło nawet do strzelaniny. Według badania zrealizowanego przez agencję BioStat dla SMSAPI niemal dwie trzecie ankietowanych Polaków odkłada zakupy do „czarnego piątku”, licząc na przeceny produktów. A aż 62,5 proc. respondentów w ciemno zapowiada, że zrobi zakupy podczas „czarnego piątku” lub w następujący po nim „cyfrowy poniedziałek”.

RABATY CZY PODWYŻKI?

– Wygląda na to, że Black Friday wychował nową generację konsumentów, którzy już miesiąc wcześniej wiedzą, co chcieliby kupić, i przygotowują się do polowania na okazje. Na początku zapewne tylko sprawdzają aktualne ceny interesujących

Obniżki w sklepach stacjonarnych oraz internetowych potrafią sięgać nawet 80 proc. Niekiedy rzeczywiście można tego dnia kupić atrakcyjne produkty po mocno obniżonych cenach. W jednej z sieci sklepów koszula przeceniona jest z 39,99 zł na 7,99 zł. W innej cena szczoteczki elektrycznej spadła o 48 proc. Często zdarza się jednak, że dany sklep z obniżkami „do 80 proc.” maksymalny rabat daje akurat na niezbyt popularny model buta i to wyłącznie w rozmiarze 45. Reszta produktów jest w normalnej cenie lub nawet nieco droższa, niż była jeszcze w sierpniu czy we wrześniu. Wielu Polaków poniekąd słusznie globalne święto konsumpcjonizmu uważa więc za dzień lub weekend „wielkiej ściemy”. Obserwacje konsumentów potwierdzają wyniki profesjonalnych analiz. Według raportów firmy Deloitte mimo plakatów i reklam krzyczących o obniżkach w roku 2020 podczas „czarnego piątku” rzeczywista skala obniżek wyniosła średnio zaledwie... 3,4 proc. W 2019 r. rabaty w analizowanych sklepach wynosiły średnio 4 proc., a jeszcze rok wcześniej 3,5 proc. Co gorsza, z analizy cen 6,9 tys. produktów

wynika, że w przypadku 69 proc. nie uległa ona zmianie, a w przypadku 17 proc. odnotowano wzrost, a nie spadek ceny. W ubiegłym roku według Deloitte podczas „czarnego piątku” w Polsce najwięcej można było zyskać, kupując inteligentne głośniki (ich cena była o 12 proc. niższa), smartfony (w promocjach można je było kupić taniej średnio o 10 proc.) oraz gry komputerowe (w tym przypadku średni spadek ceny wyniósł 6 proc.). Bardzo ostrożnym warto być za to przy zakupie tabletów (w tym przypadku odnotowano wzrost ceny o 6 proc.), zabawek (ich średnia cena poszybowała w górę od 6 nawet do 17 proc.) i konsoli (zdrożały średnio o 13 proc.). Podobnie rzecz z „promocjami” miała się w „cyfrowy poniedziałek”: 82 proc. cen się nie zmieniło, 8 proc. przedmiotów przeceniono, a 10 proc. okazało się droższych zamiast tańszych.

Ekspert z Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów regularnie przed Black Friday ostrzegają więc wprost: „Konsumencie – nie daj się oszukać”. I wymieniają kilka popularnych tricków sprzedawców, z którymi muszą się mierzyć konsumenci. Jest wśród nich wspomniana wyżej żonglerka cenami, czyli podnoszenie ich na krótko przed

„czarnym piątkiem”, aby w dniu wielkich wyprzedaży móc poinformować o obniżce.

Drugi kruczek to promocyjne „przynęty”, które dotyczą tylko wybranych produktów. Zdarza się też, że zamiast deklarowanej wysokiej obniżki ceny klient otrzymuje mniejszy rabat. Czwarty trick sprzedawców to „błąd systemu” – czyli oferowanie danego produktu w mocno obniżonej cenie, a następnie informowanie, że zamówienie nie może być zrealizowane. Tak w ubiegłym roku wielu Polaków potraktował np. „system” znanego producenta obuwia, przez co klienci – w tym autor tego artykułu – poczuli się zwyczajnie oszukani. Jak poinformowało „Do Rzeczy” biuro prasowe UOKiK, urząd przygotował zmiany prawne implementujące tzw. dyrektywę omnibus. Mają one wyeliminować sytuacje, w których sprzedawcy sztucznie zawyżają ceny towarów czy usług tuż przed zastosowaniem obniżek. Zgodnie z projektem przedsiębiorca będzie miał obowiązek uwidaczniać obok informacji o obniżonej cenie również informację o najniższej cenie tego towaru lub usługi, jaka obowiązywała w ciągu 30 dni przed wprowadzeniem obniżki.

Tuż przed sezonem wyprzedaży analitycy z FortiGuard Labs firmy Fortinet

zaobserwowali też więcej oszustw związanych z fałszywymi stronami internetowymi, które podszywają się pod oryginalne witryny sklepów.

OKAZYJNIE NIEPOTRZEBNE

W szaleństwie „czarnego piątku” – podobnie jak w przypadku innych sztucznie wykreowanych „tradycji” – warto więc pamiętać o zachowaniu zdrowego rozsądku. Koniec listopada to bowiem okres, w którym wielu klientów łamie ręce, nogi i klawiatury, aby wyprzedać innych w walce o przeceniony towar, który... jest im zupełnie niepotrzebny. Prowadzone w USA badania pokazują, że jedna czwarta Amerykanów uważa, że ma problem ze zbyt dużą liczbą rzeczy. Nic dziwnego: w przeciętnym amerykańskim domu znajduje się bowiem aż 300 tys. przedmiotów. W okolicach „czarnego piątku” psycholodzy, neurochirurdzy i inni specje tłumaczą więc telewizjom, dlaczego tak trudno jest przestać kupować na promocjach. Zanim więc kupi się kolejny, jeszcze większy telewizor, 30. markowy T-shirt lub 200. zabawkę dla dziecka, warto przemyśleć, czy jeszcze większą okazją nie jest zaoszczędzenie tych pieniędzy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Na straży odporności

Tej jesieni same witaminy i minerały mogą nie wystarczyć. Warto sięgnąć po Immulinę!

Immulina, oprócz witamin i minerałów, dostarcza specjalne związki immunoaktywne. Składniki te działają synergistycznie, dlatego jeszcze skuteczniej wspierają odporność. Poprawę odporności stwierdza się już po kilku dniach przyjmowania Immuliny, a do tego, jej działanie jest tym skuteczniejsze, im odporność jest słabsza.

Immulina, w postaci syropu dla dzieci oraz kapsułek dla młodzieży i dorosłych jest dostępna w aptekach bez recepty.

Bezpieczeństwo oraz skuteczność Immuliny potwierdziły badania w renomowanych ośrodkach USA i Skandynawii.



Suplement diety

Informacje: Phytomedica Polska, tel. 22 651 75 40, e-mail: info@phytomedica.pl, <http://immulina.pl>.



Z Witoldem Solskim i Katarzyną Kosakowską, przewodniczącym i wiceprzewodniczącą Komisji Krajowej Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Samozatrudnionych „wBREw”

rozmawia Ryszard Gromadzki



FOT. ADRIAN STOK

Głosy pozbawionych głosu

RYSZARD GROMADZKI: Po co samozatrudnionym związek zawodowy? Czy są jakieś sytuacje, które w rzeczywisty sposób łączą tak bardzo różnorodne środowisko?

WITOLD SOLSKI: Społeczeństwo to zbiór ziaren piasku, które, gdy nie są czymś spajane, rozdmuchuje wiatr dziejów. My się zjednoczyliśmy. 10 września został zarejestrowany Ogólnopolski Związek Zawodowy Samozatrudnionych „wBREw”. Samozatrudnieni to zróżnicowana grupa. Wśród nich znajdują się tacy, którzy prowadzą na własną odpowiedzialność i ryzyko działalność gospodarczą jako przedsiębiorcy. W ramach tej działalności świadczą pracę, najczęściej w postaci usług, na rzecz jednego bądź kilku podmiotów. Druga grupa to wszyscy ci, którzy nie są przedsiębiorcami, a pracę świadczą na podstawie cywilnoprawnej umowy, takiej jak zlecenie, umowa o świadczenie usług, w ramach umowy agencyjnej czy umowy o dzieło.

Jednych i drugich charakteryzuje to, że przy wykonywaniu pracy nie zatrudniają innych osób ani też nie korzystają z cudzej pracy na podstawie umów cywilnoprawnych. Dla części z nich pozostawanie na „samozatrudnieniu” jest przymusem, dla innych – wyborem.

Czy ktokolwiek w Polsce ma miarodajną wiedzę co do liczby samozatrudnionych?

W.S.: Ilu jest samozatrudnionych, nikt nie wie. Nikt nie wyodrębnia z grupy mikroprzedsiębiorców tych wszystkich, którzy prowadzą przedsiębiorstwo, ale nikogo nie zatrudniają. Nikt też nie liczy „zleceniowców” ani pracowników tymczasowych, zwłaszcza cudzoziemców. Zupełnie nikt nie wie, ile osób świadczy pracę, korzystając z pośrednictwa różnych platform. Szacujemy tę pulę na znacznie ponad 3 mln ludzi, czyli 20 proc. świadczących pracę w Polsce. Jeśli brać pod uwagę wyliczenia GUS, to

teoretycznie samozatrudnionych jest 2,5 mln, bo tyle jest liczebnie działalności gospodarczych prowadzonych przez osoby fizyczne. Ale GUS do jednego worka wrzuca także tych, którzy prowadząc taką działalność, wykorzystują do realizacji zleceń podwykonawców. Dlatego uważamy, że bardziej zgodne z rzeczywistością są dane podawane przez Polski Instytut Ekonomiczny, wskazujący, że jest ich w Polsce 1,6 mln. Jednak dane PIE też nie uwzględniają istotnej liczebności grupy „zleceniowców”.

Bezsprzecznie w Polsce aktywnych zawodowo jest 16,5 mln ludzi, czyli samozatrudnieni to 10 proc. z nich.

Można wyodrębnić jakieś „znaki szczególne” osób decydujących się na samozatrudnienie?

KATARZYNA KOSAKOWSKA: Są to osoby przedsiębiorcze, samodzielne, innowacyjne, zasilające budżet ogromnymi podatkami. I całkowicie pomijane przez

państwo jako pracobiorcy. Jesteśmy dla kolejnych rządów jedynie źródłem dochodów podatkowych, rozproszoną grupą przedsiębiorców, z którą nie trzeba się specjalnie liczyć i którą można dociskać daninami. Nie bez powodu mówi się, że nie powstała i nie powstanie partia polityczna przedsiębiorców. My mówimy, że do 2019 r., kiedy weszły w życie zmiany w ustawie o związkach zawodowych, nie mogła powstać żadna inna licząca się siła społeczna, której tron stanowiliby samozatrudnieni.

Ze względu na rozproszenie i brak reprezentacji samozatrudnieni byli dla kolejnych rządów łatwym celem. Można było „dociskać” ich bez ryzyka strajków czy ulicznych protestów. Jak chcecie to zmienić?

K.K.: „wBREw” już zmienia tę sytuację i aktywnie reprezentuje samozatrudnionych tam, gdzie ich interesy, bez względu na branżę, są wspólne. Tak właśnie było w przypadku propozycji Polskiego Ładu, gdzie przy tzw. uldze dla klasy średniej całkowicie pominięto samozatrudnionych. Zgłosiliśmy nasze uwagi, lobbowaaliśmy przy wsparciu parlamentarzystów i samozatrudnieni otrzymali tę ulgę. Dlatego uważamy, że wbrew rozproszeniu branżowemu – od medyków przez informatyków do lektorów językowych i ochroniarzy – samozatrudnieni mają wspólne potrzeby i interesy, które ich łączą.

Stanowicie konkurencję czy raczej rodzaj alternatywy dla istniejących związków zawodowych?

W.S.: Branżowe związki zawodowe czy upolitycznione tradycyjne związki – „S” i OPZZ – tego nie robią. Naszym zdaniem samozatrudnionych może chronić tylko organizacja działająca merytorycznie i apolitycznie. Dlatego w przeciwieństwie do innych organizacji my nie mamy roszczeń, my mamy postulaty i chcemy o nich rozmawiać. Organizacje przedsiębiorców i pracodawców są w znacznej mierze lobbystami, utrzymywanymi po części z budżetu, a po części z funduszy składkowych samych zainteresowanych. Dialog trójstronny, który Rada Dialogu Społecznego winna prowadzić, w czasie pandemii zamilkł. Czy dlatego, że rząd zdecydował się wspierać tylko tych, którzy wystarczająco skwapliwie ruszyli po pomoc, czy z innych powodów, jednak okazało się, że RDS jest w zasadzie zbędna, a dialog może toczyć się również poza Radą. Z naszej perspektywy dialog,

bez względu na forum, ale z pominięciem samozatrudnionych, nie może prowadzić do wypracowania dobrych rozwiązań. Nie będziemy palić opon i rozrzucać obornika, sprawczość naszym zdaniem tkwi w czymś innym.

Przedsięwzięcie, które firmujecie, z punktu widzenia władzy może wydawać się dość ekscentryczne. Nie obawiacie się, że rząd zlekceważy was jako partnera do rozmów?

K.K.: Władza nie zawsze chce rozmawiać, ale potrafimy sprawić, by musiała do stołu rozmów usiąść. Właśnie dlatego jesteśmy związkiem zawodowym, a nie inną organizacją społeczną czy typową „pozarządówką”. Dialog ze związkiem, jak wiadomo, rodzi zupełnie inne konsekwencje i zobowiązania niż dialog z NGO. Trudniej się od nich uchylić. Nam tymczasem osobowość związkowa pozwala organizować samozatrudnionych w struktury, zajmować przestrzeń w dialogu z pracodawcą, realizować prawo do sporu zbiorowego, w tym również do strajku. Strajk samozatrudnionych nie jest abstraktem: proszę sobie wyobrazić dużego kontrahenta, na przykład giganta handlu internetowego, który współpracuje z wieloma samozatrudnionymi, faktycznie narzucając im warunki pracy i płacy, a także procedury bezpieczeństwa. Żaden z nich sam się nie odezwie, ale gdy stanie za nimi OZZS „wBREw”, mogą wejść w spór zbiorowy, rozpocząć strajk i skutecznie zmusić kontrahenta do zmiany warunków płacy czy zapewnienia bezpiecznych i higienicznych warunków pracy, zachowując, zgodnie z procedurami, prawo do wynagrodzenia za czas strajku.

Co konkretnie macie do zaoferowania ludziom, którzy pracują na podstawie samozatrudnienia?

W.S.: Wśród naszych sztandarowych projektów znajdują się „Wakacje dla samozatrudnionych” – jak to określamy roboczo – i to też jest coś, co dajemy samozatrudnionym, którzy są przez ZUS traktowani wyłącznie jako przedsiębiorcy, pracodawcy, a nie jako pracobiorcy. I dlatego nie należy im się płatny urlop, tylko co najwyżej

taki, za który sami sobie zapłacą. A do tego za karę zapłacą ZUS za to, że jadą na urlop. Absurd, z którym walczymy, proponując stosowne zmiany w prawie polegające na tym, by zwolnić samozatrudnionego z konieczności płacenia części składki ZUS, gdy deklaruje urlop.

Inny kierunek działań to definicja prawna i opis samozatrudnionych jako grupy społecznej. O strukturze tej grupy nie wiedzą nic ani ZUS, ani GUS, ani NBP, ani inne instytucje, które badają rynek pracy. Nikt dotąd nie zrobił przekrojowych badań osób prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą. Tymczasem w całej Europie rola samozatrudnionych w gospodarce rośnie, a nie maleje. W Niemczech na przykład, gdy mowa jest o stosowaniu uprawnień, także o charakterze zbiorowym w odniesieniu do samozatrudnionych, przyjmuje się, że samozatrudniony to osoba, której 50 proc. dochodu pochodzi z kontraktu z jednym partnerem biznesowym. Z kolei w Hiszpanii przyjęto, że jest to 75 proc. dochodu. Warto takie kryteria ustalić także w Polsce i nadać im konkretny wymiar legislacyjny. Drogą ku czarciej zapadce jest bliskoznaczny test przedsiębiorcy lokujący opodatkowanie wyższą składką ZUS osoby z przestrzeni kognitarnian, czyli świadczących wysublimowane usługi intelektualne.

Słuchając państwa argumentów i konfrontując je z szarą rzeczywistością, nie mogę oprzeć się wrażeniu pewnej utopii...

K.K.: To żadna utopia. Praca dziś nie może być traktowana jako towar, a wynagrodzenie – jako cena za ten towar. Praca winna być rozumiana jako proces współdziałania grupy ludzi, w którym jedni z jej efektu czerpią więcej, a drudzy mniej. Nie mówimy o tym, by wszyscy otrzymywali równe korzyści, lecz by te korzyści były dzielone sprawiedliwie. Z zachowaniem godności człowieka – pracobiorcy, ponieważ praca nie może być zaszczytną drogą do życia i śmierci w ubóstwie. Musimy realizować własne pomysły na życie, bo jeśli nie, to będziemy realizowali cudze i obce, by nie powiedzieć – wrogie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Katarzyna Kosakowska

– wiceprzewodnicząca Komisji Krajowej Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Samozatrudnionych „wBREw”



Witold Solski

– przewodniczący Komisji Krajowej Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Samozatrudnionych „wBREw”

Katastrem w klasę średnią?



FOT. ADRIAN STOK



Łukasz Warzecha

Polakom nie jest łatwo gromadzić majątek, a nowy podatek by to jeszcze utrudnił

Nie wierzę w wiadomości niezde-mentowane – zwykły powtarzać książkę Aleksander Górczakow, XIX-wieczny minister spraw zagranicznych Cesarstwa Rosyjskiego. Ta maksyma wytrawnego rosyjskiego dyplomaty sprawdza się zaskakująco często, gdy idzie o kolejne projekty rządu. Ministerstwo Finansów jeszcze we wrześniu zapewniało na przykład, że nie pracuje nad podwyższeniem akcyzy na wyroby tytoniowe i alkohol, a informacje na ten temat nazywało wprost fake newsami, żeby mniej więcej miesiąc później przedstawić projekt dotyczący właśnie tego.

Jeśli by zastosować identyczną regułę do podatku katastralnego, to powinniśmy zacząć się bać. Kataster, czyli podatek od wartości nieruchomości, to jeden z najczęściej dementowanych przez polskich polityków pomysł. Oskarżenia o chęć jego wprowadzenia, a także zapowiedzi, że w jakiejś formie

się pojawi, padały wiele lat temu. Jeszcze w 2007 r., a więc pod koniec pierwszych rządów PiS, ówczesny wicepremier Przemysław Gosiewski (zginął w katastrofie smoleńskiej trzy lata później) oznajmił podczas wizyty w Kielcach, że podatek katastralny w tradycyjnej formie „miałby charakter wywłaszczeniowy”, nie zaprzeczył jednak, że w jakiejś postaci się pojawi. Zastrzegł natomiast, że miałyby być jak najniższy i być wprowadzony „jak najpóźniej” – cokolwiek miałyby to oznaczać.

W 2015 r., w czasie kampanii wyborczej, politycy PiS, w tym obecny minister infrastruktury Andrzej Adamczyk, twierdzili, że to Platforma chce wprowadzenia katastru. Politycy PO z kolei odżegnywali się od tego pomysłu, przypominając za to wspomniane wypowiedzi Gosiewskiego. Teraz temat wraca – co jakiś czas pojawiają się informacje o tym, że wobec problemów na rynku mieszkaniowym władza jednak zdecyduje się na wprowadzenie tego rozwiązania. Owszem, zaprzeczał temu już dwa lata temu sam Jarosław Kaczyński, było to jednak, zanim sam przyznał, że program „Mieszkanie+” okazał się porażką. Teraz zaprzecza między innymi niezawodna wiceminister rozwoju Olga Semeniuk, nie są to już jednak zaprzeczenia jednoznaczne. Owszem, katastru „normalnego” ma nie być,

ale jakieś katastrofopodobne rozwiązania – niewykluczone.

CZY TRZEBA „KORYGOWAĆ” RYNEK?

Wśród polityków obozu władzy, który w swoim DNA ma etatyzm – a więc upodobanie do interwencji państwa, gdzie się tylko da – panuje przekonanie, że jakaś forma „skorygowania” rynku nieruchomości jest konieczna. Jako winowajców niedoboru mieszkań lub ich sztybujących cen wskazuje się najczęściej dużych inwestorów oraz fundusze, które skupują nowe lokale, żeby je następnie wynajmować. W październiku Piotr Skuza, wiceminister finansów, tradycyjnie odżegnywał się od podatku katastralnego, ale już nie od opodatkowania większej liczby mieszkań, będących w posiadaniu jednej osoby czy firmy.

Czy jednak faktycznie to wielkie fundusze i „spekulanci” są winni temu, że popyt na mieszkania przekracza podaż, a ceny nowych lokali rosną oszałamiająco? Samo Ministerstwo Rozwoju przyznało, że spekulacyjne transakcje to zaledwie kilka procent ogólnej liczby, a zakupy dokonywane przez fundusze – około procentu. Innymi słowy – nie może to mieć wpływu na obecną sytuację. Wzrost cen mieszkań to skutek przede wszystkim inflacji, w tym galopady cen

wszelkiego rodzaju materiałów budowlanych. W sklepach i hurtowniach cenniki obowiązują obecnie przez dwa tygodnie lub nawet tylko przez tydzień. Każda kolejna dostawa, na którą zresztą trzeba czasami czekać tygodniami, jest już droższa od poprzedniej.

Dlaczego jednak kataster budzi tak gigantyczne emocje? Nie jest to przecież podatek egzotyczny, istnieje w Niemczech, Belgii czy we Francji. W Polsce natomiast funkcjonuje podatek od nieruchomości, który różni się od podatku katastralnego zasadniczo, jest bowiem liczony od zajmowanej przez nieruchomość powierzchni – kryterium jest zatem proste i jasne. Dlatego jego wysokość, szczególnie w przypadku budynków wielorodzinnych, jest minimalna, dla większości obywateli nieodczuwalna. Podatek katastralny natomiast wyliczany jest od wartości nieruchomości i stanowi w Europie średnio ok. 1 proc. Wyobraźmy sobie zatem, że ktoś jest właścicielem średniej wielkości mieszkania w oddalonej od centrum dzielnicy dużego miasta, wartego – ostrożnie licząc – pół miliona złotych. Płaci dzisiaj podatek od nieruchomości wynoszący często raptem kilkadziesiąt, może kilkaset złotych rocznie. Gdyby miał zapłacić podatek katastralny w wysokości procenta od wartości lokum, musiałby rocznie wyłożyć 5 tys. zł. Dla ogromnej części właścicieli lokali byłby to dramat.

Przeciwnikami katastru nie są samorządy – wręcz przeciwnie. To one są beneficjentami podatku od nieruchomości w obecnej formie i zakładają, że otrzymywałyby również przynajmniej lwią część wpływów z podatku katastralnego. Gminy są wszak obarczane wciąż nowymi obowiązkami, Polski Ład zaś pozbawia je części wpływów podatkowych.

Podatek katastralny bardzo chętnie jest też reklamowany przez lewicę jako sposób „ucywilizowania” rynku mieszkaniowego. To, że lewica popiera tego typu system, nie powinno dziwić – wszak od dawna głosi ona koncepcję, że „mieszkanie jest prawem, nie towarem”. Wynika z tego postulat, aby nie traktować budownictwa mieszkaniowego i posiadania nieruchomości jak każdej dziedziny rynku i normalnego prawa własności.

UDERZENIE W KLASĘ ŚREDNIĄ

Tymczasem kataster byłby nawet w bardziej umiarkowanej wersji (od drugiej bądź trzeciej nieruchomości) uderzeniem przede wszystkim w klasę

średnią. Jest to bowiem rodzaj podatku od kapitału, czyli zgromadzonego majątku. Polacy, podobnie jak inni mieszkańcy Europy Środkowej, są w stanie jakikolwiek majątek gromadzić dopiero od ok. 30 lat – i to z wielkimi problemami. Dlatego wszelkiego rodzaju podatki, które to utrudniają – jak podatek od spadków (w Polsce w praktyce zniesiony od 2007 r.) – nie powinny być w ogóle przedmiotem rozważań. Nieruchomości były zawsze uznawane za dobrą lokatę kapitału, a to ich znaczenie wzrosło jeszcze wraz z inflacją. Właśnie na nieruchomościach budowały swoją zasobność zachodnie społeczeństwa, gdzie był to podstawowy składnik przekazywanego z pokolenia na pokolenie majątku.

Przede wszystkim jednak obłożenie tego typu podatkiem drugiej czy trzeciej nieruchomości byłoby ciosem w tych, którzy nie są żadnymi krezusami. Wiele osób odziedziczyło drugie mieszkanie po krewnych, czasami – jeśli mieli pieniądze – kupowali trzecie właśnie jako lokatę, przy okazji zapewniając sobie dodatkowe przychody z najmu (tu zresztą uderzy Polski Ład, wprowadzający niekorzystne zmiany dla wynajmujących). Jeżeli te osoby miałyby teraz zapłacić tysiące złotych podatku rocznie, to łatwo przewidzieć, jakie mogą być konsekwencje. Część, która swoje mieszkania wynajmuje, podniosłaby ceny najmu. Dotyczyłoby to zresztą również sytuacji, w której nowa opłata objęłaby tylko masowych inwestorów, kupujących mieszkania z przeznaczeniem na długoterminowy, tzw. instytucjonalny najem. Czyli efektem finalnym byłoby zmniejszenie dostępności mieszkań, bo ich wynajęcie stałoby się droższe.

Drugi możliwy skutek to sprzedaż lokali przez drobnych posiadaczy, właśnie tych mających po dwie, trzy, może cztery nieruchomości. Wtedy dopiero skorzystałby fundusze inwestycyjne, dysponujące na tyle dużymi pieniędzmi, że byłyby w stanie przebić większość prywatnych ofert.

Przy czym nie bardzo można zrozumieć, dlaczego właściwie duże inwestycje tego typu na rynku mieszkaniowym miałyby być z definicji czymś złym. Fundusze nie kupują przecież mieszkań po to, żeby trzymać je puste. Nabywane hurtem lokale są albo wynajmowane, albo odsprzedawane z zyskiem, więc tak czy owak zasilają w końcu rynek. Źródło problemu leży gdzie indziej – w tym, że mieszkań jest po prostu wciąż zbyt mało, niezależnie od tego, kto je kupuje.

Związek Przedsiębiorców i Pracodawców, analizując pojawiające się propozycje, nie pozostawił na nich suchej nitki. W komunikacie ZPP czytamy: „Działalność na rynku nieruchomości funduszy inwestycyjnych i inwestorów indywidualnych ma obecnie stosunkowo niewielki wpływ na ceny nieruchomości. Ponadto w wielu przypadkach ma ona pozytywne skutki, gdyż to właśnie te podmioty oferują mieszkania i lokale użytkowe na wynajem, a nie każda rodzina jest w stanie kupić sobie mieszkanie z uwagi na brak koniecznych środków. Zapowiedzi ministerstwa nie dążą zatem do likwidacji niesprawiedliwości, która mogłaby wystąpić, gdyby inwestowanie w nieruchomości wiązało się z brakiem podatków albo tzw. psuciem rynku. Ich celem jest raczej poszukiwanie kolejnych źródeł wpływów do budżetu. W praktyce może się jednak okazać, że nie tylko nie przyniosą one zamierzonych skutków, lecz także spowodują ucieczkę kapitału za granicę. Każdy inwestor indywidualny czy też fundusz zdający sobie sprawę, że w innych krajach Unii Europejskiej będzie mógł działać na lepszych warunkach, tam też ulokuje swój kapitał”.

Tu, jak można sądzić, jest pies pogrzebany: opodatkowanie nieruchomości katastrem to kolejny sposób na wyciągnięcie pieniędzy. Szczególnie że nie jest wcale powiedziane, iż – jak to jest przy klasycznym podatku katastralnym – wpływy miałyby trafiać wyłącznie do samorządów. Pozostaje też kwestia wyceny wartości nieruchomości, od której podatek byłby liczony, a to śliski temat. Wartość nieruchomości zmienia się przecież wraz z wahaniami rynku. Na potrzeby podatkowe ktoś musi ją ustalać. Ustawa o gospodarce nieruchomościami używa pojęcia „powszechnej taksacji nieruchomości” dla ustalenia wartości katastralnej (ale podatek katastralny wymagałby z pewnością całkowicie nowej ustawy). Nie trzeba dużej wyobraźni, żeby zrozumieć, jak ogromne pole do korupcji i manipulacji w sektorze rzeczoznawców się tutaj otwiera.

Ostatecznie, jak to zwykle bywa, gdy państwo manipuluje przy rynku, korzyści z przyjęcia takiego rozwiązania byłyby zerowe, za to powstałyby niezliczone problemy, z którymi trzeba by bohater-sko walczyć. Nie mijemy jednak złudzeń: jeśli przeważą potrzeby fiskusa, to pod pretekstem ukrócenia złych „spekulantów” jakąś formę katastru dostaniemy.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kasa na armię – na co „poszła”?

Z informacji, które pojawiły się w związku z szykowaną przez rząd ustawą o obronie ojczyzny, wynika, że duże wzmocnienie polskiej armii – odwlekane z roku na rok i z dekady na dekadę, które teraz – gdy „wróg już u bram” – ma wreszcie ulec przyspieszeniu, ma być finansowane nie dość, że głównie na kredyty, to jeszcze w ów ulubiony przez rząd, dziwaczny, pozabudżetowy sposób.

Pieniądze na oby niespóźnioną rozbudowę armii mają bowiem pochodzić głównie z obligacji emitowanych przez Skarb Państwa i kolejny fundusz celowy – Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych, którym zarządzać będzie państwowy Bank Gospodarstwa Krajowego, a także z wpłat budżetu państwa i zysku NBP (co jest już prawdziwym kuriozum).

Ani przez chwilę nie zapominając o stworzeniu przez rząd PiS jakże potrzebnych Wojsk Obrony Terytorialnej (30 tys. terytorialsów!) i zamówieniu wyrzutni Patriot, myśliwców F-35, a cztery miesiące temu także 250 czołgów Abrams, którego to sprzętu wszelako wciąż w Polsce nie ma, na pewno warto przy tej okazji zapytać rządzących polityków – i tych rządzących „dziś”, i zwłaszcza tych, którzy rządzą „wczoraj” (Platforma zlikwidowała wojskowy pobór, niemal nic nie tworząc w zamian) – nie tylko o to, gdzie, u licha, są te obiecywane przez nich od wielu lat śmigłowce, okręty, rakiety, czołgi itd., lecz także o to, gdzie są pieniądze na ich zakup. Gdzie są pieniądze na wyszkolenie

i utrzymanie dodatkowych żołnierzy i na nowoczesne uzbrojenie dla nich? A raczej, bo nowych śmigłowców, okrętów, rakiet i czołgów „nie ma”, gdzie „się podziały” pieniądze przeznaczone na ich zakup, na co „poszły”? Bo chyba nie leżą na tajnym rządowym koncie, skoro na ich zakup znowu musimy się zadłużać?

Rzecz jasna, z grubsza wiadomo, na co te pieniądze „poszły” (i wciąż „idą”). W ciągu ostatnich lat głównie na wsparcie socjalne – łatwo stracić rachubę, ile w sumie kosztują te wszystkie programy „500+”, „300+”, „Mieszkanie+”, 13. i 14. emerytury, leki bez recepty itd., lecz 100 mld zł rocznie pewnie nie wystarcza. Rzecz jasna, część tych wydatków ma sens, niektóre głęboki – choćby „pierwsze” „500+”, lecz bez cienia wątpliwości nie wszystkie.

A ponadto, zwłaszcza gdy ma się takie doświadczenia historyczne jak Polska, zawsze istnieje kwestia priorytetów – umiejętności ocenienia i przekonania wyborców, co jest ważniejsze, czyli co powinno mieć pierwszeństwo: bezpieczeństwo socjalne czy bezpieczeństwo militarne obywateli? Kwestia ta wydaje się jasna, oczywista, a teraz dodatkowo jaskrawo widoczna, lecz – jak się okazuje – nie zawsze.

Przy okazji: na utrzymanie owej znacząco wzmocnionej armii potrzeba, jak się szacuje, 4–5 proc. PKB zamiast obecnych 2 proc. PKB, czyli co najmniej 100 mld zł co roku zamiast obecnych 50 mld zł co roku. Gdzie rząd zamierza znaleźć na to pieniądze? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Walec przeszedł

Pan prezydent podpisał, a zatem stało się: Polski Ład, a dokładnie oparta na nim ustawa podatkowa, wchodzi w życie od nowego roku. To najwyższa w historii podwyżka podatków dla przedsiębiorców i nie zmienia tego żadne propagandowe deklaracje.

Abstrahując jednak od zawartości pakietu, który wciąż w panice analizują księgowi, najgorsze wrażenie robi sam sposób uchwalenia reformy. Rządzący przygotowali ustawę komplikującą na potęgę i tak już skrajnie nieprzej-

to bez uwzględniania uwag środowisk przedsiębiorców i pracodawców, ignorując apele o odłożenie wejścia zmian w życie o rok, tak by dać możliwość przygotowania się do zmian – bo przecież wielu drobnych przedsiębiorców musi swoje kalkulacje i rachunki zaczynać od zera. Wielu prowadzenie działalności zwyczajnie przestanie się opłacać.

Gdy tylko udało się odzyskać większość sejmową, chwiejną, bo chwiejną, ale zawsze – nastąpiło radykalne przyspieszenie i ostatecznie ustawa znalazła się u prezydenta. Andrzej Duda na los przedsiębiorców nigdy szczególnie wrażliwy nie był, więc nikt nie mógł się spodziewać, że spróbuje w jakikolwiek sposób zahamować wejście w życie sztandarego programu PiS.

Mam jedno skojarzenie: podniesienie wieku emerytalnego przez Platformę. Co do zasady słuszne i potrzebne (skasowane przez PiS), ale wykonane także na rympał, bez żadnych konsultacji. Bo tak. Tyle że wówczas szło o jeden element systemu finansowego państwa – ważny, ale jednak tylko jeden. Teraz skutki obejmą całość systemu fiskalnego i dotkną milionów obywateli (samych jednoosobowych działalności gospodarczych jest w kraju ponad 2,5 mln). Milionom powiedziano: zmieniamy wam reguły gry w kilka miesięcy, bo musimy się przypodobać naszym wyborcom, a wy do nich nie należycie.

Walec przeszedł. ©©

**Polski Ład to
najwyższa
w historii
podwyżka
podatków
dla przedsiębiorców**

rzysty system podatkowy. Poziom tej nieprzejrzystości wychwytyują międzynarodowe rankingi, umieszczające Polskę w ogonie państw OECD. Wywrócono do góry nogami wiele dotychczasowych sposobów rozliczania się z prowadzenia działalności gospodarczej. Faktycznie skasowano kartę podatkową oraz ograniczono opłacalność prostego podatku liniowego z powodu wzrostu obciążeń z 19 do 23,9 proc. dochodu (do podatku dochodowego dochodzi bezzwrotne 4,9 proc. składki zdrowotnej). Zrobili



ZMIANY NA RYNKU NIERUCHOMOŚCI W KATALONII



Agnieszka Maciejowska
– Project Manager inwestycji w Hiszpanii

Pandemia, z różnymi i następującymi po sobie ograniczeniami terytorialnymi, zmieniła preferencje na hiszpańskim rynku nieruchomości. Przy wyborze domu lub mieszkania obecnie ogromną rolę odgrywa dostępna przestrzeń zewnętrzna – taras, ogród czy też dostęp do naturalnego światła. Jednak rosnąca różnica między cenami domów a dochodami oznacza, że dla wielu osób idealne miejsce do zamieszkania pozostaje poza ich zasięgiem finansowym. Problem mieszkaniowy, z anegdotyczną obecnością mieszkań socjalnych, nadal istnieje.

Wybuch pandemii koronawirusa zapowiadał gwałtowny spadek cen mieszkań w 2020 r., zwłaszcza w wynajmie i sprzedaży z drugiej ręki, ze względu na wpływ kryzysu gospodarczego na popyt i pojawienie się tysięcy mieszkań na wynajem wakacyjny. Jednak ostateczny obraz był zupełnie inny. Zgodnie z oczekiwaniami w początkowym okresie pandemii transakcje sprzedaży uległy załamaniu, ale ceny nadal rosły, zamykając rok 2020 ze średnim wzrostem na poziomie 2,1 proc.

PRAWO DO MIESZKANIA

Problem mieszkaniowy w Katalonii jest zasadniczo definiowany

przez rosnącą różnicę między ceną mieszkania a dostępnym dochodem przeciętnej rodziny oraz przez przeciążenie bieżącymi wydatkami mieszkaniowymi, zwłaszcza w przypadku czynszów rynkowych.

W ostatnich latach zmniejsza się liczba gospodarstw domowych posiadających mieszkanie własnościowe, przy jednoczesnym wzroście liczby gospodarstw domowych posiadających mieszkanie wyjmowane. Dziś Katalonia zajmuje pozycję średnią w skali Unii Europejskiej, jeśli chodzi o wynajem mieszkań.

Ponadto odsetek gospodarstw domowych posiadających socjalne mieszkania czynszowe, wynoszący 2 proc., stawia Katalonię na niskim miejscu w porównaniu z większością krajów Unii Europejskiej. W praktyce warunki dostępu do mieszkań chronionych w Katalonii są ograniczone. Konieczne byłoby, aby wnioski o dostęp do mieszkań komunalnych nie wymagały minimalnego dochodu, aby nie wykluczać grup znajdujących się w najbardziej niekorzystnej sytuacji.

ZMIANY I TENDENCJE NA RYNKU NIERUCHOMOŚCI

„Ciągłe, nieuniknione zmiany to dominujący czynnik w dzisiaj-

szym społeczeństwie” – powiedział pisarz Isaac Asimov. Bez wątplenia nasza zdolność przystosowania się do zmian nasiliła się od początku pandemii. Kryzys epidemiologiczny zmienił sposób, w jaki żyjemy, konsumujemy i pracujemy. Rynek nieruchomości również ewoluował, aby dostosować się do tego scenariusza niepewności i nowych możliwości.

Nadejście pandemii koronawirusa zweryfikowało rynek kupna nieruchomości i przez 11 miesięcy od marca 2020 r. nastąpiły niewielkie spadki cen. Jednak od listopada 2020 r. ceny mają zdecydowanie tendencję wzrostową zarówno na rynku zakupu, jak i najmu mieszkań oraz domów.

Pandemia przyniosła również zmianę upodobań konsumentów, którzy domagają się coraz większej liczby nieruchomości otwartych na zewnątrz, co powoduje exodus na peryferie. Wśród najbardziej poszukiwanych nieruchomości są mieszkania posiadające ogrody lub tarasy (92 proc.), następnie domy jednorodzinne i wille (54 proc.), nieruchomości z dużymi przeszkleniami zapewniającymi naturalne oświetlenie (36 proc.) oraz nieruchomości zlokalizowane poza dużymi ośrodkami miejskimi (28 proc.).

Obecnie Grupa Inwest realizuje inwestycję wielorodzinną mieszkaniową w miejscowości Vilanova i la Geltrú, położonej w dystansie ok. 40 minut samochodem od Barcelony. Nieruchomość z przestronnym patio z basenem to prawdziwa oaza w centrum miasta. Inwestycja spełnia wszystkie wymienione trendy: przestronne balkony, tarasy dachowe, prywatne ogródki wchodzące w skład mieszkań zlokalizowanych na parterze oraz przestronną strefę wspólną z ogrodem i basenem.

Oprócz inwestycji OASIS na lata 2022–2023 planowane są trzy kolejne obiekty w tym samym ośrodku miejskim, a w najbliższej przyszłości Grupa Inwest zamierza rozszerzyć promień swych katalońskich inwestycji również na strefę metropolitalną Barcelony oraz północne wybrzeże Katalonii.

TEST „DO RZECZY”: OCZYSZCZACZ POWIETRZA VBREATHE TASMAN

Bardzo wysoka skuteczność w walce z koronawirusem, funkcja detoksykacji, atrakcyjny wygląd, wzorowa jakość wykonania, kompaktowe rozmiary i wbudowany akumulator pozwalający na pracę z dala od gniazdka elektrycznego – to najważniejsze zalety oczyszczacza powietrza australijskiej firmy VBreathe.

Niewielkie urządzenie w kształcie walca jak na oczyszczacz wygląda zaskakująco dobrze. Mierzy zaledwie 25 cm wysokości i waży 1,1 kg. Dzięki takim rozmiarom bez trudu można wrzucić je do plecaka i zabrać ze sobą do pokoju w pracy. Jakość zastosowanych materiałów oraz solidność ich montażu nie budzą żadnych zastrzeżeń.

VBreathe Tasman jest wyposażony w różne inteligentne czujniki, które pozwalają mu wykrywać m.in. tlenek węgla, dym, pleśń oraz pył. Jakość powietrza w pomieszczeniu można ocenić, spoglądając na kolor pierścienia na urządzeniu lub otwierając bezpłatną aplikację służącą do obsługi Tasmana (można w niej również sprawdzić temperaturę w pomieszczeniu oraz wilgotność powietrza). Kolor niewielkiego świetlnego pierścienia można również samodzielnie zmieniać w aplikacji, zamieniając oczyszczacz w urządzenie emitujące dekoracyjne oświetlenie.

Testowany model to bardzo dobra propozycja zwłaszcza dla alergików. Urządzenie nie tylko oczyszcza powietrze ze smogu i różnych szkodliwych cząstek, których szybko przybywa zwłaszcza zimą, lecz także posiada funkcję detoksykacji powietrza i powierzchni płaskich za pomocą filtra HEPA klasy medycznej (H14) oraz naturalnej



technologii z użyciem specjalnie opracowanego żelu VActive. Żel ten zawiera mieszanek australijskich olejków eterycznych pochodzenia natural-

nego. Rozpylane przez urządzenie drobinki żelu o mentolowym zapachu wyłapują w powietrzu nie tylko zanieczyszczenia, lecz także grzyby, bakterie i wirusy. Według producenta drobinek żelu nie lubią też komary, muchy i inne insekty.

Producent zapewnia, że niezależne badania potwierdziły, iż VBreathe Tasman potrafi redukować niekoronawirusa ze skutecznością wynoszącą 99,9 proc., zmniejszać liczbę bakterii w powietrzu o 99 proc., redukować ilość pleśni o 88 proc. w ciągu pierwszej doby pracy i o 95 proc. po 72 godzinach pracy. Urządzenie oferuje trzy tryby pracy, od których zależy wielkość obrotów – co za tym idzie – wydajność oczyszczacza.

Plusiem testowanego modelu jest również wbudowany akumulator o pojemności 6400 mAh, który pozwala urządzeniu na pracę z dala od gniazdek elektrycznych nawet przez 10 godzin.

Wady? Stosunkowo niewielka wydajność, która wynosi maksymalnie ok. 10 m sześć. na godzinę, co sprawia, że Tasman doskonale sprawdzi się np. w sypialni, gabinecie czy w kawalerce (maksymalna powierzchnia pomieszczenia, które ma być efektywnie oczyszczane, wynosi 36 mkw.). Drugi minus to brak możliwości zdalnego sterowania urządzeniem z dala od domu, bo Tasman do obsługi przez aplikację wymaga połączenia Bluetooth. Najbardziej dotkliwa dla wielu użytkowników będzie jednak cena. Za australijski oczyszczacz powietrza VBreathe Tasman wraz z kompletem akcesoriów i olejków trzeba zapłacić aż 2799 zł. ©©

Jacek Przybylski



SŁUCHAWKI JAK SZMINKA

Chińska firma Huawei stworzyła edycję słuchawek specjalnie dla kobiet. Huawei FreeBuds Lipstick to wykonane ze stali nierdzewnej etui, które wygląda niczym szminka – kryje bowiem w sobie dwie bezprzewodowe słuchawki połyskujące jaskrawą czerwienią. Producent zapewnia, że etui

– pełniące jednocześnie funkcję przenośnej ładowarki – jest nawet specjalnie perfumowane, aby obcowanie z gadżetem sprawiało paniom szczególną przyjemność. Poza tym słuchawki są wodoodporne, posiadają funkcję aktywnej redukcji szumów (ANC) i na jednym ładowaniu powinny wytrzymać ok. 2,5 godziny pracy. Cena: 999 zł.



KONSOLA OD GUCCIEGO

Microsoft we współpracy z włoskim domem mody Gucci przygotował specjalną edycję konsoli Xbox Series X. W skład zestawu wchodzi konsola z obudową stworzoną przez projektantów słynnego włoskiego domu mody z wygrawerowanymi literkami GG, dwa kontrolery oraz subskrypcja Xbox Game Pass Ultimate. Wszystko to gustownie zapakowane w walizkę od Gucciego. Modną edycję konsoli wyprodukowano w zaledwie 100 egzemplarzach. Nie bez powodu?

Cena takiego zestawu wynosi aż 10 tys. dol., czyli 40,5 tys. zł. Gadżetu nie da się kupić on-line. Jest do kupienia w zaledwie ośmiu salonach firmowych firmy Gucci (najbliższy w Berlinie). ©©

Jacek Przybylski

Poznań



HORYZONT

NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl



PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl



NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl



www.grupainwest.pl +48 882 818 848

eprasa.pl d221591130

SŁODKA PROMOCJA PODLASIA

Do świąt Bożego Narodzenia jeszcze tylko nieco ponad miesiąc, ale to jest właśnie idealny czas, aby zaplanować zrobienie sękacza lub też zamówić ten wyjątkowy przysmak w jednej z regionalnych podlaskich cukierni lub piekarni. Sękacz jest charakterystycznym, łatwo rozpoznawalnym ciastem. Tradycja jego wypieku ma kilkadziesiąt lat, a popularny jest zwłaszcza w północnej części województwa podlaskiego, gdzie mieszka mniejszość litewska. Przyrządzenie sękacza to nie lada wyzwanie, wymaga trochę czasu, ale jak smakuje...

– Podlaskich sękaczy ostatnio spróbowali kibice Śląska Wrocław na meczu z Jagiellonią Białystok. To nie tylko dobry pomysł na promocję naszych produktów i województwa, lecz także sposób, by podtrzymać dobre relacje między kibicami Jagiellonii i Śląska. Mam nadzieję, że fani z Wrocławia, gdy przyjadą do nas na mecz, też przywiozą ze sobą coś, co będzie można poznać i posmakować – mówi Artur Kosicki, marszałek województwa podlaskiego (na zdjęciu z prezes Jagiellonii Białystok Agnieszką Syczewską).

Składniki:

- 40 jajek!
- 1 kg masła

- 1 kg mąki pszennej
- 90 dag cukru
- cukier waniliowy
- zapach rumowy
- sok z cytryny
- 1 litr śmietany 30-procentowej

Przygotowanie:

Masło ucieramy z cukrem, dodając trochę cukru waniliowego. Żółtka w temperaturze pokojowej oddzielamy od białek, które muszą być następnie schłodzone w lodówce. Żółtka dodajemy stopniowo do utartego z cukrem masła, na przemian z mąką, i cały czas mieszamy. Potem dodajemy śmietanę, zapach rumowy i sok z cytryny. Na koniec ubijamy schłodzone białka, które następnie delikatnie, stopniowo dodajemy do masy, cały czas mieszając.

Ale to nie wszystko...

Wyrobione ciasto leje się na stożkowy walec umieszczony przed piecem lub otwartym ogniem, ciasto obraca się i zapieka, wtedy leje się kolejne warstwy. Kiedy kręci się różnym, na sękaczu powstają charakterystyczne stożki lub sople – stąd niepowtarzalny wygląd podlaskich sękaczy! Zanim ciasto zdejmujemy z wałka, musi porządnie ostygnąć. ☺☺

oprac. raw



Agnieszka Syczewska, prezes Jagiellonii Białystok, odbiera sękacza z rąk marszałka województwa podlaskiego Artura Kosickiego. FOT. MARIUSZ DUCHNOWSKI/UMWP



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Do Egiptu

Na sezon chłodny (grudzień i styczeń) paniom radzimy zabrać lekkie kostium tweedowy, kardigany i swetry oraz średnio ciepły płaszcz. Jeśli chodzi o panów, to konieczny będzie lekki garnitur z flaneli [materiał wełniany – przyp. J.B.], na wycieczki lekkie pumpy. Przyda się lniany i jedwabny garnitur, ale takowe można tanio kupić w Kairze, kapelusz słomkowy lub panama z szerokim rondem. Na wycieczki hełm. Wszystkie rzeczy powinny być jasne i łatwe do prania.

Niezbędne na wieczór: suknia wieczorowa dla pań, smoking dla panów.

Rzeczy, których nie wolno zapomnieć: przybory do szycia i pisania, skrzynka z lekarstwami, termometr, latarka elektryczna, kompas, lornetka, termos.

Dobrze jest kufrы oznaczyć kolorowymi paskami, aby odróżniały się od innych”.

Nie wzięłam sobie do serca przykazań, które zaleca angielski przewodnik po Egipcie z roku 1929, chociaż właśnie tam się wybieram. Mogę sobie jednak wyobrazić, że mniej więcej tak podróżowano również w czasach Stasia i Nel, choć powieść Sienkiewicza dzieje się trochę wcześniej, pod koniec XIX w. (nie wiem, czy wolno jeszcze cytować rasistowskiego autora). Dzisiaj w Egipcie będę po czterech godzinach lotu, wtedy podróż trwała siedem dni. Samolotem!

Z licznymi przesiadkami i oczywiście noclegami, pierwsza w Paryżu, a kierunek był na Karaczi. Wtedy ludzie



FOT. ADAM STOK

się tak nie spieszyli, moda nie zmieniała się tak szybko.

Wrzucając do walizki parę T-shirtów, o tamtych czasach myślimy z nostalgią. Gdybyśmy wtedy żyli, to też w tweedowych ubraniach i korkowych kapeluszach przemierzalibyśmy obce kraje parowcami i pulmanowskimi wagonami. Przez pustynię w lektykach być może, z kuframi niesionymi przez tragarzy, ze służącą prasującą i pakującą ubrania.

Statystycznie szansa, że bylibyśmy w gronie tych szczęśliwców (i kolonialnych pasożytów, nie zapominajmy!), jest mała, ale nie wykluczajmy nikogo. Tamte luksusowe podróże i elegancji podróżni, jakich ogląda się w angielskich filmach, stanowili może ze 2 proc. społeczeństwa. Dzisiaj tygodniowy pobyt all-inclusive w Hurghadzie należy do całkiem dostępnych sposobów spędzania wakacji. Lniany garnitur nie będzie potrzebny.

Ja kufrów nie zabieram, na all-inclusive się nie wybieram. Podróż Nilem, Kair, te rzeczy. Piramidy. Pan Bojańczyk mówi, że każdy cywilizowany człowiek powinien zobaczyć piramidy. Jedyne, co mnie łączy z tamtymi czasami, to kapelusz z szerokim rondem. ☺☺

#włączprawdę



DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

codziennie
18:30

zaprasza **Piotr Kieraga**



oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl d221591130



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Fortalicjum bernardynów

Klasztor oo. Bernardynów w Leżajsku jest kolejnym zachowanym konwentem zakonnym, który pokazuje, jak ufortyfikowane i umocnione były w dawnych czasach podobne obiekty na wschodnich kresach Rzeczypospolitej.

Ufundowany został przez biskupa przemyskiego Macieja Pstrokońskiego w 1608 r., który nadał zakonnikom drewniany kościółek i domek na początek przyszłej rozbudowy. Wszystko w miejscu, gdzie 18 lat wcześniej piwowar Tomasz Michałek z Giedlarowej doznał objawienia, gdyż ukazała mu się Matka Boska, prosząc, aby udał się do władz miasta z posłaniem, aby zbudowali w tym miejscu kościół. Nie poszło to zrazu nieszczęsnemu Michałkowi na zdrowie, gdyż kiedy wyjawiał treść widzenia księdzu proboszczowi Wojciechowi Wyszogradowi, ten uznał go za heretyka i kazał wtroczyć do więzienia. Potem torturowano nieszczęsnego czeladnika, chcąc wymusić przyznanie się do błędów. Ostatecznie, nie znajdując w nim żadnej winy, uwolniono go. Wówczas Michałek, do którego wkrótce przylgnęła sława dziwaka i szaleńca, zaczął odwiedzać rajców i burmistrza, prosząc o zbudowanie kościółka. Na razie jednak go przeganiano, a w najlepszym razie zbywano na niczym. Dlatego zebrawszy trochę grosza od pospólstwa, postawił w miejscu widzenia zwykły krzyż, który wkrótce zasłynął jako cudowne miejsce.

Dopiero w 1594 r. wystawiono w tym miejscu drewniany kościół, który później nadał wspomniany bp Pstrokoński sprowadzonym do Leżajska ojcom bernardynom. Kolejnej rozbudowy dokonali: miejscowy starosta Łukasz Opaliński i jego żona Anna z Pileckich, którzy wznieśli w latach 1618–1628 mury i świątynię, dzisiejszą bazylikę Zwiastowania Najświętszej Marii Panny. Jak głosi tradycja, z wdzięcz-



FOT. DOMENA PUBLICZNA

ności za odniesione w 1610 r. zwycięstwo nad Stanisławem Stadnickim zwanym „Diabłem Łańcuckim”, który był zaciekłym i nieubłagany wrogiem starosty Opalińskiego. Władysław Łuszczkiewicz pisze, że właśnie pod Leżajskiem, pod klasztorem, Stadnicki został zabity; nie jest to prawda, gdyż zginął pod Tarnawą w Bieszczadach, być może jednak to właśnie tutaj w czerwcu 1608 r. rozegrała się wielka bitwa pomiędzy zwaśnionymi szlacheckimi, w wyniku której Diabeł został pobity i wypędzony z własnego Łańcuta.

Kościół i klasztor powstały już jako budowle obronne – wystarczy przyjrzeć się samemu budynkowi wzniesionemu w latach 30. XVII w., który tworzy zamknięty dziedziniec z czterema potężnymi wieżami w narożach, przywodzącemu na myśl warowny zamek. Dodatkowo klasztor już od chwili zbudowania kościoła przez Opalińskich otoczony był dodatkowymi fortyfikacjami – nieregularnym murem zaopatrzonym w strzelnice, miał też prawdopodobnie nieregularny bastion. W 1726 r. baszty i mury podwyższono o jedną kondygnację.

Klasztor w Leżajsku był wystarczająco mocny, aby oprzeć się atakom konfederatów wojskowych, bandom beskidników i tołhajów oraz najazdom tatarskim. Okazał się jednak zbyt słaby wobec całej armii. W 1656 r., w czasie potopu, został zajęty przez Szwedów, którzy urządzili tutaj kwatery dla króla Karola X Gustawa. O dziwo, z jego pobytu zachowały się dobre wspomnienia, władca bowiem poproszony o zakonników wystawił straż,

aby zapobiec splądrowaniu świątyni. Kiedy po jego wyjeździe okazało się, że zostawił w klasztorze pieczęć królewską, ojcowie bernardyni odesłali mu ją z wdzięczności do obozu. Niestety, rok później los nie był już tak łaskawy i klasztor został zajęty, obrabowany i częściowo spalony przez Kozaków oraz Węgrów księcia Rakoczego.

Pozostałe do dziś fortyfikacje pokazują, że podobnie umocnione klasztory i zamki na wschodnich kresach Rzeczypospolitej odgrywały, poza obronną, jeszcze jedną rolę – skarbców szlachty, mieszczan, a czasem i bogatych chłopów. Tutaj bowiem umieszczano tzw. depozyty, odpowiednik dzisiejszych lokat bankowych. W XVI i XVII w. można bowiem było złożyć bogactwa – złoto i kosztowności zamknięte w skrzyniach, w ratuszu, grodzie albo właśnie w klasztorze, gdzie pozostawały, przynajmniej w teorii, bezpieczne. Nienaruszalność depozytów chroniona była przez prawo, ich zabór zagrożony karą „gardła”, czyli śmierci. Jednak zdarzało się, że nawet własne, skonfederowane wojska nic sobie z tego nie robiły i grabiły oszczędności szlachty i mieszczan pozostawione w klasztorach i ratuszach. Zwykle skrzynie umieszczano w „sklepach”, czyli piwnicach, i wydzielano z nich na przykład „sklepy sieroce”, gdzie znajdowały się pieniądze należące się sierotom i zabezpieczone przed zakusami rodziny, aż ich właściciele osiągną pełnoletność.

Klasztor i kościół w Leżajsku przetrwały cudem tatarskie najazdy za Sobieskiego i konfederację za obu Sasów. Do dziś zachował się tutaj niesamowity zabytek z XVII w., prawdziwy cud świata – organy powstałe pomiędzy 1680 a 1693 r. A także obraz Matki Bożej Pocieszenia z XVI w., który 400 lat temu cieszył się sławą podobną do sławy Czarnej Madonny z Częstochowy. ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Niemcy wychodzą

Mimo światowego zamordyzmu w przestrzeganiu jednej wersji pandemii niektórzy kraje traktują poważnie swoich obywateli i odbywają się tam pozory dyskursu. Ale też namysłu. Mowa o Niemczech. Nowa koalicja SPD, Zielonych i FDP zapowiedziała odchodzenie od obostrzeń i opublikowała kalendarz schodzenia z pandemicznej spirali.

17 października tamtejsza Rada ds. Etyki zakomunikowała publikację wersji raportu oceniającego działania władz wobec pandemii za rok 2020. (Tak, są takie kraje, gdzie robi się takie rzeczy, u nas dream on). W tym raporcie znajdują się rachunki wstępne za strategię władz, które popychają rządzących do zmiany sposobu działania. Federalny minister zdrowia Jens Spahn oświadczył, że jest przeciwny przedłużaniu niemieckiego stanu epidemii. Czyli jego ważność ma wygasnąć 25 listopada, czyli ustaną prawne podstawy do obostrzeń. Te mają być znoszone stopniowo (ale jak, skoro już podstawy prawnej nie będzie od 25 listopada 2021 r.?) i ustać najpóźniej do dnia 20 marca 2022 r.

Widać pewną rewizję dotychczasowej strategii. Niemcy dołączają do krajów, które ogłosiły, że zaczynają traktować sezonową chorobę prowadzącą do infekcji dróg oddechowych. To znaczy – żadnych lockdownów, kwarantann, maseczkowania,

zamykania branż i pandemii testowania. O ujednoliceniu służby zdrowia już nie mówiąc. Warto przypomnieć, że takie stanowiska zapadają w czasie, kiedy wyniki zakażeń wcale nie spadają, ba – rosną do poziomów przewyższających te sprzed roku, kiedy – przypomnijmy – nie było jeszcze szczepionek. Oznacza to jedno – kompromitację tych właśnie strategii, które męczyły ludzi i gospodarkę do dziś. Ale odbywa się to w gorliwej luzowania obostrzeń, nie zaś rozliczania władz za to skompromitowane szaleństwo.

To wszystko zostanie zamienione na sanitaryzm – to znaczy nie będzie obostrzeń, ale będzie szeroka, powtarzalna i przymuszalna fala szczepień. Tu nie ma zmiłuj. A więc wirus, jak prorokowałem, zostanie zastąpiony akcją szczepienia. Będziemy czas covidowy liczyli nie falami pandemii, ale numerami dawek szczepiennych. Ciekawe tylko, czy nasi pójdą niemiecką drogą? Wszak to zawsze od nich zgapialiśmy. Coś się jednak nie zapowiada, bo mamy ogłoszenia buńczuczne i próby eskalacji. Jak choćby to, by skłócić i podzielić Polaków na niezaszczepionych pracowników i przymuszających pracodawców, wyposażonych w dane, które są konstytucyjnie chronione jako wrażliwe dane prywatne. Ale u nas zawsze działamy po swojemu. Pewnie jako ostatni zejdziemy z tonącego okrętu sanitaryzmu, by się nie przyznać (bo przed kim?) do błędu. ©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Życie i światło

Nikt z nas tego specjalnie nie planował. Termin kinowej premiery filmu „Blachnicki. Życie i światło” ustalony został na 15 listopada i wynikał z procesu produkcji, a także z dużo wcześniej podpisanych umów.

Tym większe było zaskoczenie, gdy okazało się, że w tym samym tygodniu odbędzie się beatyfikacja ks. Jana Machy. Tych śląskich kapłanów łączy bardzo wiele. Harcerskie ideały, postawa pomocy potrzebującym, polski patriotyzm (co w śląskich realiach wcale nie jest oczywiste) i w końcu podziemna działalność niepodległościowa, która po dekonspiracji sprawia, że Niemcy skazują ich obu na śmierć. Różnicą jest to, że Jan Macha usłyszał wyrok jako kapłan, natomiast Franciszek Blachnicki jeszcze nie odkrył w sobie powołania. Mało tego, do celi śmierci trafia jako niewierzący. Wyrok na ks. Janie został wykonany, co pozwala uznać ks. Machę za męczennika. Cudem ocalony Blachnicki, zanim przyszła decyzja o zamianie wyroku śmierci na wieloletnią karę obozu, jeszcze w katowickim więzieniu doznał nawrócenia.

Po zakończeniu wojny, zaraz po powrocie z niemieckiego obozu, wstępuje do seminarium. Blachnicki żyje tak, jakby miał świadomość, że darowane jemu życie jest po coś. Jego żarliwość ewangelizacyjna idzie w parze z ogromną pracowitością i odwagą, co w warunkach państwa totalitarnego powo-

duje natychmiast uruchomienie całego arsenału represji, z więzieniem włącznie.

Pracując nad filmem o tym niezwykłym człowieku i kapłanie, mieliśmy świadomość, że właściwie powinniśmy już zacząć pracę nad kolejnym odcinkiem. Ciągłe nierozwikłana jest bowiem zagadka śmierci ks. Blachnickiego. Finalizując film, nie dane nam było doczekać wyników wznowionego w maju 2020 r. i trwającego nadal drugiego śledztwa IPN. Zostawiając na boku wątek kryminalny, pokazujemy jednak kontekst. Potężne napięcie, w jakim funkcjonował Kościół w PRL. I choć komuniści zamordowali wielu kapłanów, to jednak właśnie biografia ks. Franciszka najpełniej pokazuje działania aparatu represji wobec księży.

Skala środków zastosowanych wobec wybitnego duszpasterza prowokuje pytanie: Skąd się brały jego siła i odwaga? I w tym kontekście znamieną jest wypowiedź współpracownicy ks. Franciszka, Grażyny Wilczyńskiej, która opowiada o czasie, gdy nasilały się działania SB wobec oazy. Usłyszała wtedy od ks. Blachnickiego słowa: „Pamiętaj – oni nie mogą wam nic zrobić. Najwyżej mogą was zabić”. ©

Premierowe emisje w telewizji:
TVP1, 24 listopada, godz. 23.10,
TVP DOKUMENT 25 listopada,
godz. 21.10,
TVP Historia, 26 listopada,
godz. 17.18,
TVP POLONIA 7 grudnia
godz. 22.35

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Zakazać szczepień!

Trwa brutalna wojna foliarzy, czyli antyszczepionkowców, z osobami zaszczepionymi. Na Twitterze trwa ta wojna. Jest interesująca psychiatrycznie, gdyż strony obrzucają się jednocześnie przymiotnikami i statystykami. Z przymiotników wynika, że na TT jest ogólnie bardzo nieciekawe i bardzo niebystre towarzystwo, a ze statystyk i z przytaczanych danych wynika, co

Zelta raczej wyrzucić z niczego nie można ani pozbawić go żadnego kontraktu. No bo jakiego?

tam sobie kto chce. Zgodnie z maksymą: „Prawda jest jak pupa, każdy ma swoją” nikt nikogo do niczego żadną informacją nie przekonał, ale wszyscy wciąż usiłują.

Strony godzą się natomiast, że Polaków i Polek jest zaszczepionych nieco ponad 50 proc., ale nie godzą się, czy to „tylko” czy „aż”. Antyfoliarze żądają: „Zmusić ich do szczepień, a jak się nie dadzą zmusić, to pozamykać dla nich świat i operę”, a foliarze na to: „Od... kolegujcie się od naszej wolności” i „Moje ramię, moja sprawa”. Głosem rozsądku okazał się szef Związku Przedsiębiorców i Pracodawców Cezary Kaźmierczak, który zaproponował: „Jedyny sposób na nasz naród w sprawie szczepień to chyba to, żeby jutro Mateusz Morawiecki wydał zakaz

szczepień. Wtedy w dwa tygodnie dojdziemy do 90 proc. Populacji”. To może zadziałać, jako hasło kampanii zaproponowałbym: „Ty się nie zaszczepisz!”.

Znany dawno, dawno, dawno temu z roli nierozgarniętego policjanta w serialu „13 posterunek” Piotr Zelt postanowił błysnąć w mediach społecznościowych. Obrzął rzeczniczkę Straży Granicznej, Annę Michalską, pisząc: „Pani rzecznicz Straży Granicznej, twarz bestialskich, bandyckich standardów państwa PiS”. Trochę był z siebie dumny, ale chyba niedługo, bo dość szybko skasował wpis. Nie umknął on jednak internautom, którzy są ludźmi bezlitosnymi. Zaczęli przypominać takie rzeczy o tym aktorze, że nie wypada mi tu o nich pisać, ale w razie czego mogę podać linki i jak znaleźć w wyszukiwarce. No ciekawe, ciekawe.

Przed Zeltem podobnie błysnęła Barbara Kurdej-Szatan, tyle że jej nienawistne wpisy pozbawiły ją kontraktów i przyblokowały karierę. Zelta raczej wyrzucić z niczego nie można ani pozbawić go żadnego kontraktu. No bo jakiego? Okazało się jednak, że ten Zelt był twarzą jakiejś policyjnej akcji w Opolu, a jak się policjanci dowiedzieli, co ten Zelt wypisuje, to on już jest bez twarzy, to znaczy nie jest twarzą tej policyjnej akcji. Bo o ile sami policjanci mogli jeszcze zaakceptować wesołkowatego przygłupa w mundurze, to akceptowanie przygłupa sauté najwiedoczniej mundurowych nie bawi. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

„Dziękujemy Ci, Polsko”

Małgośka, mówią mi Hiszpanie – jesteście z Wami! Nie ma wiadomości w telewizji hiszpańskiej bez pokazywania sytuacji na naszej granicy, więc jesteśmy na ustach wszystkich i ze wszystkich stron płyną wyrazy wsparcia. Na konferencji prasowej VOX, gdy Jorge Buxadé powiedział, że Hiszpania rzuca w świat hashtag „Dzięki Ci, Polsko” (w domyśle: za obronę wspólnych granic), zeszkliły mi się oczy. Ledwie miesiąc temu w Madrycie wszyscy mi współczuli szantażu ze strony Brukseli, teraz zaś płyną strumieniami kondolencje z powodu ataków ze strony Mińska. Wychodzi na to, że problemy to nasza specjalność i nie ma bardziej pechowego narodu na mapie Europy. Szkoda, że ci z UE nie mają dla nas tyle serdecznej troski, ile Hiszpanie nękani identycznymi atakami ze strony reżimu Maroka.

Oczywiście, że jestem im wdzięczna, ale im więcej tych kondolencji i uścisków, tym bardziej człek się robi niepocieszony, marnotny i rozmyśla, czy nie czas wracać do ojczyzny i kopać szczeliny przeciwlotnicze. Ale przecież nie próżnuję tu, bo biegam jako samowważna ambasadorka sprawy polskiej. Profesor Legutko, którego dorobek miałam zaszczyt przedstawić publiczności na międzynarodowym Kongresie Katolików w Madrycie, otworzył

spotkanie błyskotliwą prelekcją, która skupiła na nas jeszcze więcej uwagi, więc nagle grzejąc się w cieniu jego sławy, stałam się chwilowo i niechcący celebrytką wśród szeregów obecnej tam elity intelektualnej. Tym bardziej że Profesor udał się tego samego dnia w podróż, a ja zostałam sama i pracowicie przez kolejne dwa dni przyjmowałam a to gratulacje dla Profesora, a to wyrazy wsparcia dla Polaków.

Oczywiście, że jest to wymarzona sytuacja, aby w powodzi dezinformacji przypominać wszystkim, że „Bačka” to tylko marionetka w rękach Putina, ale mimo wszystko ja dziękuję za takie wyjazdy, gdzie wszyscy mnie czule klepią po ramieniu, pocieszając głęboko filozoficznym, „że jakoś to będzie”. Ja też wolałabym współczuć innym, a nie sobie. Ba! W ostateczności wolałabym konkrety, czyli ile dywizji mogą dorzucić do kontyngentu stacjonujących w Krajach Bałtyckich wojsk Hiszpanii!

Był jednak moment, którego nigdy nie zapomnę: jakaś starsza Pani Profesor od historii Ameryki Południowej powiedziała mi: „Bo Polska jest Chrystusem narodów”. – Pani czytała Mickiewicza? – spytałam oszołomiona. – Nie, nie wiem, o kim pani mówi – odpowiedziała, ale my, którzy znamy historię twojego kraju i obserwujemy was... tak po prostu myślimy. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Kwestia sumienia

Błogosławiony kard. Stefan Wyszyński na początku 1981 r. mówił w archikatedrze warszawskiej, że zasadniczym warunkiem wypełnienia nakazu moralnego, jakim jest obrona suwerenności ojczyzny, jest troska o właściwy ład w sumieniu indywidualnym, rodzinnym i narodowym. Czym jest sumienie narodowe? Prymas odpowiadał: to miłość i zaufanie do ojczyzny, to „nierozprasanie się ojczystych, nieoglądanie się na prawo i lewo oraz unikanie pokusy nowej targowicy, skądkolwiek by przyszła”.

Targowica w naszej historii jest symbolem zdrady, personifikowanej przez trzy haniebne postaci: Potockiego, Rzewuskiego i Branickiego. To także symbol naiwności, która widziała

nej za pierwsze polskie powstanie narodowe, walkę za „wiarę i wolność”.

Targowica to również bolesna weryfikacja politycznego realizmu. Do konfederacji zdrady przystąpili również ci, którzy kierowali się kalkulacją „ratować, co się da”. W ten sposób rozumował król Stanisław August Poniatowski, który tak właśnie racjonalizował swoje krzywoprzysięstwo (wszak na krzyż przysięgał, że wierności Ustawie Rządowej dochowa). Co prawda, w jego przypadku historia zdrady w imię zacieśniania dobrych stosunków z carycą była znacznie dłuższa.

Przeciw sumieniu narodowemu działa wspomniane przez błogosławionego prymasa „oglądanie się na prawo i lewo”, czyli – jak mówił kard. Wyszyński

im głębokim przekonaniu, że Niemcy są „naszymi mentorami”. Drżał na myśl, że nie posłuchają oni rady „Małego Księcia” odradzającego zbyt szybkie porzucanie „tresowanego zwierzęcia”. Odbierany przez niemieckich mentorów coaching do dziś jest wspominany w Lasach Piaśnickich, Palmirach, Forcie VII w Poznaniu i wielu innych miejscach, gdzie niemieckie „państwo-wychowawca” dokonywało „pracy kulturowej”.

Co ma wspólnego Adam Bodnar z Immanuelem Kantem? Jeden i drugi na bakier byli z czystym rozumem. O konieczności posiadania „rozumnego serca” wielokrotnie nauczał błogosławiony kard. Stefan Wyszyński. W swoich zapiskach z 1981 r., a więc na krótko przed swoją śmiercią, podkreślał, by naród polski wystrzegał się „realizacji obcych zamówień”. Mówił o „lornecie, którą trzeba mieć, idąc na wojnę”.

„Egzotyka” w każdej postaci była mu obca. W marcu 1963 r. mówił: „Krytykujemy Wielką Nowennę, palca do niej nie przykładając, boczmy się na ruch maryjny w Polsce, na »dewocyjne« pielgrzymki na Jasną Górę, które rażą naszą estetykę i podejście intelektualne – pomimo że tu się Naród odradza, odmiennia i kąpie w źródłach łaski sakramentalnej – ale możemy godzinami mówić o sukcesach Kościoła w innych krajach, pielgrzymkach do Lourdes, Chartres... To jest jakaś choroba i mania współczesnego człowieka w Ojczyźnie naszej. Gonimy za egzotyką i ciągle jesteśmy nastawieni tylko na egzotykę. Pamiętajmy, że kwiaty rosną tam, gdzie sprzyja im odpowiedni klimat i warunki”. Po upływie niemal 60 lat Prymas Tysiąclecia ciągle ma nam coś ważnego do powiedzenia. ©©

Odbierany przez niemieckich mentorów coaching wspominany jest m.in. w Lasach Piaśnickich, Palmirach, Forcie VII w Poznaniu, gdzie niemieckie „państwo-wychowawca” dokonywało „pracy kulturowej”

w zagranicy gwaranta polskich wolności. W 1792 r. „zagranica” była Rosją carycy Katarzyny II, która rok później wspólnie z naszym zachodnim sojusznikiem (tak, tak, Prusy od 1790 r. były w formalnym sojuszu polityczno-wojskowym z Rzeczpospolitą) dokonała drugiego rozbioru, czyniąc z Polski państwo kadłubowe.

Targowica to także symbol zamętu pojęciowego, utraty jakiegoś intelektualnego centrum, które pozwalało się orientować co do znaczenia podstawowych słów, takich jak „patriotyzm”, „wolność”, „ojczyzna”. Na poziomie ziem i powiatów do konfederacji targowickiej przystąpił niejeden uczestnik konfederacji barskiej (1767–1772), uznawa-

przy innej okazji – „zapożyczanie się w obce wielkości”. Wielkim filozofem był Immanuel Kant, który po trzecim rozbiore Polski wyrażał przekonanie, że rozbiory to była najlepsza rzecz, jaka mogła przytrafić się Polakom. Dzięki nim bowiem dostali oni szansę korzystania z owoców prawdziwej modernizacji. Zwłaszcza ci, którzy trafili pod panowanie króla pruskiego. Prusy jako „państwo-wychowawca” (Erziehungsstaat) – nauczał autor „Krytyki czystego rozumu” – oduczy wreszcie Polaków fatalnego przywiązania do „ich barbarzyńskiej wolności”.

Na prawo i lewo rozgląda się Adam Bodnar. Przed tymi, którzy go nagradzają, zapewniał o swo-

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Lubię kupować u rzeźnika – w warsztacie, który ma nad drzwiami napis „RZEŹNIK”, a pod spodem nazwisko tego gościa za ladą. W Polsce zjawisko w zaniku, bo coraz mniej wolno – w ramach UE i w ramach sanepidu, w ramach zezwoleń i licencji na wszystko (nawet na wynajem rowerów wodnych). Rzeźnik to pieniek i topór; i krew oraz kawałki kości fruujące w powietrzu, gdy on rąbie tuszę na kawałki, czyli w zasadzie trzeba tego zakazać. Ma być stal nierdzewna i kostiumy, jak na oddziale zakaźnym. Zmierzamy do zaniku rzemiosła (czyli klasy średniej) i wypełnienia tego pustego miejsca przez korporacje.

Korporacje popychają władze, rządy, państwa do wprowadzania regulacji. Ma być czysto, schludnie i bezpiecznie, a zatem kielbasy produkować się muszą wyłącznie w warunkach, które są w stanie spełnić wyłącznie korporacje, a nie ten obryzany krwią kielbasiarz.

Władze ulegają podszeptom korporacyjnych szatanów, bo słowa „schludnie i bezpiecznie” dobrze brzmią w kampanii, a ponadto pozwalają tworzyć kolejne stołki dla kolejnych urzędników kontrolujących, czy jest „schludnie i bezpiecznie”.

Na Kociewiu, skąd pochodzi, był sobie niejaki Gzella, który robił świetne kielbasy. Wieść niesie, że zaczynał w garażu, w czasach, gdy polski kapitalizm był przez chwilę prawdziwy, zdrowy i żywotny, czyli zaraz po roku 1989. Gzella się załapał, rozwinął, z garażu przeszedł na poziom fabrykanta, ale ostatecznie sprzedał swoją doskonałą markę korporacji. Gdyby tego nie zrobił,



FOT. W. CEJROWSKI/UTD/ARND BRONKHORST

korporacja by go wykupiła. Gdy sprzedajesz samodzielnie, cena jest lepsza, niż gdy cię wykupują siłowo. Znam Pana Gzellę, ale to, co piszę, nie pochodzi od niego – to wyłącznie moje opinie, moje obserwacje. On by tę historię opowiedział inaczej.

Korporacje nie znoszą prywaciarzy, dorobkiewiczów, nie znoszą ludzi prawdziwego sukcesu, czyli takich, którzy z pucybuta zostali milionerem. Korporacja składa się z niewolników i zatrudnia wyłącznie niewolników. Czasami się myli i zatrudni kogoś, kto nie ma natury niewolnika, ale wtedy albo ten ktoś sam odchodzi, albo go przerobią na korporacyjną miazgę. W korporacji ZERO WŁASNEJ WOLI, ZERO INICJATYWY. W korporacji płacą za sprawne realizowanie procedury. Kielbasa Pana Gzelli zawierała jego nazwisko, jego markę, była jego dorobkiem życia, a takich rzeczy nie chcesz zmarnować poprzez głupie działania.

Kielbasa produkowana przez korporację jest obliczona na maksymalizację zysku, czyli ma prawo zawierać celulozę i wodę pod warunkiem, że da się to sprzedać w milionach serdelków za pomocą innej korporacji, która oferuje hot dogi na stacji benzynowej.

Korporacje powstały w ramach kapitalizmu, ale są dla kapitalizmu jak rak w ludzkim ciele – on też powstał w ramach twojego organizmu, ale nie jest ani zdrowy, ani nie jest twoim ciałem, lecz ciałem OBCYM i zabójczym. Korporacja jest dla kapitalizmu ciałem obcym i każda z nich jest ANTY-kapita-

listyczna. Wniosek: korporacje należy zwalczać, jeżeli uznajemy system kapitalistyczny za coś wartego obrony.

Kapitalizm to rozwój indywidualny jednostek. Korporacja to kolektywizm. Korporacja jest koncepcją marksistowską. Niemożliwe? Owszem możliwe – Lenin też budował w oparciu o dorobek wypracowany przez kapitalistów. Przejmował siłowo, nacjonalizował, kolektywizował i ostatecznie tworzył na przykład kołchozy, gdzie ziemia należała do korporacji, a pracownicy realizowali procedury. Nazwy były inne, koncepcja ta sama – zlikwidować klasę średnią.

Gdy byłem mały, chodziłem z babcią na targ. Tam wykładano towar z okolicznych gospodarstw. Kosze jaj, furmanki kapuścianych głów, drewniane beczki pełne kiszonych ogórków. Dzisiaj drewnianych beczek już nie ma, a ogórki kiszane w beczkach plastikowych (sanepid kazał) to nie to samo. Kto mi nie wierzy, ten niech się napije whisky. Tańsza nigdy nie widziała beczki, a jedynie nierdzewne rury i zbiorniki. Droższa leżakowała w prawdziwej beczce. Różnica w smaku jest ZASADNICZA. Podobnie w przypadku ogórków z beczki lub kapusty czy śledzi.

Kapustę współcześnie kisi się w dołach ziemnych wyłożonych folią – folia ma atest, beczka nie. Podobnie jak atestu nie ma pieniek rzeźnika.

Rzeźnik w mojej okolicy w Polsce ostał się jeden i zajmuje się głównie obsługą my-

śliwych – przywozisz jelenia, a on ci robi z niego, co chcesz: kielbasy, kotlety, smalec. Połowę zatrzymuje do sprzedania w swoim sklepie i to jest jego honorarium za usługę.

Na prerii też takiego mamy, ale obsługuje już nie tylko myśliwych. Można przyprowadzić żywego byczka i zrobić z niego wszystko: steki, hamburgery, wołowe żeberka (w Polsce w zasadzie nieznanne), mięso na fajitas; zapakuje ładnie, a potem włożyysz porcjowane do zamrażarki w garażu i masz obiady na kwartał.

Na drzwiach u tego rzeźnika wisi zabawna tabliczka z ogłoszeniem. Takie tabliczki to w USA cały przemysł, podobnie jak koszulki ze śmiesznymi nadrukami. Nasz preriowy rzeźnik kupił tę tabliczkę gotową, sam tego nie wymyślił, ale pasuje pięknie.

Na obrazku soczysty kawałek mięsa – stek gotowy do pieczenia – a obok napis: „DRODZY VEGANIE, zabiłem tę krowę, bo zżerała wasze żarcie. Nie musicie dziękować”.

Czy któraś korporacja miałaby odwagę i poczucie humoru wystarczające, by coś takiego umieścić w swojej reklamie lub przynajmniej na wejście do Sokołowa?

Czemu tego nie zrobią? Boją się obrazić wegan? Przecież weganin to absolutnie nie jest ich klient, a w dodatku on jest na nich obrażony z zasady – nie kupuje wędlin, więc nie ucieknie do konkurencji.

Korporacje odwagi nie mają, a poczucie humoru bardzo rzadko, ale przede wszystkim wszystkie korporacje świata, co do jednej, są organizacjami lewackimi, więc żaden dowcip o weganach nie przejdzie z powodów ideologicznych. Lewica ogólnie nie ma poczucia humoru – ma w tym miejscu zjadłość; jad kielbasiany. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



~~700 zł~~

W PREZENCIE **KSIĄŻKA**

IWONA KIENZLER

„KOBIECY NIEPODLEGŁOŚCI. BOHATERKI,
ŻONY, POWIERNICE”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

312,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 349 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPLATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl d221591130



ORLEN

WYBIERAJ POLSKIE PRODUKTY

Wspieraj lokalnych
sadowników

